

Kaczyński układa listę | Kto pójdzie 4 czerwca? | Szał na tężnie | Fenomen de Barbaro
Czy Kopernik był Polakiem | Boty do roboty | Wybory Olafa Lubaszenki

ILUSTRACJA IRENEUSZ SZUNIEWICZ

POLITYKA

Nagrody
Historyczne
POLITYKI
od 1959

NIEPUBLIKOWANY SONDAŻ OPINII PUBLICZNEJ

Polacy chcą zmiany!



ISSN 0032-3500

2 1 >



9 770032 350305

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO.

TYGODNIK, nr 21 (3414), 17.05-23.05.2023, cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Z Buenos Aires do Rio de Janeiro

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Buenos Aires. **Dz. 2** Przyłot do Buenos Aires. Zwiedzanie miasta i opery Colon. **Dz. 3** Buenos Aires. Zwiedzanie miasta, degustacja wina i pokaz tanga podczas kolacji (opcja dodatkowo płatna). **Dz. 4** Całodniowa wycieczka do Colonia del Sacramento w Urugwaju. **Dz. 5** Buenos Aires, Pampa, gauchos i lunch na rancho (dodatkowo płatne). **Dz. 6** Buenos Aires - Iguazú Brazylia. Zwiedzanie okolic tamy Itaipu na rzece Parana. **Dz. 7** Wodospad Iguazú, strona argentyńska. **Dz. 8** Iguazú. Wodospady Iguazú po brazylijskiej stronie. Rio de Janeiro. **Dz. 9** Rio de Janeiro – Góra Corcovado, Pomnik Chrystusa i zwiedzanie miasta. **Dz. 10** Rio de Janeiro. Rejs statkiem po zatoce Guanabara i wizyta w szkole samby (wycieczka dodatkowo płatna). **Dz. 11** Rio de Janeiro. Wjazd kolejką na punkt widokowy Gtowa Cukru. **Dz. 12** Rio de Janeiro. Zwiedzanie miasta: opera, Sambodrom i katedra. Powrót do Polski. **Dz. 13** Przyłot do Warszawy.

13 dni | Wylot z Warszawy 17/03 2024 | **19.998,-**



Laponia i Św. Mikołaj

Program wycieczki: **Dz. 1** Przelot do Oulu i przejazd do Iso-Syöte. **Dz. 2** Iso-Syöte. Czas wolny na relaks lub zimowe aktywności na wycieczkach fakultatywnych: skutery śnieżne i psie zaprzęgi. **Dz. 3** Iso-Syöte – Rovaniemi. Wizyta w Ranua Wildlife Park i czas wolny w Rovaniemi. **Dz. 4** W Wizyta w wiosce św. Mikołaja i zaprzęgi reniferów. **Dz. 5** Transfer na lotnisko i powrót do Polski.

5 dni | Wylot z Warszawy 08/12 2023 | **7.298,-**



Afryka Mandeli

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Johannesburga. **Dz. 2** Przyłot do Johannesburga – Rezerwat dzikiej przyrody Manyeleti w Parku Narodowym Krugera. **Dz. 3-4** Safari w rezerwie Manyeleti w Parku Narodowym Krugera. **Dz. 5** Rezerwat Manyeleti – Trasa Panoramiczna – Zebra Country Lodge w Pretorii. **Dz. 6** Relaks w Zebra Lodge i wycieczka do Zebra Repile Center. **Dz. 7** Wycieczka do Soweto i Pretorii. **Dz. 8** Zebra Nature Reserve – Port Elizabeth – Park Narodowy Tsitsikamma – Zatoka Plettenberg. **Dz. 9** Zatoka Plettenberg. Rejs po rzece Keurbooms. **Dz. 10** Zatoka Plettenberg – wapienne groty Cango – Oudtshoorn. XIX wieczne rezydencje w Montagu. **Dz. 11** Montagu – Kapsztad. Winiarnie w Stellenbosch z degustacją wina. Ogród botaniczny Kirstenbosch. **Dz. 12** Kapsztad – dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 13** Kapsztad. Przylądek Dobrej Nadziei. Rejs na wyspę Duiker i lwy morskie. Kolonie pingwinów w Simon's Town. **Dz. 14** Kapsztad. Podróż powrotna. **Dz. 15** Przyłot do Warszawy.

15 dni | Wyloty z Warszawy 14/11 2023, 12/01 2024

od **14.498,-**



albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 51

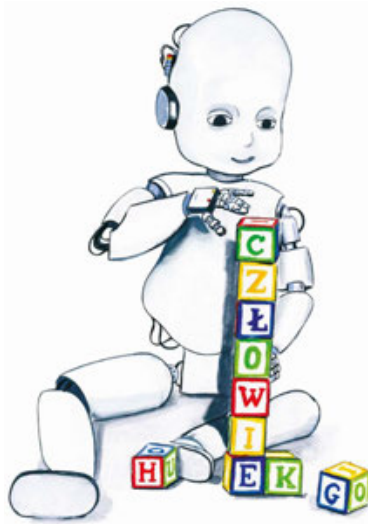
Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: PL18

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.



16 Prezes listę pisze



36 Sztuczna inteligencja pracująca



42 Rosja zaczyna się bać

Temat tygodnia

- 12 Edwin Bendyk **Polacy chcą zmiany!** – omawiamy wyniki specjalnego sondażu **More in Common**

Polityka

- 16 Anna Dąbrowska, Wojciech Szacki **Władca list** – czyli kogo prezes PiS dopisze, a kogo skreśli
- 19 Rafał Kalukin **Marsze polityczne** – co dają i dokąd prowadzą



- 22 Marta Mazuś **Kasa ważniejsza niż cnota** – czyli jak gminy cichaczem wycofują się z uchwał anty-LGBT

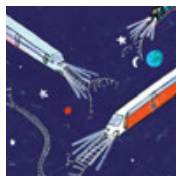
Społeczeństwo

- 26 Ryszarda Socha **Polacy pokochali tętnie** – skąd ta moda i czy rzeczywiście jest zdrowa
- 30 Joanna Cieśla **Natalia de Barbaro: od doradczyny Tuska do „czułej przewodniczki”**
- 33 Piotr Pytlakowski **Bunt w ośrodkach dla cudzoziemców**



Rynek

- 36 Adam Grzeszak **Jakim pracownikiem jest sztuczna inteligencja**
- 39 Marcin Piątek **CPK bierze się za kolej**



Świat

- 42 Agnieszka Bryc **ROSJA Rosjanie zobaczyli wojnę**
- 45 Artur Domoślawski **WENEZUELA Nicolas Maduro: drugie życie zombie**
- 48 Piotr Podemski **WŁOCHY Duma Neapolu**

Nauka/projekt pulsar.pl

- 50 **Bertrand Piccard** o tym, jak ratować środowisko
- 54 Andrzej Hołdys **Lit: król metali**
- 58 Edwin Bendyk **Dlaczego Polacy nie czytają**



Historia

- 64 Marian Turski **Laureaci Nagród Historycznych POLITYKI**
- 68 Krzysztof Mikulski **Kim był Kopernik**



Kultura

- 76 Aneta Kyzioł **Serialowa historia Kleopatry: ile prawdy, ile poprawności**



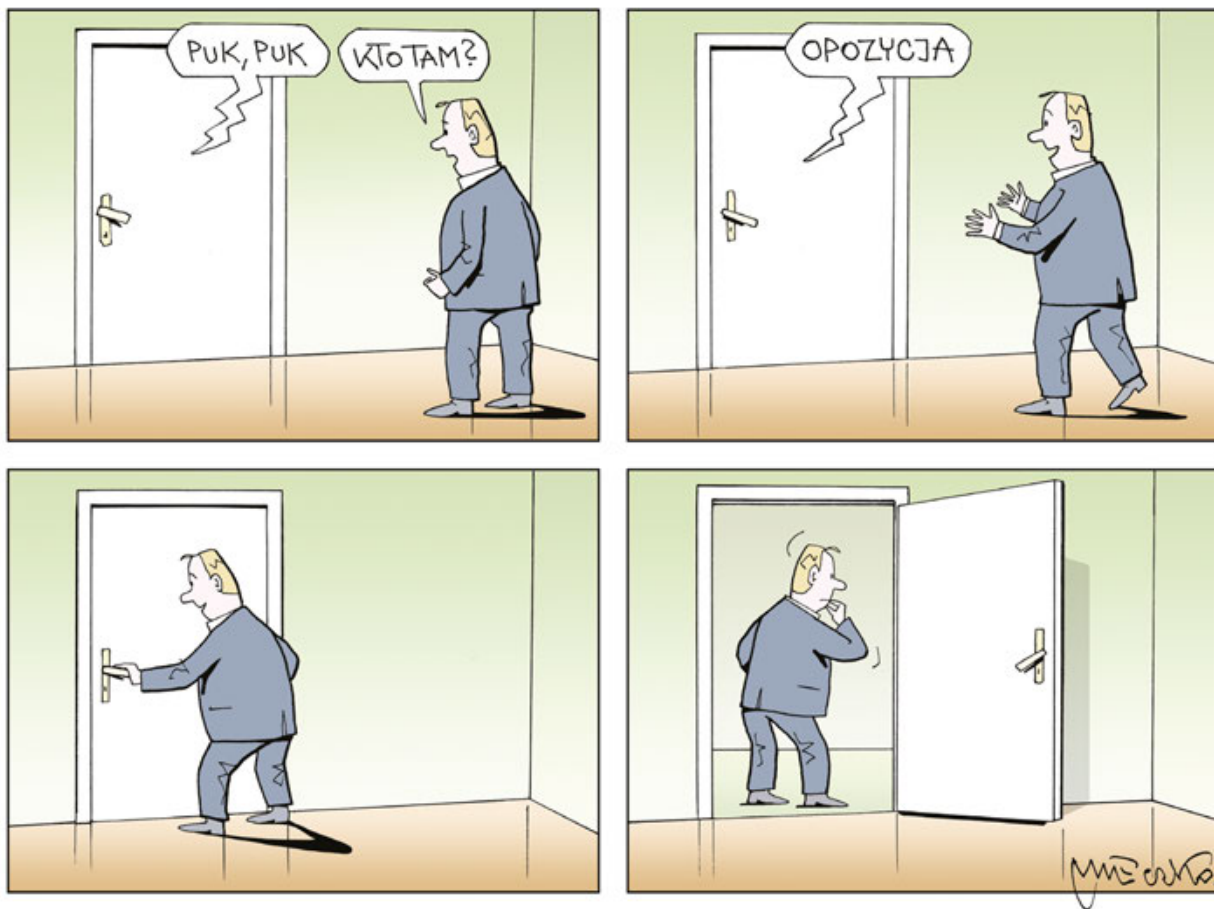
- 79 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
- 80 Rozmowa z **Olafem Lubaszką** o życiu, chorobie i rosyjskich korzeniach
- 84 Michał R. Wiśniewski **„Fanfik” w streamingu**
- 86 **Zeruya Shalev** o Izraelu i swojej nowej powieści „Los”

Ludzie i style

- 92–97 • **Miejskie ogrodnictwo**
- **Modna broszka** • **Bejba i krejza**
 - **Zdrowie ze smartwatcha**
 - **Kreml w ogniu** • **Piramida OneCoina** • **Wakacje w Karyntii**
 - **Focaccia po polsku**

Stałe rubryki

- **4** Mleczko i Mizerski • **6** Przypisy
- **7** Ludzie i wydarzenia • **72** Afisz
- **88** Agata Passent • **89** Chutnik i Plebanek
- **90** Wicha • **91** Do i od redakcji
- **98** Polityka i obyczaj



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Sadomasochiści atakują

O tym, że Parlament Europejski jest instytucją zepsutą i obłąaną, świadczą zdaniem europościa Krasnodębskiego z PiS nie tylko antypolskie wyroki TSUE i wstrzymanie naszymu krajowi pieniędzy z KPO, ale także obsceniczna i „po prostu obrzydliwa” wystawa w gmachu PE, prezentująca m.in. zdjęcie postaci przypominającej Jezusa Chrystusa w otoczeniu osób w strojach sado-maso oraz zdjęcie nagiego mężczyzny w pozycji nawiązującej do Jezusa na krzyżu, do którego przytula się inny rozneglizowany mężczyzna.

Zmuszanie Krasnodębskiego i innych europościoń PiS do patrzenia na rozneglizowanych sadomasochistów otaczających postać przypominającą Chrystusa uważam za do-wód na prześladowanie chrześcijan. Według mnie chrześcija-nie sami powinni decydować o tym, jakie obrzydliwości chcą oglądać. Niestety okazuje się, że ludzie ci są prześladowani nie tylko w Polsce (gdzie na szczęście z inicjatywy ministra Ziobry ma być uchwalona ustawa, „O obronie chrześcijan”, która położy tym prześladowaniom kres), ale także w gmachu PE, w którym, jak wiadomo, przed obrzydliwościami i obrażaniem nie chro-nią chrześcijan żadne ustawy.



Oburzony Krasnodębski wzywa PE do „dbania o standardy”, ale na jego miejscu nie histeryzowałbym; w końcu w PE można zobaczyć brutalnie obrażające niż wspomniana wystawa, choćby europościa Tarczyńskiego czy europościanki: Kempę, Kloc, Mazurek i Zalewską, którzy zaniżają standardy tej instytucji znacznie bardziej niż sadomasochiści otaczający osobę przypominającą Jezusa.

Po pierwsze, europościanki i europościołowie PiS nie występują w PE na zdjęciach, ale na żywo. Ich wypowiedzi brutalnie obrażają rozum, a także inteligencję słuchaczy, jednak nikt się nie oburza, nie czuje przez nich prześladowany i nie pisze listów z żądaniem, żeby Tarczyńskiego, Kempę czy Mazurek usunąć z gmachu PE albo chociaż wyłączyć głos, kiedy przemawiają.

Krasnodębski deklaruje, że wystawa go brzydzi, a seksualnych wynaturzeńców, którzy organizują ją, „drwią z chrześcijaństwa” oraz „obnażają swoje genitalia” – nie szanuje. No cóż, drwienie drwieniem, ale zgadzam się z Krasnodębskim, że obnażanie przy tej okazji genitaliów budzi kontrowersje. Uważam, że takie obnażanie zaniża europejskie standardy w tym samym stopniu, co wystąpienia, podczas których Kempa, Zalewska i Tarczyński obnażają na mównicy w PE własny poziom umysłowy.

Wielki rejs po Karaibach

Niezapomniany rejs po Karaibach statkiem Norwegian Jade, w trakcie którego odwiedzimy Tampę i 10 karaibskich wysp oraz zapewnimy pełne wyżywienie i atrakcje.

Program wycieczki: **Dz. 1** Warszawa – Orlando – Tampa, USA. Przyjazd i zakwaterowanie w hotelu. **Dz. 2** Tampa. Zwiedzanie miasta a następnie wejście na pokład statku. **Dz. 3-4** Dzień na morzu w kierunku Dominikany. Czas wolny na pokładzie. **Dz. 4** Dzień na morzu w kierunku Grand Turk. Czas wolny na pokładzie. **Dz. 5** Puerto Plata, Dominikana. Spacer po mieście z pilotem. **Dz. 6** San Juan, Portoryko. Spacer po starym mieście i czas wolny. **Dz. 7** St. Thomas, Wyspy Dziewicze. Możliwość zwiedzania wyspy i miasta Charlotte Amalie z pilotem wycieczki (opcjonalnie). **Dz. 8** St. John's, Antigua. Zwiedzanie miasta St. John's z pilotem. **Dz. 9** Bridgetown, Barbados. Dzień na plaży. **Dz. 10** St. George's, Grenada. Możliwość zwiedzania wyspy, w tym Park Narodowy Grand Etang, plantacja przypraw, wodospad i relaks na plaży (opcjonalnie). **Dz. 11** Willemstad, Curaçao. Antyle holenderskie, pastelowe kolorowe domy i spacer po mieście. **Dz. 12** Oranjestad, Aruba. Czas do własnej dyspozycji, spacer po mieście lub dzień na plaży. **Dz. 13** Dzień na morzu w kierunku Kajmanów. Czas wolny na pokładzie. **Dz. 14** George Town, Kajmany. Zwiedzanie stolicy z polskim pilotem. **Dz. 15** Dzień na morzu w kierunku Tampy. Czas wolny na pokładzie. **Dz. 16** Tampa, przejazd na lotnisko, powrót do domu. **Dz. 17** Przyjazd do Warszawy.

17 dni | Wylot z Warszawy 24/02 2024

17.998,-



Albatros travel



WYKŁAD
ONLINE



Uganda-na tropie goryli i szympanów

25/05/23 o godz. 17:00

Rejestracja na stronie
www.albatros.pl



Afrykańskie bezdroża – safari w Parku Krugera i camp Albatrosa

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Johannesburga. **Dz. 2** Przelot Johannesburg – Hoedspruit. Przejazd do campu Honeyguide Mantobeni w Rezerwacie Manyeleti w Parku Krugera. **Dz. 3** Ekscytujące safari w Rezerwacie Dzikich Zwierząt Manyeleti i degustacja wina. **Dz. 4** Przejazd wzdłuż Trasy Panoramicznej stycznej z pięknymi widokami i przystanki przy punkcie widokowym „Okno Boga” i kanyonie rzeki Blyde. **Dz. 5** Safari w Rezerwacie Dzikich Zwierząt Manyeleti. **Dz. 6** Safari w Rezerwacie Dzikich Zwierząt Manyeleti. Wizyta w lokalnej wiosce. **Dz. 7** Safari w Rezerwacie Dzikich Zwierząt Manyeleti i lampka wina o zachodzie słońca przy punkcie widokowym Skybed. **Dz. 8** Manyeleti Game Reserve – Hoedspruit – Johannesburg. Podróż powrotna do Polski. **Dz. 9** Powrót do domu.

9 dni | Wylot z Warszawy 27/01 2024 | 14.998,-

Śladami Aleksandra Wielkiego

Niezwykła podróż do miejsc związanych z Aleksandrem Wielkim od Macedonii przez Albanie i Grecję do Turcji.

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Skopje, Macedonia. Zwiedzanie stolicy. **Dz. 2** Skopje – Bitola – Ochryda. Zwiedzanie ruin w Stobi oraz Heraklei. **Dz. 3** Ochryda – zwiedzanie miasta i rejs po Jeziorze Ochrydzkim. **Dz. 4** Ochryda – Naousa – Pella – Saloniki, Grecja. Degustacja wina i wizyta w miejscu narodzin Aleksandra Wielkiego. **Dz. 5** Saloniki – Wergina – Saloniki. Grobowce w Werginie, zwiedzanie miasta i czas wolny. **Dz. 6** Saloniki – Edirne, Turcja. Spacer wybrzeżem Morza Egejskiego i zwiedzanie Edirne. **Dz. 7** Edirne – Stambuł. Przyjazd do Stambułu i rejs po Bosforze. **Dz. 8** Stambuł. Zwiedzanie miasta, w tym Błękitny Meczet, Sultanahmet i lokalny bazar. **Dz. 9** Stambuł – Warszawa. Czas na własną rękę i powrót do Polski.

9 dni | Wylot z Warszawy 24/09 2023 | 7.298,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: PL18

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Ula król



Jerzy Baczyński

Duże badanie postaw i nastrojów społecznych, które omawiamy w tym numerze, potwierdza, że na kilka miesięcy przed wyborami większość Polaków oczekuje zmiany. Narasta zyczenie władzą, jej aferami, nieudolnością, drażniącą propagandą. Z utrzymania rządów przez Zjednoczoną Prawicę zadowolonych byłoby już tylko 29 proc. ankietyowanych. Odpowiedzi na pytania o poglądy mówią to samo: rządząca prawica ma poparcie około jednej trzeciej wyborców i mimo najróżniejszych wysiłków tego sufitu od dawna nie potrafi przebić. Paradoks sytuacji polega na tym, że większość społeczeństwa czuje się jak mniejszość.

Dopytywani – w tym i w innych sondażach – przeciwnicy PiS deklarują małą wiarę w zwycięstwo opozycji i możliwość utworzenia przez nią sprawnego rządu. Wciąż dominuje poczucie bezsilności, frustracji – w znacznej mierze wywołane konfliktami i brakiem porozumienia między liderami opozycyjnych ugrupowań. Przykładem są choćby ostatnie kontrowersje (opisujemy je w artykule na s. 19) wokół zaplanowanego na 4 czerwca wielkiego marszu w obronie demokracji „przeciw złodziejstwu i niekompetencji rządów PiS”. Powinien to być marsz jedności, no ale zaczął się od wzajemnego popychania i deptania sobie po odciskach. Trudno się dziwić obsesyjnie powracającym pytaniom: jak Oni mają za kilka miesięcy rządzić, jeśli w ogóle ze sobą nie rozmawiają? Czy poza odsunięciem PiS od władzy mają jakiś wspólny program na potem? Jakąś wizję kraju?

Faktycznie, gdyby patrzeć tylko na kampanijne manewry liderów czterech ugrupowań demokratycznej opozycji, można by zwątpić w ich poczucie odpowiedzialności. Na szczęście nie jest tak źle, jak to na zewnątrz wygląda. Ogólnie: im niżej, tym lepiej. Zwłaszcza w parlamencie posłowie i senatorowie „czwórki” dość intensywnie ze sobą współpracują, spotykają się formalnie i kulturalowo, a eksperci i czołowi działacze partii rozmawiają także poza Wiejską. Czasami nawet w formie zorganizowanej. Opowiem krótko o jednym z takich przedsięwzięć, które przez wiele miesięcy odbywało się dyskretnie, poza zasięgiem mediów, a dopiero w tym tygodniu znalazło podsumowanie.

Otóż wczesną jesienią ubiegłego roku kilka organizacji społecznych (lista na końcu) zaproponowało politykom czterech opozycyjnych partii cykl debat pod hasłem „Jaka Polska po wyborach?”. Cel był prosty: stworzyć niezależną platformę do rozmowy o zadaniach, jakie będą czekały ewentualny przyszły koalicyjny rząd; sporządzić protokół zbieżności i rozbieżności między partiami; poznać wzajemnie swoje stanowiska i swoich ekspertów. Pomysł zyskał ogólną aprobatę liderów, choć ostateczną listę dyskutantów ustalali organizatorzy. Debaty były zamknięte dla publiczności, ale z każdej powstawał zapis wideo, streszczenie, osobne podsumowanie dokonane przez moderatorów oraz, co najważniejsze – wnioski, nazwane rekomendacjami. Spotkania odbywały się od września do kwietnia. Łącznie ponad 50 godzin dyskusji, w których udział wzięło 400 uczestników, 80 prelegentów, w tym prawie 50 posłów, głównie trzech opozycyjnych partii obecnych w Sejmie (KO, KP, Lewica) oraz doradcy i eksperci Polski 2050.

Tematów łatwo się domyśleć: praworządność, oświata, samorząd, polityka społeczna, gospodarcza, zagraniczna, służby specjalne, media – łącznie 17 paneli. Moderatorami byli wybitni w swoich dziedzinach eksperci, w tym profesorowie Adam Bodnar, Marcin Matczak, Tadeusz Kowalski, Paweł Borecki, Jan Widacki, ale także praktycy – ambasador Ryszard Schnepf, minister Jarosław Bauc, Alicja Pacewicz i inni, których nazwiska będziemy wymieniać, omawiając w przyszłości nieco szerszej dorobek debat. Na razie Raport z dyskusji wraz z rekomendacjami – w sumie ponad 200 punktów i 150 stron – organizatorzy przekazali kierownictwom czterech ugrupowań, których eksperci uczestniczyli w projekcie.

Raport nie jest projektem umowy koalicyjnej ani programem wyborczym, nie ma wagi oficjalnych ustaleń, niekiedy tylko ogólnie wskazuje sposób realizacji przyjętych postulatów. To produkt „misji dobrej woli” realizowanej przez wszystkich uczestników w publicco bono. Ale wynik jest optymistyczny: między czterema partiami ewentualnej przyszłej koalicji panuje duża zgodność co do kierunków i sposobów „odbudowy państwa po PiS”. Różnice nie są fundamentalne, dotyczą np. niektórych kwestii światopoglądowych, stosunków państwa i Kościoła, priorytetów w polityce społecznej, ale są to tematy, które na ogół mogą być odkładane na później, na pewno nie blokowałyby możliwości powstania nowego rządu.

Oryginalne pomysły poszczególnych partii czy ich ekspertów raczej się sumują, niż wykluczają, że przywołam tylko kilka (nie wskazując autorów) projektów instytucjonalnych. Chodzi na przykład o powołanie wyspecjalizowanych wydziałów sądowych do realnego rozpatrywania wniosków o podsłuchy czy areszty, odciążenie sądów poprzez przeniesienie spraw rozwodowych do urzędów stanu cywilnego, czy – z innych obszarów – utworzenie eksperckiej ponadpartyjnej Komisji Edukacji Narodowej, Rady Polityki Energetycznej czy społecznej Rady Powierniczej dla mediów publicznych, która też udzielałaby granty innym mediom na realizację programów „misyjnych”. Są także plany na okres przejściowy, w którym priorytetem będzie szczegółowy audyt państwa po rządach PiS, szybkie, w ciągu roku, rozliczenie nadużyć i kradzieży, rekonstrukcja kolejnych instytucji zdewastowanych w ciągu minionych 8 lat. W sumie: nie ma powodów do ciągłego samobiczowania się, że – w odróżnieniu od PiS – „opozycja nie ma programu”.

Zresztą, przyjrzyjmy się programowej ofensywie PiS, której wielką odsłonę mieliśmy w miniony weekend. Podczas dwudniowej samochwalczej imprezy padły rutynowe już deklaracje o materialnym doganianiu Zachodu, o tym, jak to PiS nadał nowy sens demokracji (tu zgodna), jak broni równości (pech z tym apartamentem Brudzińskiego), jak rozbudowuje i wzmacnia obronność (ta rakietą Błaszczaka!). Wszystko zmierzało do 10-sekundowego finału: zapowiedzi, że 500 plus zmieni się w 800 plus. To był najważniejszy „konkret” przedsięwzięcia nazwanego „Programowym ulem PiS”.

Rzeczywiście oglądaliśmy partyjny spektakl, który można śmiało zatytułować „Król Ula”. Skojarzenie literackie z Królem Ubu jest na miejscu. Przypomnę, bo chyba w szkole ministra Czarnka się tego nie omawia, że nowatorska sztuka Alfreda Jarry’ego z 1888 r. nosi tytuł „Ubu Król, czyli Polacy” i toczy się „w Polsce, czyli nigdzie”. Opowiada historię groteskowego dyktatora, który w wyniku zamachu stanu przejmuje władzę nad krajem, dręcząc i kradnie, dopóki nie obali go buntownik Byczysław. Ale zostawmy już Króla Ubu... Ktokolwiek podrzucił Kaczyńskiemu pomysł ula, ściągnął na partię lawinę drwin: z partyjnych trutni wyjadających miód; z „roju wujów”, z ula, który produkuje jad, a nie miód, ula jako celi itd. Wyszła z tego jakaś groteska, plus inflacyjna waloryzacja 500 plus. Naprawdę opozycja nie musi mieć kompleksów. Powinna (tu pożegnamy metaforę ula) dalej lepić swój wspólny program i przede wszystkim schować żądlą.

PS Organizatorzy debat: Fundacja Sztuka Media Film, Fundacja im. Janiny Paradowskiej i Jerzego Zimowskiego, Instytut Spraw Publicznych, Fundacja Geremka, Fundacja Amicita, Stowarzyszenie 61.



© TADEUSZ WYPYCH/REPORTER

Kamil. Niewidoczny za życia, obecny po śmierci

Zakatowanie 8-letniego chłopca poruszyło wszystkich, łącznie z politykami. Zaczął się festiwal demagogicznych haseł, a Morawieckiego z Ziobrą połączyła tęsknota za karą śmierci. Tyle że za emocjonalnymi słowami nie idą czyny – PiS od lat trzyma w legislacyjnej zamrażarce projekty mogące wzmocnić ochronę dzieci.

Niecodziennie zdarza się, by w pogrzebie dziecka uczestniczyły tysiące obcych ludzi, a ceremonię prowadził biskup. Śmierć 8-letniego Kamila, o którego życie przez kilka tygodni walczyli katowicki lekarze, stała się impulsem do dyskusji o ochronie dzieci przed przemocą ze strony dorosłych i o systemie, który tej pomocy nie zapewnia. Jednocześnie w blasku fleszy stanęli Mateusz Morawiecki i Zbigniew Ziobro, ubolewając, że w Polsce nie ma najwyższego wymiaru kary. Obaj politycy powiedzieli to tego samego dnia i to w odstępie kilkudziesięciu minut. Nie zabrakło też ministra edukacji Przemysława Czarnka, który w emocjonalnej wypowiedzi dla jednej ze stacji telewizyjnych stwierdził, że kluczowe dla dramatu 8-letniego dziecka jest to, że rozegrał się w patologicznej rodzinie. A do patologii dochodzi, bo atakowane są wartości chrześcijańskie i rodzina.

Kamil trafił do szpitala w pierwszych dniach kwietnia – maltretowanie dziecka zgłosił policji jego biologiczny ojciec. Chłopca z rozległymi oparzeniami i złamaniami przetransportowano do Górnośląskiego Centrum Zdrowia Dziecka w Katowicach, gdzie przeszedł kilka operacji. Mimo ogromnych wysiłków lekarzy wprowadzenia go w stan śpiączki farmakologicznej, Kamil zmarł 8 maja, a media – szczególnie

te tabloidowe – bez skrupułów donosiły o ostatnich chwilach życia dziecka. Pisano więc o modlącym się przy jego łóżku personele, o ostatnim namaszczeniu, płaczącym ojcu, opowiadającym, że przytulał umierającego synka i prosił, by nie odchodził. „Kamilek płakał, on słyszał, co do niego mówię... Zobaczyłem łzy na jego oczach” – cytował ojca chłopca jeden z tabloidów.

Partner matki dziecka został aresztowany na początku kwietnia. Zatrzymano też matkę Kamila i ciotkę, które nie reagowały na maltretowanie chłopca. Krótko po śmierci 8-latka minister Ziobro zapowiedział, że sprawca przemyco usłyszy zarzut zabójstwa za szczególnym okrucieństwem. Wiadomo też, że niezależnie od śledztwa mającego wyjaśnić okoliczności tej okrutnej zbrodni, drugim wątkiem, jakim zajęli się prokuratorzy, jest niedopełnienie obowiązków przez pracowników ośrodków pomocy społecznej w Częstochowie i w Olkuszu, gdzie przez pewien czas mieszkała rodzina Kamila, oraz gminnych zespołów ds. przeciwdziałania przemocy w rodzinie, a także przez kuratorów i placówki oświatowe w Częstochowie i Olkuszu. Rodzina w Olkuszu miała założoną niebieską kartę ze względu na przemoc, ale po przeprowadzce do Częstochowy – oficjalnie w związku z poszukiwaniem pracy – zniknęła z systemu. I o tym systemie mówią

obecnie osoby zaangażowane w pomoc dla dzieci – ofiar przemocy domowej.

Do tej pory Polska nie ratyfikowała III protokołu Konwencji o Prawach Dziecka. W 2016 r. grupa 19 organizacji pozarządowych przygotowała petycję dotyczącą ratyfikacji dokumentu podpisanego za rządu PO-PSL (w 2013 r.). Pomimo tego że jednym z inicjatorów i współtwórców konwencji była... Polska, ratyfikacja trafiła do zamrażarki. Zdaniem obrońców praw dziecka wszystko dlatego, że pozwoliłaby urealnić ochronę, zapewniając perspektywę międzynarodowej oceny działania polskich organów władzy.

Kolejne starania podjęła Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę, która w 2019 r. zabięła o wprowadzenie procedury Serious Case Review (SCR). Nie chodzi w niej o znalezienie winnego przemyco i śmierci dziecka, bo tym zajmuje się prokuratura, ale o odkrycie luk w systemie, co pozwala chronić inne dzieci.

Fundacja, która zebrała 22 tys. podpisów pod petycją mającą wzmocnić tę inicjatywę, dotarła do Kancelarii Prezydenta. Projekt miał trafić do Sejmu. Trafił inny, przygotowany przez rzecznika praw dziecka. I od ponad roku leży w sejmowej zamrażarce.

Biskup pomocniczy archidiecezji częstochowskiej Andrzej Przybylski na pogrzebie Kamila powiedział: „Z pewnością musimy się domagać sprawiedliwości, sprawiedliwej oceny osób, instytucji, wspólnot, ale wszyscy przecież jakoś zawiedliśmy. Nikt z nas wobec losu Kamila nie jest pewnie bez winy. I te winy różnie się rozkładają, różne mają gatunki i ciężary, ale kto z nas jest bez winy?”

Wiadomo, że w 2022 r. częstochowski MOPS wystąpił do sądu rodzinnego o ustanowienie wobec chłopca pieczy zastępczej – czyli po prostu odebranie go matce i ojczymowi. Sąd nie znalazł podstaw do takiej decyzji. Dzień po śmierci Kamila Zarząd Stowarzyszenia Sędziów Rodziny w Polsce podjął uchwałę, w której napisał m.in.: „Jako sędziowie analizujemy ogólną sytuację, również z punktu widzenia sądu opiekuńczego, aby do takich zdarzeń więcej nie doszło. Zauważamy potrzebę zmian w całym systemie, na wszystkich szczeblach instytucji zajmujących się dzieckiem i rodziną, łącznie z sądem”. Sędziowie przyznali, że brakuje narzędzi do systemowej analizy krzywdzenia dzieci, w tym ze skutkiem śmiertelnym, a system przepływu informacji pomiędzy sądem opiekuńczym, organami pomocy społecznej, kuratorami, organizatorem pieczy zastępczej i policją, szczególnie w sytuacji zmiany miejsca zamieszkania rodziny z dzieckiem, jest niewydolny.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Obiecanki prezesa

Swoją dwudniową warszawską konwencję PiS nazwał „ulem programowym”, bo podobno z badań wyszło mu, że kojarzy się ludziom z pszczołą. W sobotę i niedzielę w należącej do Polsatu hali stawilo się parę tysięcy działaczy partii rządzącej. Okolice były obstawione przez dziesiątki policjantów, którzy już 1,5 km przed miejscem imprezy odradzali kierowcom dalszą jazdę. Wrażenie oblężonej twierdzy potęgowało się jeszcze na miejscu; gdy dziennikarze zostali w końcu wpuszczeni między działaczy, każdy z nich miał przydzielonego opiekuna, który nie odstępował go ani na krok.

W sobotę i przez większość niedzieli zadziało się niewiele. Liderzy PiS – **Jarosław Kaczyński**, Mateusz Morawiecki, liczni ministrowie oraz była premier Beata Szydło – podsumowywali ostatnie osiem lat i krytykowali poprzedników. Technokratyczne wystąpienie premiera, obfitujące w procenty i wskaźniki, nie porwało słuchaczy; sala ciepłej zareagowała na Szydło i nowego ministra rolnictwa Roberta Telusa.

Mówcy serwowali dania znane i wielokrotnie już odgrzewane. Polska goni i już wkrótce dogoni pod względem poziomem życia kraje zachodnie, armia potężnieje, status naszego kraju w świecie się umacnia, bezrobocie jest rekordowo niskie, a inflacja już niedługo spadnie. W szkołach jest coraz lepiej, w ochronie zdrowia także, kryzysu energetycznego uniknęliśmy, a z Unią twardo walczyliśmy o nasze interesy, ale nie zamierzamy jej opuszczać, choć na pewno nie porzucimy naszej waluty. I strach pomyśleć, co by było, gdyby przez ostatnie lata rządził Donald Tusk.

Z trzech scen, na których odbyło się 10 dyskusji, nie padło nic specjalnie świeżego, nie pojawiły się żadne nowe propozycje. Nie spodzianki ogłosił dopiero Kaczyński w przemówieniu zamykającym konwencję. Prezes obiecał od stycznia waloryzację programu 500 plus (do 800 zł, kosztem ok. 25 mld zł), darmowe leki dla dzieci



i osób powyżej 65 roku życia (bez szczegółów), a także likwidację opłat za autostrady dla samochodów osobowych. Kaczyński zaznaczył, że to nie koniec obietnic, następne mają być przedstawione na kolejnych konwencjach.

Czy to już wyczekiwana przez strategów cudowna broń, która pozwoli PiS przedłużyć rząd? Niekoniecznie. Waloryzacja 500 plus to po prostu przyznanie, że inflacja zjadła dużą część świadczenia. Nastroje społeczne, jak pokazują badania CBOS, są marne (56 proc. ankietowanych uważa, że sprawy w Polsce idą w złym kierunku), pensje nie nadążają za wzrostem cen, a koalicja pogrąża się w konfliktach. Na konwencję nie byli zaproszeni politycy Suwerennej Polski, a w czasie imprezy portal interia.pl opublikował wywiad z Patrykiem Jakim, w którym europoseł z partii Zbigniewa Ziobry atakował premiera. 800 plus tych wszystkich problemów nie rozwiąże.

WOJCIECH SZACKI

Trybunał niegdyś Konstytucyjny: bunt, groźby i paraliż

W zeszłym tygodniu mieliśmy pokaz bejsiły władzy wobec własnych wasali obsadzonych w Trybunale – niegdyś – **Julii Przyłębskiej**. I obnażenie faktu, że sama Przyłębska już w Trybunale swojego imienia nie rządzi. Oto bowiem miała się w pełnym składzie odbyć rozprawa, której rozstrzygnięcie miało zapewnić Mariuszowi Kamińskiemu i Maciejowi Wąsikowi spokój – tak, aby nikt już ich nie ciągał po sądach za nadużycie władzy w aferze gruntowej. A także ostatecznie przyklepać prezydenckie „ułaskawienie”. Było więc gorączkowe przeciąganie zbuntowanych członków Trybunału niegdyś Konstytucyjnego (TnK) na pisowską stronę mocy: metodą marchewki, ale też kija. O wzmocnionych naciskach władzy poinformował na swoim blogu Mariusz Muszyński, wiceprezes Trybunału, który był sprawozdawcą w sprawie Kamińskiego i Wąsika. Miał być straszony utraceniem kariery jego żony, prokuratorce w Prokuraturze Krajowej, i odgrzebanie przez media sprawy jego „związków z wiadomem”. Poinformował też, że od stycznia 2021 r. prowadzi kalendarium, w którym odnotowuje „osoby przybywające do TK z różnymi apelami”, i „nie może się oprzeć



wrażeniu, że jakby jeszcze złożyć niektóre daty tych apeli z różnymi ważnymi wydarzeniami, to wnioski mogłyby być zaiste spiskowe”. Tak oto Muszyński postraszył tych, którzy straszą jego, że ujawni ich naciski na członków Trybunału w ważnych dla władzy sprawach. Taki mamy tam klimat.

Zachęty i groźby nie pomogły. Nawet te tuż przed rozprawą w sali narad, z której było ponoć słycać krzyki (albo: „podniesione głosy”). Tylko jeden z buntowników, wiązany ze Zbigniewem Ziobrą, był radny PiS i prokurator krajowy Bogdan Świączkowski, z buntu zrezygnował. I został natychmiast

ujawniony jako „skruszony”: Julia Przyłębska postanowiła bowiem, że wszyscy chętni do orzekania wyjdą na salę rozpraw, żeby się pokazać publiczności. Sama Przyłębska poinformowała – bez jakichkolwiek komentarzy – że rozprawy nie będzie, bo z 15 sędziów, którzy przyszli tego dnia do pracy, tylko 10 wykazało gotowość orzekania.

Jeśli była to próba generalna przed osądzeniem 30 maja ustawy o Sądzie Najwyższym, mającej nam zapewnić pieniądze na KPO, to niedobrze wróży to władzy. Bo nawet jeśli uchwali zmianę przepisów o minimalnym kworum sędziów w sprawach pełnoskładowych (ustawa jest teraz w Senacie), to konflikty o „prezes Julię” i nieprzebieganie w środkach, by spacyfikować buntowników, będą miały długotrwałe konsekwencje. Także dla orzekania w mniejszych składach: pięciu buntowników odmawia bowiem uznawania zarządzeń Przyłębskiej jako prezeski – w tym tych wyznaczających mniejsze (trójkowe i piątkowe) składy. Będzie pełnoskalowy paraliż.

Tak oto kończy się Trybunał niegdyś Konstytucyjny: nie hukiem, a chichotem.

EWA SIEDLECKA

Rachunek za urojenia

Radosław Sikorski

Kiedyś dziennikarz, potem m.in. szef MON, MSZ oraz marszałek Sejmu. Obecnie w PE.



Mogło być tak: po upadku rakiety pod Przewodem rząd ogłasza, że co prawda mamy swoje różnice zdań z Niemcami – od reparacji przez Nordstream po przejście do głosowań większościowych w Unii – ale doceniamy, że nasz traktatowy sojusznik przysłała baterię Patriot w obszar graniczący z konfliktem zbrojnym. Gdy trzy tygodnie później nad Polskę nadlatuje kolejna raketa, rząd mówi: widzicie, mieliśmy rację. Obrona przestrzeni powietrznej Polski to sprawa nie tylko naszego kraju, ale całego NATO. Tak, jak granica musi być chroniona przed nielegalnymi imigrantami, i za to powinna zapłacić cała Unia, tak Polsce należy się wsparcie wszystkich sojuszników w wykrywaniu i unieszkodliwianiu obiektów latających w ich kierunku. W gremiach decyzyjnych NATO i UE Polska uruchamia koalicję państw zagrożonych, które wspólnie argumentują, że wobec ewidentnego wzrostu zagrożenia systemu przeciwlotnicze w zasobach państw zachodnioeuropejskich powinny z poligonów i magazynów trafić tam, gdzie są pilnie potrzebne. Bezpieczeństwo Polaków wzrosłoby podwójnie. Raz – fizycznie, dzięki ewentualnym dodatkowym zdolnościom obronnym, ale także subiektywnie, dzięki poczuciu, że sojusz, do którego należymy, jest solidarny w potrzebie.

Mogło być, ale nie było, bo to byłby zbyt skomplikowany przekaz. Niemcy nie mogą być jednocześnie krajem, który nie rozliczył się z III Rzeszy, a Unię próbuje przekształcić w IV Rzeszę, i jednocześnie być dobrym sąsiadem oraz partnerem w przewodzeniu Unii. O ileż łatwiej snuć mroczne aluzje o Teutonach, którzy nawet gdy robią coś pozornie życzliwego, to na pewno mają w tym perfidny cel. Według naszych rządzących Polska nie może być normalnym

europejskim krajem, ze swoimi atutami i słabościami, z historycznymi zaszłościami i szczególnymi interesami, lecz musi być wieczną niepokalaną ofiarą, która nie może ustąpić nic ze swojego moralnego kapitału zebranego hekatombą krwi. Bo ten kapitał jest ważniejszy niż rzeczywistość materialna i to on zdecyduje o jej pozycji w hierarchii narodów, jak nie na tym padole, to w życiu pozagrobowym. Nie mówiąc już o tym, że jak Niemiec okazałby się mniej demoniczny, niż go partia rządząca maluje, to osłabnąć mogłaby siła rażenia Tuszkowego „für Deutschland”.

Putin grzmi o zgniłym Zachodzie, mimo że w interesie Rosji byłoby mieć Zachód jako sojusznika Rosji wobec Chin, które z każdym rokiem zostawiają Rosję w tyle, a nie zapomniały o rozbrojeniu Mandżurii. Chiny już przejmują rosyjski rynek i źródła energii, a jeśli wojna potrwa dłużej, to kto wie, czy nie przejmą rezerw złota i więcej. Wszystko dlatego, że dla Putina utrzymanie autorytarnej władzy i marzenia o przejściu do historii jako zdobywca były ważniejsze niż modernizacja Rosji.

Kaczyński grzmi o zgniłym Zachodzie, mimo że w interesie Polski byłoby utrzymywać poprawne stosunki z Niemcami, a instytucje europejskie mieć po naszej stronie w dziele zrównoważonego zarządzania Unią. W interesie Polaków nie jest ani antyunijna, ani antyniemiecka szarża w imię krzywd naszych dziadków. W naszym interesie jest: zdolna do obrony przed Putinem Unia, konkurencyjny europejski rynek, praworządność i miliardy z KPO.

Ale wodzowie i wodzusiowie nie są nowoczesnymi patriotami. Nie widzą się jako tymczasowi zarządcy powierzonych im instytucji, których ambicją powinno być pozostawienie ich w lepszym stanie, niż zastali. Dla osobowości autorytarnych ich kraje są jedynie dodatkami do własnego ego, zasobami do realizacji heroicznych wizji. Co przeważnie kończy się wielką klapą, a za urojenia przywódców i uniesienia ich zwolenników przychodzi słony rachunek.

Szprychą w las

Blisko 200 ha lasu do wycięcia, wywłaszczenia prywatnych gruntów, miliardo- we koszty, pociągi mknące przez warszawską aglomerację z prędkością 250 km/h. A wszystko po to, żeby je przyspieszyć o kilka minut. Tak oto CPK ręką w rękę z PKP PLK modernizują nam sieć komunikacyjną.

Inwestycja nazywa się niewinnie: „Zwiększenie przepustowości (pociągów) na odcinku Warszawa Wschodnia–Nasielsk”. Chodzi o wylotową część linii kolejowej nr 9 ze stolicy do Gdańska, skądinąd w latach 2006–14 już zmodernizowaną z funduszy UE. Obecne trzy tory to jednak wciąż za mało i przydałoby się dobudować czwarty. Tyle że powołaniem wielkiego planisty z CPK jest czynić rzeczy naprawdę wielkie. Z rozmachem godnym tej instytucji machnął więc projekt kolejnej ze „szprych”, które mają obsługiwać lotnisko w Baranowie.

Zaden więc banalny czwarty tor, tylko węzeł komunikacyjny z rozchodzącym się osobnym traktem dla kolei szybkiej prędkości, która pomknie szerokimi łukami na potężnych betonowych estakadach,



kilkadziesiąt metrów nad ziemią. Szkopuł w tym, że akurat w tym miejscu – czyli w sąsiedztwie warszawskiej Choszczołki – rozciągają się lasy legionowskie, będące ostoją przyrody, miejscem rekreacji dla mieszkańców prawobrzeżnej Warszawy, również pochłaniaczem zanieczyszczeń z pobliskiej spalarni śmierci Czajka. Ale coż począć, przecież to człowiek czyni sobie

ziemię poddaną. W trakcie konsultacji społecznych PKP mówiło o marnych kilkunastu hektarach, przezornie jednak nie wliczając wielkich przestrzeni lasu, które mają zostać otoczone torami. A tam też raczej nie da się uniknąć siekierozady i łącznie pod wyrąb może pójść nawet 200 ha.

Do tego dojdą jeszcze liczne wywłaszczenia. I kiedy już planowana na lata 2030–36 inwestycja zostanie zrealizowana, szybka kolej pomknie z prędkością 250 km/h przez Wieliszew, Legionowo i warszawską Białołękę, żeby jakoś wyhamować na Warszawie Wschodniej. Dwa razy wolniejsze Pendolino to przy tym pikus, a już teraz nieźle hałasuje i wznieca pęd powietrza na peronach podmiejskiej kolejki. Ale przynajmniej pasażerowie powinni być zadowoleni, bo na modernizowanym odcinku 50 km czas podróży ulegnie skróceniu o 3, a może nawet całe 4 minuty! Mieszkańców niekoniecznie to jednak przekonuje, toteż organizują się w komitetach protestacyjnych, na razie bez efektów apelując o racjonalizację szalonej, megalomańskiej inwestycji. (RK)

O tym, jak CPK bierze się za kolej, piszemy też na s. 39.



W Turcji dogrywka

W pierwszej turze tureckich wyborów prezydenckich wygrał Recep Tayyip Erdoğan. Czy w dogrywce, 28 maja, zwycięstwo odbiorą mu kobiety?

Parafrazując hasło przypisywane Billowi Clintonowi, w tureckich wyborach znów sprawdził się slogan: „Wojny kulturowe, głupcze!”. Ani zła sytuacja gospodarcza, ani rekordowa inflacja, ani skutki lutowego trzęsienia ziemi – wszystko to głównie wyniki złych decyzji urzędującego prezydenta Erdoğan – nie zniechęciły wyborców do władzy. Jeszcze raz okazało się, że w tureckiej polityce więzi ideologiczne ważą więcej niż zawartość portfela czy nawet dach nad głową.

Wieczór wyborczy rozpoczął się od kilkunastopunktowej przewagi Erdoğan nad kandydatem zjednoczonej opozycji Kemalem Kılıçdaroğlu. Tego jednak można się było spodziewać, zważywszy na tradycyjną przewagę prezydenta w mniejszych ośrodkach i na prowincji, gdzie szybciej liczy się głosy. Z czasem, gdy spływały wyniki z większych miast, przewaga prezydenta topniała. Ale nie stopniała do końca. Gdy zamykaliśmy ten numer POLITYKI, według nieoficjalnych jeszcze, ale niemal pełnych wyników Erdoğan zdobył 49 proc. głosów, Kılıçdaroğlu – 45 proc., a kandydat skrajnej prawicy Sinan Oğan – 5 proc. Wszystko to przy frekwencji na poziomie 93 proc. (w Turcji głosowanie to obowiązek, choć słabo egzekwowany). Żaden z kandydatów nie zdobył więc połowy głosów, a to oznacza, że 28 maja odbędzie się druga tura, w której zmierzą się Erdoğan z Kılıçdaroğlu.

Prezydent Turcji był wyraźnie zadowolony z wyników i w trakcie powyborczej nocy raczej studził emocje.

Zdaniem politologa Cinara Ozena to już element strategii na drugą turę: – Erdoğan będzie teraz apelował o spokój, rozagę i odpowiedzialność. Już zaczął sugerować, że ponieważ jego partia, AKP, wygrała odbywające się jednocześnie wybory parlamentarne i wraz z sojusznicznymi nacjonalistami zdobędzie większość mandatów (ponad 320 na 600), to ewentualny wybór kandydata opozycji na prezydenta sparaliżuje kraj.

Na tle obozu Erdoğan opozycja zachowywała się nerwowo i reaktywnie. Jej liderzy alarmowali, że ludzie prezydenta zgłaszają nieprawidłowości w niemal każdym okręgu, gdzie wygrał Kılıçdaroğlu. Taki ruch automatycznie blokuje oficjalne ogłoszenie wyników, w efekcie przez kilka godzin Erdoğan – wbrew sondażom – wyraźnie prowadził w wynikach cząstkowych, a opozycyjni komentatorzy obawiali się, że po prostu ogłosi zwycięstwo, nie czekając na ostateczne rezultaty i drugą turę.

Nasi rozmówcy uważają, że sondaże okazały się chybiające głównie z powodu tzw. nieśmiałyłch konserwatystów. Chodzą

o religijnych wyborców, którzy pierwotnie nie zamierzali głosować na Erdoğan – z różnych, przeważnie ekonomicznych powodów – ale przstraszyła ich wizja zwycięstwa „heretyka”, choć z powodu poprawności politycznej nie przyznali się do tego przed ankieterami.

„Heretyk” Kılıçdaroğlu w trakcie kampanii przyznał, że jest alewitą, czyli członkiem heterodoksyjnej sekty w islamie, do której należy nawet 20 proc. tureckiego społeczeństwa. Wszyscy o tym wiedzieli, ale co innego publiczna deklaracja kandydata. Kılıçdaroğlu chciał jednak rozbroić tę bombę i przy okazji zebrać głosy różnych mniejszości, w tym Kurdów. Ale w ten sposób raczej zmobilizował sunnicką większość. Z tego samego powodu do urn poszli też liczniej niż zwykle nacjonalisci, co widać nie tylko na przykładzie dobrego wyniku skrajnie prawicowego ugrupowania MHP w wyborach parlamentarnych, ale też 5-procentowego poparcia dla trzeciego kandydata prezydenckiego Oğana. Jego deklaracja w sprawie drugiej tury może się okazać kluczowa, a zdecydowanie bliżej mu do Erdoğan.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na trzy grupy wyborców.

Po pierwsze, Turcy mieszkający za granicą oddali tym razem rekordową liczbę głosów, ponad 1,8 mln. I w większości były to głosy na Erdoğan – np. w Niemczech prezydent wygrał z wynikiem ok. 66 proc. Druga grupa to tzw. nowi Turcy, głównie syryjscy uchodźcy, którzy w ostatnich latach masowo dostawali tureckie obywatelstwa – zagłosowało ich ponad 100 tys. i niemal wyłącznie na swojego dobroczyńcę Erdoğan.

Ale jest jeszcze trzecia grupa, która może mieć decydujące znaczenie w drugiej turze wyborów: konserwatywne kobiety. To zawsze był żelazny elektorat Erdoğan – jego decyzja o zniesieniu zakazu noszenia chust na uniwersytetach i w budynkach publicznych uwolniła de facto te kobiety, dała im szanse na edukację, karierę zawodową i niezależność. Jak wynika z badań, konserwatywne Turczynki są jednak coraz bardziej przejęte zwrotem Erdoğan w kierunku skrajnej prawicy, co w praktyce oznacza dla nich m.in. coraz gorszą pozycję prawną, przyamykanie oczu na przemoc w rodzinie i utrudnianie rozwodów.

W niedzielę frekwencja wśród konserwatywnych Turczynek była wyjątkowo niska. Jeśli Erdoğan przed drugą turą skręci jeszcze bardziej w prawo, co już zapowiadają ludzie z jego obozu, nowym sloganem tureckiej polityki może się okazać: „Kobiety, głupcze!”.

ŁUKASZ WÓJCIK

Bachmut, czyli zwycięstwo

U pór się opłacił, opór daje rezultaty. To Rosjanie – a nie Ukraińcy – wycofują się właśnie z Bachmutu. Utrzymanie przez wiele miesięcy tej twierdzy na wschodzie Ukrainy samo w sobie budzi podziw, a postępy Ukraińców z ostatnich dni są wręcz piorunujące. To na razie mała, ale szybka kontrofensywa, kosztująca Rosjan niespodziewanie dużo. W odwrocie znalazły się dwie brygady, a czterech wysokich rangą dowódców poległo. Ukraińcy nacierają na północ i na południe od miasta, czyli tam, gdzie jeszcze niedawno Rosjanie zamykali kleszcze okrążenia. Wycofują się wojska regularne i najemnicy Wagnera. Nawet Moskwa przyznaje, że jest źle.

Straty pod Bachmutem sprawiają, że w tym tygodniu w prowadzonych przez Kijów statystykach liczba rosyjskich zabitych, rannych, zaginionych i wziętych do niewoli osiągnie 200 tys. Rosja w ostatnich kilku dniach traci też znowu dużo samolotów i śmigłowców, w tym najnowocześniejsze, wyspecjalizowane maszyny do walki radioelektronicznej. Rosyjscy blogerzy militarni, uznawani za niekontrolowane przez cenzurę źródło informacji z frontu, są w panice – opisują, że sytuacja się odwróciła, że to Ukraina ma teraz pod dostatkiem amunicji i przeważę w środkach rozpoznania.

Na tle tych sukcesów narracja polityczna Kijowa dziwnie zmieniła kierunek. Prezydent Wołodymyr Zełenski i minister obrony Oleksij Reznikow tonują oczekiwania i przekonują, że na wielki kontratak jeszcze nie nadszedł czas. „Z tym, co mamy, moglibyśmy zacząć, ale stracilibyśmy zbyt wielu ludzi. Więc potrzebujemy więcej czasu” – mówił Zełenski w BBC, zanim znowu wyjechał do Europy (Rzym, Berlin, Paryż, Londyn) prosić o jeszcze większe wsparcie zbrojne. W odpowiedzi Niemcy zapowiedziały pakiet uzbrojenia wart 3 mld dol., dorównując do amerykańskich rekordów, nowe dostawy obiecuje również Francja. Ale zanim dotrą te czołgi, wozy bojowe, systemy przeciwlotnicze, znowu upłynie kilka miesięcy.

Może dlatego ukraiński dowódca gen. Walerij Załużny nie przesądza, czy i kiedy cokolwiek się wydarzy. W jednym z rzadkich wywiadów przyznaje, że wszystkie ukraińskie zwycięstwa okupione są ciężkimi stratami. Swojego rosyjskiego odpowiednika Walerego Gierasimowa, któremu wojna zdaje się nie iść, uznaje za nieprzewidywalnego i sprytnego dowódcę, dla którego trzeba mieć respekt. Nie wiadomo – kurtużają to czy mydlenie oczu, by Rosjanie myśleli, że Ukraińcy mają ich za mądrzejszych, niż są.

MARK ŚWIERCZYŃSKI



Gdzie jest Łukaszenka?

Prezydent Białorusi podpadł na zdrowiu. Z wyraźnym grymasem bólu uczestniczył w moskiewskich uroczystościach Dnia Zwycięstwa 9 maja. Uwagę zwrócił bandaż na dłoni **Ałaksandra Łukaszenki**, mogący osłaniać wenflon. Nie dał rady przejść kilkuset metrów po placu Czerwonym, podwieziono go wózkiem elektrycznym. Nie wziął też udziału w śniadaniu, na które swoich gości zapraszał Władimir Putin. Gdy zamykaliśmy ten numer POLITYKI, Łukaszenka nie pokazywał się publicznie już od kilku dni. Rzecz nietypowa, bo w trakcie blisko 30-letnich rządów tak długie nieobecności praktycznie mu się nie zdarzały.

Nie ujawniono przyczyny pogorszenia się kondycji przywódcy, który miał trafić do prezydenckiej kliniki. Białoruska opozycja i niezależne media, powołując się na własne źródła, informowały więc o rozległym zawale i konieczności wprowadzenia w stan śpiączki farmakologicznej lub o infekcji wirusowej – w tej wersji gorzej miało się poczuć kilka osób z najbliższego otoczenia dyktatora. Z braku pewnych wiadomości ulica dorzuciła jeszcze swoje wersje, w tym otrucie na zlecenie Kremla, rzekomo próbującego pozbyć się niewygodnego sprzymierzeńca, który nie chce, by białoruskie wojsko wzięło bezpośredni udział w wojnie w Ukrainie. Speculacje o możliwej aneksji Białorusi powracają regularnie, ostatnio zimą, gdy międzynarodowa grupa dziennikarzy śledczych opublikowała dokument z zarysem operacji wchłonięcia Białorusi przez Rosję do 2030 r.

Nie oznacza to wcale, że Rosja akurat teraz jest przygotowana na wakat w Mińsku. Owszem, ma szerokie wpływy w białoruskich służbach specjalnych i w wojsku, dominuje w gospodarce, na Białorusi stacjonuje kilka tysięcy jej żołnierzy. Ale nie widać osób lub środowisk, które w jej imieniu miałyby przejąć schedę po Łukaszence. W jeszcze słabszej pozycji jest opozycja, zastraszona, przetrzymywana w celach albo przebywająca na emigracji. Licząca na to, że białoruskie społeczeństwo, które masowo wystąpiło przeciw Łukaszence w 2020 r., oprze się ewentualnemu zaborowi. W tej sytuacji chyba nie tylko zwolennicy białoruskiego przywódcy trzymają kciuki za jego zdrowie.

Ropa rupiowa

Kiedy Rosja zaatakowała Ukrainę i wprowadzono sankcje, Indie ogarnęła gorączka zakupów rosyjskiej ropy naftowej. Rosja stała się więc najważniejszym dostawcą Indii, wszystko to z powodu bardzo atrakcyjnych cen i zgody Moskwy na rozliczenia w indyjskich rupiach. Według agencji Reuters tylko w ciągu 10 miesięcy na korzystnych stawkach Delhi zaoszczędziło 3,6 mld dol. Indie zarobiły też na przerobieniu rosyjskiej ropy, wysyłając paliwa pod własną banderą do Europy i USA. Nic dziwnego, że Indie

to teraz dla Rosji drugi, po Chinach, naftowy rynek zbytu. Ze wszystkimi tego konsekwencjami, w postaci olbrzymiej nadwyżki handlowej w rupiach, wartej ponad 40 mld dol., z którą Rosjanie nie bardzo wiedzą, co zrobić.

Delhi, tradycyjny sojusznik Moskwy, nie nałożyło żadnych sankcji i niezwykle wstrzemięźliwie ocenia napaść na Ukrainę. To się teraz liczy, ale Moskwa mocno naciska, żeby zmienić system rozliczeń. O dolarach, z oczywistych powodów, nie ma mowy, indyjskie banki boją się, że same padną ofiarą sankcji, Rosja miała zaproponować jako walutę rozliczeń chińskie juany,

ale nie znalazło to uznania strony indyjskiej. Tak jak pomysł, aby wyrównywać rachunki w dirhamach, walucie Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Moskwa w ramach presji miała wstrzymać dostawy broni do Indii warte 2 mld dol., ale indyjskie zamówienia okazały się zbyt lukratywne. Z powodu niechęci do rupii ucierpiał także... rynek diamentów. Rosja jest największym dostawcą diamentowego surowca, a Indie największym specjalistą od cięcia i szlifowania. Ponoć w końcu znaleziono sposób, pośredników w Belgii i ZEA. Podobnie może być z rynkiem ropy, z udziałem państw trzecich. Nałożone na Rosję sankcje są mocno dziurawe.

Polska gotowa na zmianę

Kampania wyborcza jeszcze się oficjalnie nie rozpoczęła, ale trwa już w najlepsze. Najważniejszym tematem dla wszystkich niezależnie od partyjnych podziałów jest drożyzna. Tak wynika z dużego, jeszcze niepublikowanego, badania opinii publicznej.

N

EDWIN BENDYK

ie tylko jednak rosące koszty życia łączą Polki i Polaków ponad politycznymi różnicami. Wyjątkowo zgodnie, nawet wyborcy rządzącego Prawa i Sprawiedliwości twierdzą, że aby dostać w Polsce dobrą pracę i osiągnąć sukces, trzeba się dobrze urodzić lub mieć znajomości. I podobnie większość z nas jest przekonana, że w sytuacji kryzysu lepiej nie liczyć na państwo, tylko na siebie. Po ośmiu latach

rządów Zjednoczonej Prawicy Polacy widzą, że żyją w źle zorganizowanym państwie, a najwyraźniejszym symptomem tego rozkładu jest stan służby zdrowia. Konieczność poprawy tego systemu jest wymieniana wśród priorytetów, obok obniżenia kosztów życia, przez przedstawicieli wszystkich elektoratów.

To tylko kilka wniosków z badania przeprowadzonego u progu kampanii wyborczej przez Kantar Public dla organizacji More in Common Polska na reprezentatywnej próbie 4 tys. respondentów. Wynika z niego, że wiele problemów łączy Polki i Polaków, choć oczywiście znacznie więcej spraw dzieli. I choć blok wyborców PiS wyróżnia się istotnie pod względem oceny rzeczywistości, to jednak widać też, że sytuacji społeczno-politycznej w kraju nie da się wyjaśnić prostym schematem polaryzacji i podziałem na „dwie Polski”. Schemat ten jednak też utrzymuje swą moc w zasadniczym wymiarze politycznego sporu, co pokazali niedawno Sławomir Sierakowski i Przemysław Sadura w badaniu „Wspólna lista”: zwolennicy PiS nie wyobrażają sobie, że mogliby zagłosować na którąś z partii opozycyjnych. Z pełną wzajemnością, jeśli chodzi o stanowisko elektoratu stronnictw opozycyjnych. Tyle tylko, że elektorat PiS jest skonsolidowany i zmobilizowany niczym zawodowa armia, a wyborcy opozycji bardziej przypominają rozlażle pospolite ruszenie.

Mobilizacja niezdecydowanych

Taka sytuacja podpowiada, że o wyniku wyborów zadecyduje mobilizacja oraz decyzje, jakie podejmą niezdecydowani. Badanie More in Common pokazuje, że uśredniony profil społeczno-polityczny plasuje niezdecydowanych po stronie demokratycznej opozycji. Wśród priorytetów wymieniają oni na wysokim miejscu przywrócenie praworządności i poprawę stosunków z Unią Europejską, podobnie jak przedstawiciele innych elektoratów opozycyjnych twierdzą, że 500+ przyniosło więcej strat niż korzyści. Dlatego obiecane na ostatniej konwencji PiS 800+ nie musi odmienić nastroju wyborców. Pod względem identyfikacji w odniesieniu do wartości liberalizm-konserwatyzm i lewica-prawica „uśredniony” niezdecydowany to wręcz modelowy wyborca Polski 2050 Szymona Hołowni.



ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

Więcej: niezdecydowanych łączy z całą opozycyjną resztą nastrojów. Oceniają oni w ogromnej większości (65 proc. do 9 proc.), że Polska zmierza w złym kierunku. Niezdecydowani, podobnie jak większość innych elektoratów partii opozycyjnych, myśląc o przyszłości, wymieniają w pierwszej kolejności uczucie niepewności i nie widzą specjalnej nadziei. Inne najczęściej wymieniane uczucia to lęk, bezsilność, frustracja, smutek, złość. To zdumiewające, bo ten zwykły rachunek pokazuje, że ci, którzy mają dość obecnej władzy, są w większości, więc wygrana w wyborach nie powinna być problemem, a wraz z nią zmiana na lepsze. Skąd więc to przygnębienie i apatia? Czy z braku wiary w możliwość zwycięstwa mimo liczebnej przewagi, którą niwelują wszakże partyjne podziały i niezdolność opozycji do konsolidacji? Czy raczej brak wiary, że zwycięstwo rzeczywiście przyniesie istotną poprawę w sprawach o największym teraz znaczeniu, a więc doprowadzi do zmniejszenia kosztów życia, poprawy służby zdrowia i bezpieczeństwa?

Strach i nadzieja

Okazuje się, że utrzymanie się PiS przy władzy z zadowoleniem przyjąłoby tylko 29 proc. Polaków. Wynik pokrywa się mniej więcej z rezultatami sondaży poparcia dla tej partii. Ze zwycięstwa demokratycznej opozycji zadowolonych byłoby 43 proc., 24 proc. przyjąłoby taki rezultat z obojętnością.

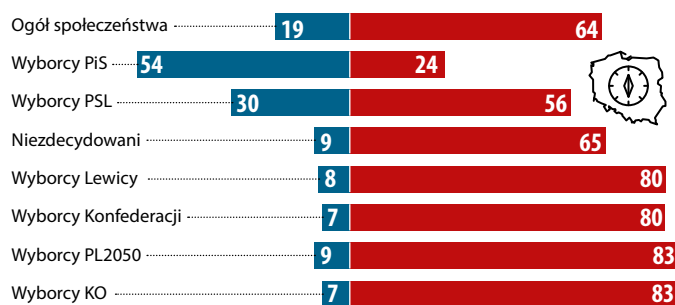
Bo wizję przyszłości Polski w perspektywie 10 lat Polki i Polacy mają bardzo konkretną i bliższą narracji dzisiejszej opozycji. Chcą, żeby była bezpieczna, demokratyczna, sprawiedliwa, spokojna, uczciwa, praworządna, nowoczesna, tolerancyjna i szanowana na świecie. Co ciekawe, podobnie na przyszłość patrzy grupa najmłodszych potencjalnych wyborców w wieku 18–24 lat, choć oczywiście młodzi mają także swoje priorytety i bardziej niż uśredniony ogół definiują przyszłą Polskę jako tolerancyjną, nowoczesną, ekologiczną. Wyraźnie jednak widać wielki potencjał nadziei, jaki ma do wykorzystania opozycja.

Na razie znacznie lepiej „zarządza” swoimi wyborcami PiS, bo elektorat tej partii twierdzi w większości (54 do 24 proc.), że sprawy w Polsce idą w dobrym kierunku i z nadzieją patrzy w przyszłość. To wszystko mimo przekonania, że największym problemem jest drożyzna, źle funkcjonująca służba zdrowia, o sukcesie decydują znajomości, a na państwo w razie czego nie ma co specjalnie liczyć. Konsolidacja elektoratu PiS wokół swojej partii to największy chyba fenomen społeczno-polityczny w Polsce ostatnich dekad. Jak pisałem dwa lata temu, Jarosław Kaczyński zdołał uruchomić mechanizmy tworzenia ze swoich zwolenników „klasy samej dla siebie”, ludzi zintegrowanych z partią „nie tylko poprzez ideologię i mechanizmy redystrybucji oraz nomenklatury, ale także przez więzi wzajemnej lojalności i wspólnotę interesów” (POLITYKA 23/21).

Ten mechanizm działa nadal, a jego złożony charakter umożliwia ciągle odnawianie politycznej wspólnoty i odrzucanie negatywnych sygnałów poprzez przrzucanie winy za trudności na rozmaite czynniki zewnętrzne. Tak więc za problemy z Krajowym Planem Odbudowy odpowiada nie rząd, tylko Komisja Europejska i opozycja; za inflację Putin i globalizacja; za rosnące koszty energii UE i jej polityka klimatyczna. Trzeba jednak przyznać, że Kaczyński potrafi także niezwykle elastycznie lawirować między dogmatycznym tradycjonalizmem a dyskursem modernizacyjnym uwzględniającym konieczność zmian. I choć jeszcze w 2018 r. PiS wspierany przez prezydenta Andrzeja Dudę bronił polskiego węgla, a walkę ze zmianami klimatu określał mianem ekologiczmu, to dziś ponad połowa ►

Kierunek, w którym zmierza Polska

Czy Pana/Pani zdaniem sprawy w Polsce idą w **dobrym** czy **złym** kierunku? (w proc.)



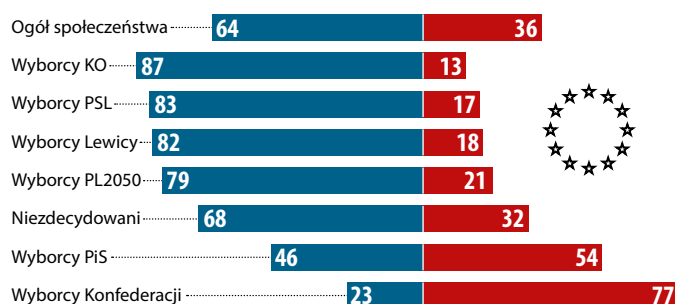
Najważniejsze wyzwania

Jakie są Pana/Pani zdaniem najważniejsze wyzwania, z którymi mierzy się dzisiaj Polska? (w proc., maks. 5 wskazań)



Stosunek do integracji europejskiej

Członkostwo w UE **wzmacnia** czy **osłabia** suwerenność Polski? (w proc.)



► wyborców tej partii twierdzi, że „przeciwdziałanie zmianom klimatu to dobra inwestycja środków publicznych”.

Węgiel jako podstawa przyszłości polskiej energetyki niemal zniknął ze społecznej wyobraźni, symbolem przyszłości stały się odnawialne źródła energii. Największy jednak polityczny sukces PiS polega na „unarodowieniu” transformacji energetycznej i polityki klimatycznej: o ile nasze, polskie działania oceniamy pozytywnie, to już polityka klimatyczna Unii budzi niepokój, bo długofalowo ma doprowadzić do wzrostu cen energii. Tak twierdzi 75 proc. zwolenników PiS – większość zwolenników Koalicji Obywatelskiej myśli odwrotnie. Najwyraźniej Jarosław Kaczyński oparował trudną sztukę takiego jedzenia politycznego ciastka, by się nigdy nie kończyło.

Słabość PiS

Perpetuum mobile nie działa jednak nawet w polityce. Mimo niezwyklej konsolidacji elektoratu, a może właśnie dlatego, PiS dotarł do ściany, jeśli chodzi o możliwość powiększania swojej bazy wyborczej. Rzecz nie tylko w powtarzającym się systematycznie w sondażach poparcia dla partii wyniku na poziomie nieco ponad 30 proc. Również inne wskaźniki określające i wyróżniające wyborców PiS potwierdzają, że to już zamknięta grupa i obejmująca około jednej trzeciej Polaków. Jak już pisałem, tylko 29 proc. obywateli będzie zadowolonych z utrzymania władzy przez PiS, niezadowolonych z przejęcia rządów przez opozycję będzie tylko 35 proc. (wśród nich znajdują się na pewno nie tylko wyborcy PiS, ale także Konfederacji).

Bo to, że 54 proc. elektoratu PiS pozytywnie ocenia kierunek, w którym zmierza Polska, oznacza w wymiarze społecznym, że zadowolonych jest tylko 19 proc. ogółu. Przed rokiem, w czerwcu 2022 r., ten odsetek osiągnął rekordowy poziom 33 proc. Widać było, że zadziałał efekt flagi po energicznej odpowiedzi rządu na agresję Rosji na Ukrainę. Najwyraźniej jednak

efekt się skończył, a przekonanie o słabości państwa wzmacnianie będzie przez kolejne dowody nieudolności rządu, jak kryzys zbożowy, rosyjska rakietą pod Bydgoszczą czy nie daj Boże powtórka z katastrofy ekologicznej na Odrze (już ostrzegają przed taką możliwością ekolodzy).

Efekt flagi miał posłużyć PiS nie tylko do konsolidacji własnego elektoratu, ale także wytworzenia ponadpartyjnej narracji o bezpieczeństwie, którym skutecznie zajmuje się rząd podwyższający nakłady na zbrojenia. Ta operacja udała się tylko częściowo, Polacy nie przyjęli narracji militaryzacyjnej. Wydatki ze środków publicznych w pierwszej kolejności przeznaczylibyśmy na poprawę służby zdrowia i systemu edukacji, dopiero potem na wojsko. Ale znów wzmocnienie armii jest wysokim priorytetem dla elektoratu PiS, ważniejszym nawet niż podwyżki emerytur.

Nie udało się także PiS „znormalizować” świadczenia 500+ jako uznanego powszechnie instrumentu redystrybucji. Ponad połowa Polek i Polaków (55 proc.) twierdzi, że przyniósł on więcej strat niż korzyści. Myśli tak nawet większość zwolenników lewicy, a i w samym elektoracie PiS widać wyraźne napięcie. Aż 27 proc. zwolenników tej partii również ocenia 500+ negatywnie. To część elektoratu bardziej krytyczna wobec rządu, mniej religijna i bardziej przedsiębiorcza. To napięcie widać zresztą było od samego początku i wyraźnie ujawniała się w nim różnica klasowa między „pisowskim” ludem a klasą średnią niechętną, podobnie jak w elektoracie liberalnym „rozdawnictwu”.

Wspólnota beznadziei

Pęknięcia w prawicowym bloku nie doprowadzą raczej do transferów do innych formacji, mogą co najwyżej demobilizować. PiS udało się zachować 59 proc. wyborców, którzy zagłosowali w 2020 r. na Andrzeja Dudę, 20 proc. jest dziś niezdecydowanych i nie wie, na kogo zagłosuje, 8 proc. przejęła Konfederacja, 8 proc. opozycja.

Większy problem ze swoją różnorodnością ma demokratyczna opozycja. Jej elektoraty łączy wiele, zwłaszcza pesymizm i poczucie beznadziei pod obecnymi rządami. Ale też są punkty pokazujące zbieżność poglądów zwolenników niektórych partii z narracją PiS. Większość Polek i Polaków popiera politykę rządu w sprawie granicy polsko-białoruskiej, aż 63 proc. odpowiada metoda wypychania osób przekraczających granicę na Białoruś. Jedynie wśród wyborców Koalicji Obywatelskiej i Lewicy przeważa pogląd, że należy forsujących granicę traktować jak ludzi i stosować wobec nich procedury wynikające z przepisów prawa.

Ogólnie Polska z badań More in Common jawi się jako kraj starzejący się i konserwatywny obyczajowo, choć ciągle też gotowy na zmiany. Ten konserwatyzm przejawia się w takich sprawach, jak podejście do aborcji. Większość Polek i Polaków jest zgodna, że należy wrócić do tzw. kompromisu aborcyjnego, czyli dopuścić zabieg przerwania ciąży w takich sytuacjach, jak zagrożenie dla życia i zdrowia matki (za 87 proc.), gdy ciąża jest skutkiem gwałtu (83 proc.), gdy płód jest obciążony wadą genetyczną (81 proc.). Nie ma już jednak takiej zgody na aborcję na życzenie (za 44 proc.) lub choćby ze względu na trudną sytuację materialną (za 41 proc.). Co istotne, w poglądach na aborcję nie widać solidarności grupowej kobiet, o stanowisku bardziej decyduje stosunek do religii.

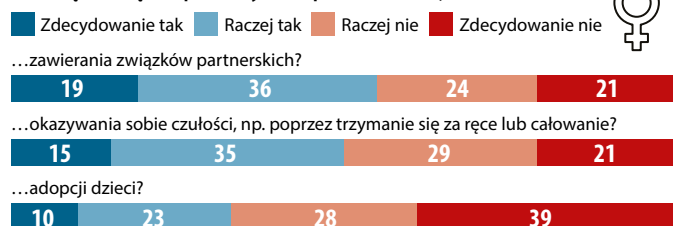
Młodzi

Widać wszakże wyraźne zróżnicowanie poglądów w zależności od wieku. Osoby w wieku 18–24 są najbardziej liberalne, 65 proc. spośród nich akceptuje również aborcję na życzenie. Trzydziestolatkowie już jednak myślą inaczej i ich akceptacja dla aborcji kończy się na „ustaleniach” kompromisu.

Najmłodszych wyróżnia także stosunek do praw osób homoseksualnych. O ile większość Polaków zgadza się, by osoby

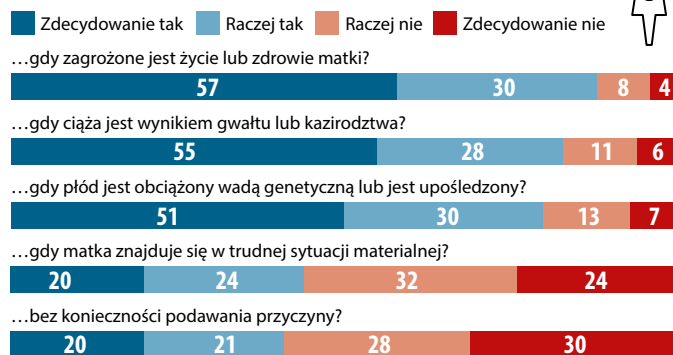
Stosunek do praw osób homoseksualnych

Czy Pana/Pani zdaniem dwie osoby tej samej płci pozostające ze sobą w związku, powinny mieć prawo do... (w proc.)



Stosunek do przerywania ciąży

Czy przerywanie ciąży do 12. tygodnia powinno być legalne... (w proc.)



Stosunek do Kościoła katolickiego i religii

W jakim stopniu zgadza się Pan/Pani z poniższymi tezami:

(w proc.)



Zdecydowanie tak Raczej tak Trudno powiedzieć Raczej nie Zdecydowanie nie

Policja i prokuratura powinny bardziej zaangażować się w ściganie pedofilii wśród księży

52	33	6	7	2
----	----	---	---	---

Kościół katolicki ma w Polsce zbyt duży wpływ

42	30	7	16	5
----	----	---	----	---

Jan Paweł II jest wzorem godnym naśladowania

33	32	13	13	9
----	----	----	----	---

Niezależnie od postawy hierarchów i księży, zasady wiary katolickiej są dla mnie ważnym drogowskazem życiowym

18	37	10	18	17
----	----	----	----	----

Martwi mnie odpyły wiernych z Kościoła katolickiego

14	25	9	27	25
----	----	---	----	----

Stosunek do „teorii spiskowych”

W jakim stopniu zgadza się Pan/Pani z poniższymi stwierdzeniami: (w proc.)



Zdecydowanie tak Raczej tak Trudno powiedzieć Raczej nie Zdecydowanie nie

W przypadku przegranej obecna władza nie uzna wyniku wyborów

14	29	26	22	9
----	----	----	----	---

Rząd Donalda Tuska realizował politykę prorosyjską

14	20	23	21	23
----	----	----	----	----

Ideologia LGBT zagraża polskim rodzinom

15	18	15	25	28
----	----	----	----	----

W Smoleńsku doszło do zamachu

13	20	21	18	28
----	----	----	----	----

Po przejściu władzy obecna opozycja zlikwiduje 500+ i zabierze dodatkowe emerytury

12	20	21	28	19
----	----	----	----	----

Rosyjscy agenci mają wpływ na politykę rządu Prawa i Sprawiedliwości

9	22	28	24	17
---	----	----	----	----

Po przejściu władzy obecna opozycja będzie chciała zakazać Polakom jedzenia mięsa

7	14	20	24	35
---	----	----	----	----

homoseksualne miały prawo do zawierania związków partnerskich (55 proc.), to już jednak nie zgadza się na adopcję dzieci (za tylko 33 proc.), a kwestia zgody na okazywanie sobie czułości w przestrzeni publicznej dzieli nasze społeczeństwo równo na pół. Młodzi takich dylematów nie mają i na każdą z powyższych kwestii odpowiadają afirmatywnie.

Kto więc mógłby liczyć na ich głosy? Mężczyźni w wieku 18–24 najchętniej zagłosują na KO (35,6 proc.) i Konfederację (31,5 proc.). PiS może liczyć na niespełna 8 proc. Młode kobiety także najchętniej oddadzą głos na KO (26,9 proc.) i Lewicę (26,3 proc.). PiS dostałby ok. 7 proc., Konfederacja nieco poniżej 8 proc. Widać wyraźnie, że najmłodszy wyborcy w Polsce mogliby być zaczynem społeczno-normatywnej rewolucji. Problem w tym, że jest ich zbyt mało (to małe roczniki!), by taką modernizacyjną rewolucję zainicjować. Na dodatek mają dojmujące poczucie, że reszta społeczeństwa nimi pogardza – tak myśli 45 proc. osób w wieku 18–24 lat.

Hipoteza irlandzka

Większy potencjał zmiany widać na styku społeczeństwa z religią i Kościołem. Ciągłe dla ponad połowy Polek i Polaków (55 proc.) zasady wiary katolickiej są drogowskazem życiowym niezależnie od postawy hierarchów i księży. Jednocześnie aż 85 proc. jest

zdania, że policja i prokuratura powinny intensywniej ścigać pedofilię księży, a 72 proc. uważa, że Kościół ma zbyt duży wpływ. Te wyniki skłaniają do postawienia hipotezy irlandzkiej. W Irlandii droga do liberalizacji praw osób homoseksualnych oraz prawa aborcyjnego wiodła przez pęknięcie hegemonii Kościoła jako najbardziej wpływowej instytucji społecznej, do czego doprowadziło obnażenie skali przestępstw i zbrodni z motywem pedofilii.

Czy w Polsce powtórzy się podobny scenariusz? To zależy od wielu czynników, w dużej jednak mierze od mądrości i cierpliwości aktorów życia politycznego i społecznego. Przy obecnej strukturze społecznej i rozkładzie poglądów nie uda się osiągnąć jednocześnie wszystkich celów liberalizacji. Ich forsowanie, wynikające z w pełni uzasadnionych roszczeń i walki o należne prawa, może jednak być przeciwskuteczne, bo wzmocni nastroje konserwatywne. Skuteczniejsza byłaby stopniowa, systematyczna zmiana wyobraźni społecznej.

Badania More in Common ujawniają jeszcze jedną ciekawą cechę polskiego społeczeństwa. Pytani, kogo nie chcielibyśmy mieć za sąsiadów, w pierwszej kolejności wskazujemy mułomanów i osoby żyjące z zasiłków społecznych. O ile islamofobia mniej zaskakuje, bo pełno jej choćby w przekazach mediów państwowych, to znaczący i niepokojący jest poziom klasizmu. Zbieżność tych wyników przypomina mechanizm wykluczania chłopstwa w czasach szlacheckich, w którym różnicę klasową uzasadniano, przedstawiając chłopów jako odmienną wręcz rasę lub gatunek. Czy obecna polaryzacja polityczna może stworzyć podobną polaryzację społeczną? Niestety, ryzyka takiego nie można wykluczyć, bo brakuje innych mechanizmów służących konsolidacji wspólnoty, jak choćby udział we wspólnej kulturze. Kultura narodowa już nie istnieje, przekonuje socjolog Tomasz Szlendak (nie łączą nas również takie nowoczesne praktyki kulturowe jak czytanie – więcej na s. 58). To wszystko zwiększa pokusę, by się konsolidować według wyróżników klasowo-plemiennych stworzonych w odniesieniu do kategorii obcego.

Polacy są jednak gotowi na zmianę. Zmiana jest możliwa.

To prawda, że elektorat PiS tworzy najbardziej zintegrowaną grupę ciągle niewidzącą lub gotową wybaczać swojej partii błędy i afery. Ale i on zaczyna pękać, widząc, że słowa Mateusza Morawieckiego nie zatrzymują wzrostu kosztów życia, a tromtadacja Mariusza Błaszczaka nie wystarczy, by zatrzymać rosyjską rakietę. Walka z „seksualizacją” dzieci, łajanie akademickiej elity, wojna z Berlinem być może umacniają rdzenny elektorat, nie dają jednak szansy na powiększenie szeregów zwolenników PiS.

To prawda, że nie wiadomo, jak zagłosują niezdecydowani, ale pod względem poglądów znacznie im bliżej do elektoratu opozycji demokratycznej niż PiS.

To prawda, że tylko 43 proc. Polek i Polaków przyjmie z zadowoleniem wygraną opozycji demokratycznej, ważniejsze jednak, że tylko 33 proc. taką wygraną przyjmie z niechęcią. Na kontynuację rządów przez PiS z niechęcią patrzy 51 proc. Polek i Polaków.

To prawda, że elektorat partii opozycyjnych jest rozproszony, ale liczebnie przeważa nad zwolennikami PiS i łączy go podobne myślenie o takich sprawach, jak demokracja, praworządność, członkostwo w Unii Europejskiej.

W sumie, co potwierdza badanie More in Common, opozycja ma wyjściowo większy kapitał. Ale, oczywiście, te wybory trzeba jeszcze wygrać.

EDWIN BENDYK

Dziękuję za pomoc prof. Mikołajowi Cześnikowi z Fundacji im. Stefana Batorego i Uniwersytetu SWPS oraz Adamowi Traczykowi, dyrektorowi More in Common Polska.

Omawiane badanie zrealizował Kantar Public na zlecenie More in Common Polska na reprezentatywnej próbie 4 tys. Polaków realizowane metodą mixed-mode CAPI+CAWI, 24 marca do 27 kwietnia.



Prezes listę pisze

W szeregach prawicy gorączka. Trwa walka o miejsce na wyborczych listach. Wszystkie chwytły dozwolone.

ANNA DĄBROWSKA, WOJCIECH SZACKI

Na pięć miesięcy przed wyborami politycy Zjednoczonej Prawicy intensywnie krzątają się wokół własnej przyszłości. Ci duzi – jak Mateusz Morawiecki, Jacek Sasin czy Zbigniew Ziobro – zabiegają o to, by na listach PiS znalazło się jak najwięcej ich ludzi, w miarę możliwości na tzw. miejscach biorących. To będzie ich kluczowy zasób w przyszłej kadencji, niezależnie od tego, czy PiS utrzyma władzę, czy przejdzie do opozycji.

Z kolei szeregowi posłowie, a także mający nadzieję na mandat działacze (w tym ministrowie i wiceministrowie) liczą, że się na te listy dostaną. Uważnie śledzą sondaże oraz prognozy podziału mandatów w okręgach, szukają protektorów, którzy wstawią się za nimi u Jarosława Kaczyńskiego.

– *Kiedyś przegrałem wybory w moim macierzystym okręgu, teraz też pewnie miałbym tam niewielkie szanse. Więc upatrzyłem sobie inny, zacząłem tam intensywnie pracować i budować kontakty. Ale okazuje się, że kilku innych polityków PiS wpadło na taki sam pomysł. I zrobił się straszny tłok, bo są tam jeszcze mocni w swoich powiatach lokalni posłowie, były wojewoda oraz dynamiczny działacz młodzieżówki. A mandatów może być mniej niż cztery lata temu* – utyskuje jeden z najszybszych rozmówców.

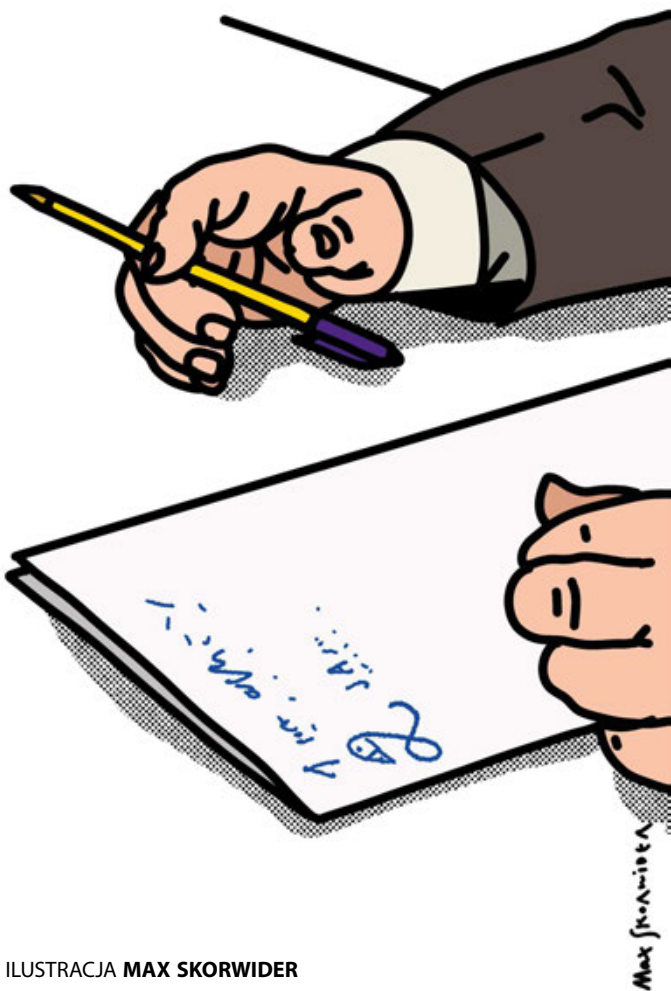
Kampania zawsze budzi emocje. To jest ten czas, gdy największym wrogiem nie jest kandydat innej partii, lecz koledzy i koleżanki z własnej partii, bo to z nimi się bije o miejsce w Sejmie. Czasem o być albo nie być na Wiejskiej rozstrzyga kilkaset głosów.

W tym roku w obozie władzy jest jednak bardziej nerwowo niż w 2019 r. Wtedy PiS dość pewnie zmierzał po reelekcję (235 mandatów Kaczyński przyjął z niejakim rozczarowaniem), a teraz wszystkie badania prognozują, że klub PiS jesienią mocno się skurczy. Wielu posłów – nieraz po czterech czy ośmiu latach w Sejmie – zasadnie obawia się więc wypadnięcia z parlamentu. A to rodzi napięcia w partii.

Znany i nie lubiany

3 kwietnia szef klubu PiS Ryszard Terlecki zapytany przez dziennikarzy tygodnika „Sieci” o ewentualnego kandydata na prezydenta odparł: „Moim zdaniem szanse na zwycięstwo miałby tylko Mateusz Morawiecki”. Nasz rozmówca z kręgów Nowogrodzkiej uważa, że to było ciche ostrzeżenie, które premier powinien potraktować poważnie. – *Od jakiegoś czasu mamy wrażenie, że Mateusz wykorzystuje zdrowotne niedomagania prezesa, aby się umacniać.*

Dodaje, że widać było to już drugiego stycznia, gdy prezes leżał w szpitalu, a premier zorganizował na Nowogrodzkiej konferencję



ILUSTRACJA MAX SKORWIDER

prasową. – *Wystąpił tu, w naszej siedzibie, a nie w KPRM, jakby już był szefem partii. Starzy pisowcy byli oburzeni, a prezes nieco zadziwiony.*

Mateusz Morawiecki odczekał miesiąc od wywiadu Terleckiego i 5 maja odpowiedział w „Super Expressie”. Zadeklarował, że po wyborach nadal chce być premierem i zapewnia, że nie jest „ani trochę zmęczony codzienną pracą”, bo „służbą Polsce nie można się zmęczyć”. Zaznaczył, że o prezydenturze „pomyśli w przyszłości, teraz na horyzoncie są zupełnie inne zadania”.

W otoczeniu Kaczyńskiego wywołało to konsternację; premier powinien wszak poczekać z takimi deklaracjami, aż prezes namaczi go na kolejną kadencję.

Przeciwnik premiera, jeden z tych którzy kilka miesięcy temu liczyli na jego dymisję: – *Na spotkaniach, które organizował Jacek Sasin, wierzyliśmy, że da się odwołać Morawieckiego. Prezes się na to nie zdecydował, ale zapewniam, że po wyborach nie będzie już premierem.*

Nie jest tak, że Kaczyński stracił kompletnie serce dla Morawieckiego i już mu nie ufa, ale musi w politycznych kalkulacjach uwzględnić to, że w partii premiera nie chcą i nie lubią. Jeśli nawet PiS wygra wybory, to raczej wyląduje z kruchą większością i kapryśnymi koalicjantami, więc prezes będzie chciał mieć względny spokój przynajmniej w partii.

Morawiecki oczywiście zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę, więc już dziś mocno pracuje na to, by w kolejnej kadencji mieć po swojej stronie kilkunastu lojalnych posłów. Zabiega o dobre miejsca na listach dla swoich współpracowników, wiceministrów, którzy zawdzięczają mu pozycję. Wspiera ich w okręgach wyborczych, skąd mają nadzieję wystartować do Sejmu.

– *Ludzie Morawieckiego cały czas podkreślają, że oni są z frakcji PiS, ale od kilku tygodni widać, że pracują w okręgach na siebie* – zauważa poseł PiS. W pierwszy weekend maja premier był w Olsztynie i sfotografował się z Norbertem Maliszewskim (szef Rządowego Centrum Analiz) i Olgą Semeniuk-Patkowską (wiceminister rozwoju). Do sejmowych debiutantów jesienią dołączyć chcą też: jeden z najbliższych współpracowników premiera, od niedawna minister cyfryzacji Janusz Cieszyński (okręg Wrocław), wiceminister spraw zagranicznych Paweł Jabłoński (Rybnik), szef Rządowego Centrum Legislacji Krzysztof Szczucki (z Torunia), pełnomocniczka premiera ds. GovTech Justyna Orłowska (Białystok) oraz Barbara Socha, wiceminister rodziny, pracy i polityki społecznej (okręg podwarszawski).

O reelekcję przy wsparciu Morawieckiego chce też zaważczyć kilku ministrów. Premier będzie też zabiegał o to, by do Sejmu ponownie dostali się ludzie, z którymi współpracuje w KPRM: rzecznik rządu Piotr Müller (Ślępsk), szef gabinetu premiera Krzysztof Kubów (Legnica) i minister w kancelarii Łukasz Schreiber (Bydgoszcz).

Nie wiadomo, co z byłym szefem Kancelarii Premiera Michałem Dworczykiem, któremu ze skrzynki mailowej wyciekła nieprzeznaczona dla szerszych kręgów korespondencja. Niektórzy rozmówcy twierdzą, że będzie startował w 2024 r. do europarlamentu, inni, że ma zagwarantowane miejsce do Sejmu z Wałbrzycha, ale jest jeszcze brana pod uwagę opcja startu do Senatu.

Do rządu – na stanowisko pełnomocniczki ds. współpracy z firmami działającymi za granicą – wraca była wicepremier Jądwig Emilewicz, po rozstaniu z Porozumieniem Jarosława Gowina polityczna singielka. To sygnał, że Emilewicz chce walczyć o reelekcję (w 2019 r. otwierała poznańską listę PiS) i że dołączyła do ludzi Morawieckiego.

Menedżerowie do ław

Niedawno pisaliśmy w POLITYCE o tym, że kilku ludzi chce wprowadzić do Sejmu także wicepremier i minister aktywów państwowych Jacek Sasin, jeden z głównych antagonistów Morawieckiego w PiS. Chodzi między innymi o jego wieloletniego współpracownika z Wołomina – Ryszarda Madziara (startuje do Sejmu z Chełma), młodego prawnika i wiceministra aktywów Andrzeja Śliwkę (okręg elbląski) czy Piotra Rycerskiego (okręg krośnieński), szefa gabinetu politycznego Sasina. Sam wicepremier wystartuje tym razem z Podlasia.

Co słyhać u innych znanych polityków PiS? W partii mówi się, że okręgu szuka Terlecki, który w 2019 r. z trudem wywalczył mandat w Krakowie (gdzie jedynką była i chyba pozostanie Małgorzata Wassermann), więc zabiega o wyborczą przeprowadzkę do Tarnowa lub Nowego Sącza. Z kolei w Radomiu ma podobno wystartować minister klimatu Anna Moskwa, dla której byłby to kampanijny debiut. Start do Sejmu rozważają też podobno niektórzy europosłowie. PiS w 2019 r. zdobył 27 mandatów do europejskiego parlamentu. Ten wynik wiosną 2024 r. będzie trudny do powtórzenia, a jeśli ktoś z obecnych europosłów nie wywalczy reelekcji, to na dłuższy czas zniknie z bieżącej polityki.

Część naszych rozmówców spodziewała się jeszcze niedawno, że do Sejmu będzie się chciała przenieść grupa prezesów i członków zarządu spółek Skarbu Państwa, ale dziś to już raczej nieaktualne. W PiS mówi się, że pachniałoby ►

► to defetyzmem. Ucichły plotki o kandydaturze prezesa Orłenu Daniela Obajtka (choć wciąż bywa wymieniany jako potencjalny premier).

Niewykluczone jednak, że kilku pisowskich menedżerów o mandat powalczy. Do Sejmu wybiera się Andrzej Jaworski, od kwietnia 2022 r. członek zarządu PZU Życie, politycznie związany z Radiem Maryja. W Ministerstwie Aktywów Państwowych panuje oczekiwanie, że jak już oficjalnie wystartuje kampania, to Jaworski odejdzie ze spółki, aby przynajmniej udawać, że spółki do kampanii PiS się nie mieszają. Jak słyszymy w PZU, Jaworski ani myśli o rezygnacji i trudno go będzie do tego zmusić.

Ziobrystów sny o potęgę

„Z Solidarną Polską umawialiśmy się na wspólne listy. Z Suwerenną Polską ta rozmowa jest przed nami” – powiedział 12 maja w TVP szef struktur PiS Krzysztof Sobolewski. Między dużym a małym koalicjantem zrobiło się nerwowo, gdy ziobryści zmienili szyld i ogłosili, że są gotowi wystartować samodzielnie, jeśli Kaczyński nie zaoferuje im dobrych warunków. Suwerenna Polska chce mieć – poza miejscami dla 20 obecnych posłów – także pulę miejsc dla swoich działaczy, przebąkuje też o postulatcie wystartowania jako koalicja wyborcza (żeby zdobyć prawo do subwencji). Z rozmów z politykami PiS wynika natomiast, że Kaczyński myśli jednak raczej o przystrzyżeniu niż dokarmieniu Ziobry. O podwyższonej temperaturze w Zjednoczonej Prawicy świadczą wydarzenia z niedawnego posiedzenia Sejmu – PiS próbował odwołać czterech posłów Ziobry z komisji sprawiedliwości, ale Sejm – głosami opozycji i Suwerennej Polski – wniosek ten odrzucił. Ziobryści wspólnie z opozycją zagłosowali potem w komisji za odroczeniem prac nad ustawą o sędziach pokoju.

Na krótką metę porozumienie wyborcze służy obu stronom. Ziobryści bez PiS nie będą raczej w stanie sforsować progę wyborczego, PiS bez Suwerennej Polski straciłby pewnie kilkaset tysięcy głosów. Ale są i inne kalkulacje. Ziobro, żeby liczyć się w przyszłym rozdaniu na prawicy, musi mieć zasoby personalne i finansowe (czyli posłów i subwencję), a jeśli pozwoli sobie narzucić warunki PiS-u, to te cele mocno się oddalą. Minister sprawiedliwości – jak twierdzą politycy PiS – nie w pełni też kontroluje własną partię, w której są zarówno posłowie ciążący ku PiS, jak i ci opowiadający się za kursem na samodzielność.

Koniec końców o wyborczym losie ziobrystów zdecyduje pewnie Kaczyński. Na razie Nowogrodzkiej zależy na porozumieniu. Ostatnio środowisko premiera próbowało przekonywać ważnych ludzi w PiS, że trzeba się pozbyć ziobrystów i to teraz, jeszcze przed wyborami, bo część elektoratu zraziła się do Ziobry i przez niego nie zagłasuje na PiS. Ale Nowogrodzka ma swoje badania, które jednoznacznie pokazują, że elektorat chce jedności. – *Ludzie premiera chyba nie rozumieją, że Ziobro nie jest groźny dlatego, że jest w stanie sam wejść do Sejmu, no raczej nie przekroczy progę, ale ma wielki potencjał niszczenia PiS. Także dzięki gromadzonej przez lata wiedzy z różnych śledztw* – opowiada nasz rozmówca bliski centrali partii. Dodaje, że rozwód z Suwerenną Polską zdemobilizuje elektorat prawicy i przekreśli marzenia o reelekcji.

Morawiecki – publicznie opowiadający się za podtrzymaniem koalicji – lobbuje zaś za tym, aby wymienić ziobrystów

na kukizowców. „Współpraca Pawła Kukiza ze Zjednoczoną Prawicą ubogaci nasz obóz patriotyczny” – stwierdził we wspomnianym wywiadzie dla „SE”. Można usłyszeć, że Kukiz dostanie „jedynekę” w Opolu i znajdują się też biorące miejsca dla jego posłów, a być może też i dla kilku działaczy. Ale dla Morawieckiego to za mało, aby zbudować przeciwwagę dla ziobrystów, dlatego premier forsuje też podobno sojusz z Ogólnopolską Federacją Bezpartyjni i Samorządowcy, którzy mają dobre relacje z Kukizem. – *Premierowi bardzo na tym zależy, bo chce mieć jak najwięcej ludzi po swojej stronie w przyszłym Sejmie. Problem w tym, że oni wcale nie garną się na nasze listy* – twierdzi poseł PiS.

Poza ziobrystami o miejsca na listach PiS zabiegają jeszcze Republikanie Adama Bielana (dziesięciu posłów), start ma podobno obiecany także Monika Pawłowska, która wylądowała w klubie PiS, choć do Sejmu dostała się z Lewicy. Będzie gęsto.

Alfabet i numery

Proces układania list wyborczych jest w PiS całkowicie pod kontrolą prezesa. Bywa, że trwa niemal do ostatniej chwili przed ich rejestracją w PKW (później zmiany są niemożliwe), zdarzają się niespodzianki, a nawet podmiarki ogłaszanych wcześniej „jedynek”. – *Prezes czasami rzuca do kogoś „będzie pan czy pani posłem”, ale nigdy nie mówi o miejscu. Niczego nie można być pewnym, bo wszyscy pamiętają, jak w 2015 r. Kaczyński w ostatniej chwili skreślił Marcina Mastalerka* – przestrzega ważny polityk PiS.

Formalnie kandydatów proponują – w kolejności alfabetycznej – terenowe struktury partii, ale ustalenie kolejności to już domena ścisłego kierownictwa, w praktyce – samego prezesa. Na koniec akceptuje listy komitet polityczny. Pod uwagę brana jest aktywność posłów, spotkania z wyborcami, poprzednie wyniki wyborcze, zachowanie w Sejmie. Zawsze można się do kogoś przyczepić, kij się znajdzie – o co zresztą z przyjemnością zadbają koledzy i koleżanki z partii, informujący Nowogrodzką o wypadkach konkurentów.

– *Prezes zawsze będzie mógł powiedzieć niezadowolonym, że chciał, starał się, ale komitet polityczny się zbuntował i nie mógł inaczej. Znamy te gry z poprzednich wyborów* – relacjonuje polityk PiS.

Kaczyński niejednokrotnie wykorzystywał wybory do przewietrzenia klubu i pozbycia się posłów, którzy stracili jego zaufanie. W obecnej kadencji w klubie PiS zadebiutowało 55 osób. Teraz też trochę dobrych miejsc przypadnie nowemu narybkowi. Do startu przymierzani są np. Michał Moskał (dyrektor biura prezydialnego PiS i jeden z najbliższych współpracowników Kaczyńskiego), a także niektórzy z powołanych w zeszłym roku pełnomocników okręgowych PiS, wśród których znalazło się trochę samorządowców i młodszych działaczy.

Ten okres niepewności – kto się znajdzie na liście, kto nie, kto na niej awansuje, a kto spadnie – jeszcze trochę potrwa. Kaczyński nie chce nikogo za szybko skreślać, bo potrzebuje większości w Sejmie co najmniej do lipcowych posiedzeń. List można się spodziewać pewnie w sierpniu. Dla tych, którzy sита Nowogrodzkiej nie przejdą, nagrodą pocieszenia może być obietnica startu w wyborach samorządowych na wiosnę przyszłego roku.

ANNA DĄBROWSKA, WOJCIECH SZACKI

Proces układania list wyborczych jest w PiS całkowicie pod kontrolą prezesa. Bywa, że trwa niemal do ostatniej chwili przed ich rejestracją w PKW.





W samo południe

Czy marsz 4 czerwca doda impetu opozycji, a zwłaszcza Platformie Obywatelskiej? Nadzieje są duże, choć wielkie demonstracje nie są polskim obyczajem.

RAFAŁ KALUKIN

Do wymarszu zostało jeszcze sporo czasu, jednak już teraz można ostrożnie prognozować frekwencyjny sukces. Opozycyjni wyborcy najwyraźniej są spragnieni ulicznych wrażeń, co w sumie nie powinno dziwić, bo od ostatnich większych zgromadzeń przeciwko ustawie lex TVN minęło już blisko półtora roku. Zainteresowanie udziałem w marszu 4 czerwca wydaje się naprawdę spore, co widać chociażby po obfitości w mediach społecznościowych ofert organizacji transportu do Warszawy; mieszkańcy małych miast często skrzykują się na własną rękę, żeby zebrać pieniądze i wynająć jakiś środek lokomocji. To jednak zaledwie uzupełnienie bardziej skoordynowanej akcji, którą w najpełniejszym zakresie realizuje Komitet Obrony Demokracji.

W rozmowie z POLITYKĄ szef KOD Jakub Karyś potwierdza, że zainteresowanie marszem jest powyżej oczekiwań

i w niektórych miejscach trzeba już zamknąć listy, gdyż na rynku przewozowym brakuje wolnych pojazdów. Jak na razie rekordzistą jest Dolny Śląsk, gdzie obsadzono 36 autokarów (dla mniej więcej półtora tysiąca osób). Ale kolejne wyruszą właściwie zewsząd, nie wyłączając obszarów tradycyjnie uważanych za bastiony PiS. Jeśli więc do tego jeszcze dopiszą mieszkańcy Warszawy i okalającego ją „obwarzanka”, impreza powinna wypaść okazale.

Jesteśmy i wracamy do gry!

I nie będzie bynajmniej marszem wyłącznie partyjnym. Zresztą struktury Platformy Obywatelskiej angażują się w pompowanie frekwencji w sposób umiarkowany, najpewniej nie chcąc drenować budżetu na kampanię. Centrala partyjna opłaciła po dwa autokary na każdy region, a jeśli chętnych będzie więcej, to sfinansować im podróż mają lokalni posłowie ze swoich uposażeń. Co niekoniecznie już bywa motywujące, bo wynajęcie autokaru do stolicy z bardziej odległych województw to koszt rzędu 5–7 tys. zł. Na razie przede wszystkim widać więc

zaangażowanie parlamentarzystów z dalszego szeregu, którzy najwyraźniej próbują się wykazać, żeby zasłużyć na wyższe miejsce na liście wyborczej.

Zwołując marsz, Donald Tusk niewątpliwie zagrał *va banque*. Sama idea wspólnotowego obchodzenia urodzin III RP ani trochę nie wydaje się kontrowersyjna, a w obliczu tegorocznych wyborów wręcz należałoby ją uznać za oczywistą. Ale to właśnie kampanijny kontekst komplikuje sprawę, nadając obchodom unikatową rangę. Powinna to być demonstracja siły obozu prodemokratycznego oraz osobistego przywództwa Tuska. Nieprzypadkowo tak bardzo spersonalizowano promocję marszu, wklejając lidera PO w ikoniczny plakat „W samo południe”. Została w tym oczywiście zaszyfrowana istotna dwuznaczność: niby wspólne święto całej opozycji, ale pod przywództwem partyjnym, ergo opozycja równa się Platforma.

Problem w tym, że czas nie wydawał się ostatnio dość sprzyjający, aby projektować masowe poruszenia. Od tygodni opozycja wydaje się zagubiona i niepewna ►

► swego. Po kłótni o wspólną listę jej liderzy wręcz nie są w stanie na siebie patrzeć, a ich szczególnie toksyczni fani z niebywałą lubością oddają się teraz w kanałach społecznościowych rozrywce tropienia piątej kolumny. W tej sytuacji trudno się dziwić, że – jak zmierzyla ostatnio pracownia United Surveys – jedynie co dziesiąty Polak jest pewien, że opozycja jest gotowa do przejścia władzy. Spore więc było ryzyko, że apel Tuska trafi w próżnię, a frekwencyjne fiasko pewnie jeszcze bardziej utrwaliłoby dzisiejszą flautę. I to raczej na długo, bo wkrótce zaczną się wakacje, które z natury rzeczy skłaniają do eskapizmu. Równie dobrze można więc było za pomocą marszu wykrzesać silny impuls mobilizacyjny albo też do końca stłumić rachityczny płomień.

Planiści z PO zrobili niemało, żeby ograniczyć ryzyko. Widać to dobrze w szczegółach organizacyjnych. Marsz ma tę przewagę nad tradycyjną manifestacją, iż jest rozciągnięty w czasie i daje szansę spóźnialskim, żeby dołączyli. A spóźnienie nie da się uniknąć, bo przy większym natężeniu ruchu drogi dojazdowe do stolicy zawsze się zatykają. Pewnie nieprzypadkowo poprowadzono też trasę niespecjalnie szerokim Traktem Królewskim, gdzie łatwiej będzie skondensować tłum i nasycić nim telewizyjne kadry. Kończący imprezę wiec z wystąpieniami liderów odbędzie się z kolei na placu Zamkowym, do zapewnienia którego wystarczy nie tak znowu wiele, bo ok. 30 tys. osób. Symbolicznie to miejsce bardziej jednak kojarzy z niedawnym świętem 3 maja, a do obchodzenia rocznicy kontraktowych wyborów dużo lepiej nadawały się plac Konstytucji. W końcu to tam mieścił się kiedyś w legendarnej Niespodziance sztab wyborczy obozu solidarnościowego, a i odwołanie do wartości konstytucyjnych tym bardziej byłoby na miejscu. Problem w tym, że plac Konstytucji, choć obszerniejszy od Zamkowego, jest przedzielony parkingiem i torowiskami i trudniej tam uzyskać efekt tłumy.

Dwuznaczny urok ulicy

To istotne aspekty, gdyż o ostatecznym sukcesie bądź porażce ulicznego przedsięwzięcia decydują przede wszystkim impresje. Dużo bardziej liczyć się zatem będzie telewizyjny obraz, a już tylko w ograniczonym zakresie liczbowe szankunki. Te zresztą już dawno padły ofiarą relatywizacji. Zazwyczaj każda z baniek informacyjnych opiera się na własnych szacunkach, które drastycznie się rozmiągają. W przeszłości liczby podawane przez „platformerski” ratusz i „pisowską” policję potrafiły się różnić nawet o jedno

zero. Co innego obraz, którego nie trzeba komentować. Atrakcyjnie podany, przy wykorzystaniu współczesnych możliwości realizacyjnych, szczególnie szerokich ujęć z dronów. Dzięki temu można pokazać monumentalny wymiar ulicznego zgromadzenia i przemówić do wyobraźni widzów. Tak żeby 4 czerwca popłynął w Polskę sugestywny komunikat o prężnej i zmobilizowanej opozycji, która wraca do gry, żeby wreszcie obalić rząd PiS.

Inna sprawa, że i tak było dosyć trudno obiektywnie dzisiaj określić, kiedy uliczne zgromadzenie staje się naprawdę masowe. Już przy 50 tys. uczestników? A może potrzeba co najmniej dwa razy więcej? I do czego się w ogóle odnosić, z czym porównywać?

W epoce rządów formacji Kaczyńskiego rekordowy pod tym względem do dziś pozostaje Marsz Wolności z maja 2016 r., w którym wedle szacunków miasta wzięło udział blisko ćwierć miliona obywateli. Na wspólne wezwanie KOD i Platformy Obywatelskiej, wtedy pod kierownictwem Grzegorza Schetyny. Nie było jednak żadnego problemu z tym, żeby obok niego stanęli również liderzy innych opozycyjnych formacji. Tyle że nie toczyła się jeszcze między nimi wyborcza rywalizacja, zresztą to nie partie kreowały wtedy nastroje buntu przeciwko władzy PiS, prędkiej już starały się nadać za dynamiką oddolnego oporu.

Tamten marsz był zresztą częścią zapoczątkowanej późną jesienią 2015 r. eskalującej sekwencji ulicznych zdarzeń. I jak się później okaże – jej apogeum. Bo do tego czasu każde z kolejnych zgromadzeń pod szyldem KOD przewyższało liczebnością poprzednie, z czego zrodziła się nośna fantazja o nieuchronnym marszu miliona wkurzonych obywateli, którzy proklamują „polski Majdan” i zmuszą rządy PiS do ustąpienia. Tyle że wciąż była to tylko enklawa protestu, izolowana od ogólnego nastroju. Nastrój warszawskiej ulicy jakoś nie chciał przeniknąć do Polski lokalnej, gdzie nadal trwał przedłużony miesiąc miodowy nowej władzy, która bezkarnie realizowała swój populistyczny plan rządzenia.

Rażący brak sprawczości z czasem zaczęła działać na protestujących deprymująco. Doszedł do tego wizerunkowy kryzys KOD, związany z niejasnymi operacjami finansowymi jego pierwszego lidera Mateusza Kijowskiego. Opór wyhamował, a z nim popyt na kolejne cykliczne zgromadzenia przeciwko całościowo pojmowanemu rządowi PiS. Zbliżający się marsz 4 czerwca z jego hasłami: przeciwko „drożyznie, złodziejstwu i kłamstwu”

(czyli właściwie wszystkim, co pisowskie) oraz za „wolnymi wyborami i demokracją, europejską Polską” (czyli za wszystkim, co nasze) – to pierwsza od lat próba wskrzeszenia takiej formuły.

Po 2016 r. oddolna energia zdolna była kumulować się już tylko w spontanicznych reakcjach na konkretne, te szczególnie brutalne posunięcia rządzącej ekipy – zwłaszcza skok na sądy z 2017 r. oraz zakaz aborcji z 2020 r. Były to jednak protesty w znacznej mierze zdecentralizowane, rozproszone po całej Polsce. Z jednej strony sięgały do głębszych pokładów społecznej emocji, z drugiej stosunkowo szybko dogasały i nie pozostawiały po sobie wyraźnego stempla. Rekord z maja 2016 r. już nigdy nie został więc pobity, ale czy ówczesne domniemane ćwierć miliona powinno aż tak imponować? W październiku 1956 r. fetował Władysław Gomułkę na placu Defilad co najmniej półmilionowy tłum. Podobną frekwencję ostatnio odnotowano zresztą w czasie protestów przeciwko reformie sądowej w czterokrotnie mniejszym od Polski Izraelu.

Rekwizyty z przeszłości

Ale też nie jest tak, żeby współcześni Polacy nie potrafili bądź nie chcieli zbiorowo przeżywać swych emocji w publicznej przestrzeni. Że może być inaczej, to już oglądaliśmy po śmierci papieża i katastrofie smoleńskiej, a warto też przypomnieć chociażby fenomen czarnych marszów przeciwko przestępczości w połowie lat 90. Tylko z demonstrowaniem afektów czysto politycznych zawsze był jakiś problem. Tak jakby po załamaniu się wielkiego ruchu Solidarności zatomiła się cała polityczność Polaków. Bo też trudno zaprzeczyć, że wyłonione z niego nowe elity starały się pacyfikować nastroje buntownicze, żeby nie blokowały procesu transformacji. W konsekwencji utrwalił się jednak pogląd, że działanie uliczne jest raczej domeną awanturników i frustratów, którzy nie nadążają za duchem epoki. Roszczeniowych związkowców z upadających państwowych molochów, wylewających gnojówkę rolników od Leppera, prawicowej ekstremy z płonącej kukłą „Bolka”.

Nic dziwnego, że Polska liberalna po przejściu władzy przez PiS nie posiadała swojej symboliki wyrażania gniewu i początkowo musiała się posiłkować wyciągniętym z głębi szuflady opornikiem z epoki stanu wojennego, aby z czasem zacząć nieśmiało zapożyczać rekwizyty od młodszego pokolenia („kto nie skacze, ten za PiS” itp.). Skądinąd przesiąkniętej naftaliną estetyki nie brakuje również

w dzisiejszych promocyjnych zajawkach, nierzadko układanych pod melodię wyleniałych songów w rodzaju „Przeżyj to sam”, z wykorzystaniem gniewnego apelu Władysława Frasyniuka i paru innych bohaterów tamtej epoki. O wszechobecności ikonografii z czerwca '89 już nie wspominając. Historycznie jest ona oczywiście uprawniona, niemniej warto sobie uprzytomnić, że dla dzisiejszego młodego pokolenia Polaków zdarzenia sprzed 34 lat są równie odległe (i tym samym emocjonalnie obojętne), jak dla ich rówieśników w 1989 r. odległy i obojętny był Październik '56. Tymczasem w wykreowaniu impulsu mobilizacyjnego pomocny byłby dzisiaj możliwie szeroki przekrój generacyjny uczestników marszu.

Na pierwszym planie Tusk niewątpliwie stara się podporządkować święto III RP logice konfrontacji z PiS. Przy okazji jednak usiłuje też kształtować hierarchię po opozycyjnej stronie sceny. W charakterystycznym dla siebie stylu, czyli zręcznie ukrywając prawdziwe zamiary. Jego przekaz pozostaje wspólnotowy, wszak wszystkim po tej stronie chodzi przecież o przywrócenie demokracji, ale na oficjalnym plakacie nieprzypadkowo znalazł się przecież samotny Tusk, żeby nie było wątpliwości, czyj jest ten marsz. Gdyby liderowi PO faktycznie zależało na jak najszerzej reprezentacji, z pewnością podszedłby do sprawy zupełnie inaczej. Zaczęłyby od powołania komitetu organizacyjnego, do którego zostaliby zaproszeni liderzy pozostałych opozycyjnych partii. I nie ulega wątpliwości, iż w takiej sprawie żaden nie ośmieliłby się wówczas stroić fochów.

Myślenie magiczne

Ale Tusk poukładał sobie scenografię zupełnie inaczej. Najpierw sam przybrał pozę samotnego rewolwerowca na miarę Gary'ego Coopera z pamiętnego westernu, po czym wezwał donośnym głosem, żeby pójść za nim. Stawiając konkurencję w niewygodnej sytuacji; szczególnie najbardziej najeżonego na współpracę z PO Szymona Hołownię, który właściwie nie miał dobrego ruchu. Gdyby uległ i zapisał się do pochodu jako uzupełnienie Tuska, jego wyborcy mogliby mu tego nie wybaczyć. Bo wszystko wskazuje na to, że chwiejny elektorat, który do tej pory lawirował pomiędzy Polską 2050 i Platformą, już na stałe zakotwiczył przy PO. A przy Hołowni trwają jego najbardziej zagorzali sympatycy, zorientowani anty-POPiSowo, nawet jeśli deklaracyjnie opowiadają się za opozycyjną współpracą. Już



Marsz KOD w rocznicę 4 czerwca, Warszawa, 2016 r.

sojusz z PSL był dla wielu z nich trudny do przyjęcia, a spektakularny akt uległości wobec Tuska mógłby ich teraz całkiem zdemobilizować.

Ale równie trudno było Hołowni ostentacyjnie wypiąć się na Tuskowe obchody 4 czerwca. Z czego jeszcze lepiej zdawali sobie sprawę ludowcy, dotąd konsekwentnie w tej sprawie lawirujący. Z jednej strony nie zapisują się do ogonka za Tuskiem, bo obawiają się, że – podobnie jak w kampanii 2019 r. – pisowskie media będą później bombardować wiejski elektorat ujęciem Władysława Kosiniaka-Kamysza jako przybocznego Tuska. Ale z drugiej liczyli się również z emocjami opozycyjnego demosu, więc nie odślaniali wszystkich kart, ogłaszali niejasne komunikaty. Ostatecznie na konferencji Hołownia i Kosiniak-Kamysz podali nazwę wspólnego komitetu wyborczego (Trzecia Droga) i zapowiedzieli, że 4 czerwca pojadą do Leszna i Białej Podlaskiej, bo tam też są ludzie „którzy chcą świętować”.

Wszystko jednak wskazuje na to, że w razie frekwencyjnego sukcesu marszu to właśnie nieobecni w pierwszej kolejności ucierpią najbardziej. Ich absencja

stanie się aż nadto widoczna, będzie wręcz kluc w oczy. I nie będą mieli za kim się skryć, żeby rozproszyć odpowiedzialność. Po niezłym sondażowym debiucie komitetu Polska 2050-PSL może więc dojść do spadków. To skądinąd obawa determinująca manewr Lewicy, która bez większych wahań zadeklarowała chęć maszerowania w pochodzie Tuska, i to całym wianuszkiem liderów oraz liderów. Lewicowy wyborca pozostaje bowiem dosyć chwiejny, co rusz zerka w stronę Platformy, szczególnie trudno oprzeć mu się wdziękom Rafała Trzaskowskiego. Nie należy go zatem drażnić partyjnym separatyzmem, gdyż może odpłynąć.

Dla większości wyborców dalece istotniejszy oczywiście pozostaje jednak front zmagania z PiS. Tutaj, niestety, chyba lepiej będzie uzbroić się w cierpliwość. Podsykana tu i ówdzie nadzieja, że być może uda się tak po prostu przemaszerować 4 czerwca do prawdziwego politycznego przełomu, jest niestety oparta na myśleniu magicznym. Kolejną chimerą na miarę „jeśli będzie nas milion, to obalimy ten rząd” autorstwa Ryszarda Petru z 2016 r. I lepiej zachować umiar w dawkowaniu takich zapowiedzi, żeby opuścić wreszcie huśtawkę opozycyjnych nastrojów, przerwać fatalny korowód pęczniejących i pękających z hukiem złudzeń. Postawmy sprawę jasno: od samego marszu ani Platformie Tuska, ani też całej opozycji poparcia raczej nie przybędzie, gdyż bezpośrednio zmobilizuje on jedynie tych wyborców, którzy tak czy inaczej pójdą jesienią głosować.

Nie chodzi więc o to, żeby od razu wpływać na sondaże. Ale też uliczne zgromadzenia nie temu powinny służyć. To nade wszystko silne przeżycie wspólnotowe, zdolne pobudzać zbiorową wyobraźnię i dostarczać nowych kodów przeżywania rzeczywistości. Sposobność, żeby się spotkać, policzyć, poczuć własną siłę, może też trochę bardziej wzajemnie polubić. Nie cel sam w sobie, lecz środek do jego osiągnięcia. Dalej już każdy z nas, kto zjawi się 4 czerwca w Warszawie, będzie musiał ponieść ten nastrój gdzieś dalej, żeby sobie pączkował w kręgach rodzinnych, sąsiedzkich, koleżeńskich.

Realna zmiana zawsze jest procesem i odbywa się organicznie. Stymulacja telewizyjnym kadrem i społecznością perswazją może ją co najwyżej wspierać, chociaż warto też uważać, żeby nie przesadzić z zapalem. W sumie to sami sobie powinniśmy więc przede wszystkim dać szansę. W przeciwnym razie demokratyczna para kolejny już raz pójdzie w gwizdek.

RAFAŁ KALUKIN



ILUSTRACJA MARTA FREJ

Przeciw, a nawet za

MARTA MAZUŚ

Już ponad połowa gmin i powiatów wycofała się z uchwał anti-LGBT. Honor pogromców „homo-ideologii” przegrywa z unijnymi dotacjami. Cała sztuka w tym, żeby wziąć pieniądze, ale zachować twarz.

Za przykład niech posłuży powiat białostocki. Sesja miała być nadzwyczajna, na temat spraw budżetowych, zwołana w trybie zdalnym. Tymczasem znieścacka pojawia się projekt uchwały – stanowisko rady powiatu białostockiego w sprawie zasad horyzontalnych oraz poszanowania zasady wolności. Niektórzy dziwnym trafem wiedzą o nim wcześniej (czytaj: obecni na sali obrad mimo trybu zdalnego lokalni radni PiS, stanowiący większość). Niektórzy dowiadują się nagle, w samochodzie lub w pracy, wiadomość o projekcie dostają mailem oraz esemesem (czytaj: zrzeszeni i niezrzeszeni radni opozycji).

Ta nowa uchwała zastąpić ma starą – problematyczną – „w sprawie Karty LGBT i wychowania seksualnego w duchu ideologii gender”. Jeszcze cztery lata temu, 25 kwietnia 2019 r., rada powiatu białostockiego była nieugięta i nie kryła swojej dezaprobaty „dla idei i praktyk, które godzą w godność człowieka i przyczyniają się do deprawacji dzieci”. A dzisiaj?

Dzisiaj w powiecie białostockim, podobnie jak w ponad stu innych samorządach, które w ostatnich latach przyjęły tzw. uchwały anti-LGBT albo (inspirowane przez Ordo Iuris) Samorządowe Karty Praw Rodzin, (SKPR) trwa gorączkowe uchylanie poprzednich stanowisk czy też – jak ujmują to niektórzy – ich doprecyzowywanie.

A jeszcze do niedawna było patriotycznie i wzniosłe, tradycyjnie i po katolicku. Zaczęło się od Świdnika w województwie lubelskim, który w marcu 2019 r. swoją deklaracją „Powiat Świdnicki wolny od ideologii LGBT” jako pierwszy w Polsce powiedział nie „homo-propagandzie”, szerzącej się wokół w formie marszów równości i zajęć z edukacji seksualnej w szkołach. Dla samorządów dołączających do świdnickiej inicjatywy były medale i dyplomy od Przemysława Czarnka, wówczas wojewody lubelskiego. Było również wsparcie ideowe i prawne ze strony Ordo Iuris, którego przedstawiciele jeździli po Polsce, uwrażliwiając lokalnych radnych na dobro i wartości tradycyjnych rodzin.

Powstały wiosną 2019 r. Atlas Nienawiści – oddolna inicjatywa czwórkę aktywistów (Kuby Gawrona, Kamila Maczugi, Pauliny Pająk, Pawła Prenety), którzy dokumentowali i zaznaczali na mapie wszystkie udane i nieudane próby wprowadzania przez gminy i powiaty dyskryminujących uchwał – w szczytowym momencie pokazywał, że strefy „wolne od LGBT” zaczęły

zajmować aż jedną trzecią powierzchni Polski.

Niektórzy już wtedy się nieco przestraszyli. Nie chcieli – jak powiat sztumski, który jako pierwszy sam odwołał przyjętą kilka miesięcy wcześniej SKPR – lokalnej wojny ideologicznej. Inni – jak gmina Wilamowice – woleli nie stracić ponad 7 mln zł dofinansowania z funduszy norweskich na budowę regionalnego muzeum, w związku z czym przestali wyrażać „sprzeciw wobec podważania przez przedstawicieli środowisk LGBT pojęcia modelu rodziny” i usunęli ten fragment ze swojej uchwały.

Większość dumnych gmin i powiatów, na ogół kontrolowanych przez radnych PiS, dalej jednak stała twardo na straży swoich wartości. Niestraszone im były pisma od RPO („wycofanie stanowiska oznaczałoby opowiedzenie się po stronie tęczyowej zarazy, jaką jest wspomniana diaboliczna ideologia i wyrażenie zgody na demoralizację młodego pokolenia, począwszy od przedszkola” – grzmiał w odpowiedzi do RPO Andrzej Głaz, wójt gminy Tuszów Narodowy) ani nawet skargi, które rzecznik skierował do wojewódzkich sądów administracyjnych (wyrokami sądów dziewięć uchwał anty-LGBT zostało unieważnionych i uznanych za niekonstytucyjne).

Aż w końcu przyszedł czas na zmianę perspektywy – a konkretnie nową perspektywę finansową UE na lata 2021–27. 1,3 mld euro z funduszy europejskich dla woj. podlaskiego, 2,3 mld euro dla woj. lubelskiego – to tylko niektóre kwoty. Powtarzane przez kilka lat ostrzeżenia Komisji Europejskiej o groźbie utraty dostępu do unijnych środków oraz dwie rezolucje Parlamentu Europejskiego w tej sprawie ukazały się samorządom w bardzo realnej formie fiskalnej.

W urzędowej korespondencji ze stycznia 2023 r. (ujawnionej przez Jakuba Gawrona, działacza Atlasu Nienawiści) marszałek podlaski z PiS Artur Kosicki napisał do starosty białostockiego z PiS Jana Perkowskiego: „szczególnej weryfikacji będą podlegały zasady horyzontalne, wynikające z przepisów unijnych. (...) pozostawienie w obiegu prawnym tego typu uchwały będzie skutkowało koniecznością odrzucenia wszystkich wniosków o dofinansowanie projektów przedkładanych przez Powiat Białostocki oraz podległe mu jednostki i podmioty. (...) W związku z powyższym w przypadku aplikowania o środki unijne w perspektywie finansowej 2021–2027 proszę o zwrócenie szczególnej uwagi na powyższe kwestie”.

W Białymstoku na sali i na łączach transmisyjnych wrzawa. Wzburzeni radni wchodził sobie w słowo. Szczególnie wzburzeni są radni opozycji – w końcu zaledwie miesiąc wcześniej, na konferencji przed budynkiem starostwa, zapowiadali, że na najbliższej sesji rady powiatu złożą projekt uchylający uchwałę anty-LGBT. Tymczasem projekt uchylający pojawia się w trybie nadzwyczajnym, a pod nim osiem podpisów radnych PiS ze starostą na czele.

To nic, że miały być głosowane sprawy budżetowe, a do niektórych dokument dotarł mailowo na cztery minuty przed sesją. Niezależna radczyni prawna, obecna na posiedzeniu zdalnie, pragnie uspokoić zdenerwowanych radnych i rozwiązać ich wątpliwości – zarząd powiatu ma prawo wprowadzać uchwały do porządku obrad nadzwyczajnych, może to zrobić na sesji, a nawet w trakcie sesji, właściwie w każdym momencie.

Pozostałe wątpliwości rozwieje starosta Perkowski. Nie będzie ukrywał niesprawiedliwości, jakie do tej pory spotkały powiat białostocki. Jakieś mapy nienawiści, strefy wolne od LGBT. – A przecież tu nigdy nie było żadnej strefy, nikt tu w powiecie nie był i nie jest dyskryminowany – dziwi się starosta. – No, ale przecież – kontynuuje – nie można mieć pewności, co w przyszłości powie Komisja Europejska. Nie można mieć pewności, co zrobi RPO. A tu już za chwilę, bo pod koniec kwietnia, upływa termin składania trzech projektów do programu Interreg z partnerami z Litwy.

– W związku z tym z grupą radnych postanowiliśmy napisać stanowisko w sprawie zasad horyzontalnych oraz poszanowania zasady wolności – mówi dalej starosta. A jednocześnie nie kryje zdziwienia, że w trosce o dobro wspólne i zgodnie z deklaracjami wygłaszanymi podczas konferencji radni KO nie przygotowali swojego konkurencyjnego projektu. Przecież zarząd powiatu nie miałby nic przeciwko. A poza tym każdy dzień jest dobry, by zrobić coś dobrego – wyjaśnia starosta uprzejmie.

Dokonanie światopoglądowej woltury nie jest wdzięcznym zadaniem. Jedni starają się robić to mimochodem. Jak słynny Świdnik, który już w grudniu 2022 r. z miasta „sprzeciwiającego się ideologii LGBT” stał się nagle zwolennikiem „ochrony podstawowych praw i wolności”, a wszystko to stało się pomiędzy zawiązaniem zmian w budżecie a głosowaniem nad uchwałą krajobrazową, bez żadnej debaty ani uwag ze strony opozycji i przez aklamację.

Niektórzy próbują zatrzeć ślady. Jak gmina Końskowola, gdzie – jak

przekonywał sekretarz gminy Krzysztof Bartuzi – radni uchylili uchwałę w trybie podnoszenia ręki. Bez żadnego dokumentu ani imiennego głosowania.

Inni miewają wątpliwości, co właściwie uchylają czym, i mają problem, jak to ubrać w słowa. Jak powiat łukowski, którego rada przyjęła „uchwałę uchylającą uchwałę w sprawie przyjęcia stanowiska wyrażającego protest przeciw działaniom ukierunkowanym na promowanie ideologii ruchów LGBT”.

Jeszcze inni z decyzją o zmianie stanowiska czują się niepewnie i szukają pomocy, najlepiej ze strony jakiejś siły wyższej. Jak w Nowym Sączu, gdzie jedna z radnych PiS podczas sesji miała wątpliwości, czy nowego projektu odwołującego Samorządową Kartę Praw Rodziny nie powinno się jednak skonsultować z proboszczem.

Z kolei Jakub Gawron, współtwórca Atlasu Nienawiści, który dzieje dyskryminujących uchwał śledził od początku, zauważył ostatnio również nowy trend – uchylanie uchwał anty-LGBT i przyjmowanie w zamian stanowisk w obronie dobrego imienia papieża.

Zrobiły tak już m.in. powiat puławski, lubelski czy radzyński. – *Moim zdaniem to jedynie wymiana narracji wyborczej służącej do mobilizowania własnego elektoratu przeciwko kolejnemu wymyślonymu wrogowi, rzekomo następującemu na polskie tradycyjne wartości. Stara narracja anty-LGBT zużyła się i zaczęła zagrażać finansom oraz planom inwestycyjnym samorządów, więc radni znaleźli sobie nową* – komentuje Gawron.

Tu, w powiecie białostockim, gdzie – jak zapewnia należący do PiS prowadzący posiedzenie przewodniczący rady – panuje demokracja i każdy ma szansę na zabranie głosu, zdania na temat nowej uchwały również są podzielone. Na przykład radny PiS Roman Czepe, z wykształcenia teolog, inicjator poprzedniej uchwały, stanowczo jest nieprzekonany co do nowej koncepcji. I nic tu nie dadzą usilne próby starosty zaczarowania słowem niesprzyjającej rzeczywistości, że powiat tak naprawdę z niczego się nie wycofuje, bo „poprzednia uchwała wcale nie jest zła, tylko nie jest czytana ze zrozumieniem”.

Radny teolog i tak wie swoje – problem tkwi w ogromnej i niegodziwej presji, jaką liberalno-lewicowa strona wywiera na chrześcijan. To chrześcijanie tak naprawdę są w Polsce dyskryminowani – nie mają prawa pisać o tym, jak chcą wychowywać dzieci ani o ważnych dla siebie wartościach. Radny teolog nie będzie ►

► owijał w bawełnę – to, co się obecnie dzieje, to zwykły szantaż finansowy ze strony świętej Brukseli, „chamówa” nie z tej ziemi i przedłużenie sowiecko-ubeckiej metody oczerniania.

Według niego były inne sposoby na wyjście z tej sytuacji. Można przecież nie uchylać, tylko wytłumaczyć (– Chociaż durniom niczego się nie wytłumaczy, szczególnie tym, którzy mają złą wolę), takie stanowisko wyjaśniająco-uzupełniające uchwalić. – No ale cóż, ta propozycja na posiedzeniu klubu nie została przyjęta – radny teolog z PiS wzdycha z rozczarowaniem.

Tymczasem zdalnie pada kluczowe pytanie od radnej KO: – Czym właściwie są te zasady horyzontalne, o których mowa w nowej uchwale? Bo ja nie rozumiem, co autor miał na myśli. Radny teolog śpieszy z wyjaśnieniem: – To wtedy, gdy leży się na podłodze, pani radna. Przewodniczący rady w bardziej przyjaznym tonie: – Ja również nie znalazłem wcześniej sformułowania zasady horyzontalne, ale znalazłem je w internecie.

Na szczęście o zasadach horyzontalnych więcej wie starosta. – Zasady horyzontalne to podstawa Unii Europejskiej i jej idei, szanowni państwo – starosta zabiera głos z wyczuwalną wyższością, nie tylko w stosunku do radnych opozycji, ale i do całej Unii. Bo starosta wyłoży teraz prawdziwe sedno, można by rzec myśl przewodnią, proponowanej uchwały w sprawie zasad horyzontalnych oraz poszanowania zasady wolności, której ma przyjemność być współautorem.

Otóż poprzez swoje stanowisko powiat białostocki chciałby przypomnieć Unii, że jej idea założycielska była dobra, lecz niestety obecnie Unia kierowana jest źle. W UE dyskryminuje się ludzi, zmusza się ich do samochodów elektrycznych, do wymiany pieców węglowych i zakładania pomp ciepła. Miasta sieci C40 postanawiają, że docelowo ma nie być jeżdżone mięso ani ser, ma nie być w ogóle samochodów spalinowych. A przecież ludzie – przekonuje starosta – muszą korzystać z różnych cywilizacyjnych dobrodziejstw i nie powinni być dyskryminowani, np. pod względem przemieszczania się. Polska jest krajem rolniczym, jednym z większych producentów drobiu, niektórych dopiero od niedawna stać tu na własny samochód. Czy trzeba więc nas ograniczać? Nie! Starosta jest za ochroną środowiska, ale na pewno nie kosztem Polaków!

W swojej nowej uchwale powiat białostocki chciałby więc obronić każdego



© PATRYK OGÓRZALEK/AGENCJA WYBORCZA

Jakub Gawron, współtwórca Atlasu Nienawiści.

– i homoseksualistę, i ateistę, ale również tego, kto lubi mięso. To stanowisko jest zatem do przyjęcia dla wszystkich, mówi o wszystkich wartościach, zrównoważonym rozwoju oraz równości szans wszystkich ludzi – starosta coraz wyżej się wspina na retoryczne szczyty. Ta uchwała jest prawdziwie wolnościowa, bo powiat białostocki chce, aby wszyscy ludzie czuli się wolni. – I jak chcą, to dzisiaj jedzą żuczka, a jutro mięsko, serek albo ciasto sernik, a nie tylko sam żuczek – w końcu podsumowuje.

I tak przy akompaniamencie sformułowań: „to nie należy do zadań powiatu” (z jednej strony), „mamy prawo” (z drugiej) oraz „zakończmy to już, bo ja po raz pierwszy od 20 lat w tej radzie czuję się nieprzyzwoicie” (z trzeciej), po ponad trzech godzinach powoli kończy się sesja rady powiatu białostockiego. Głosami

13 radnych za, trzech radnych przeciw i 10 radnych opozycji, którzy wstrzymali się od głosu, uchwała w sprawie stanowiska wobec zasad horyzontalnych oraz poszanowania zasady wolności ostatecznie została przyjęta.

Uchwały anty-LGBT lub Samorządowe Karty Praw Rodzin wciąż obowiązują w 50 samorządach w całej Polsce

wylicza Jakub Gawron. – Wynika to z wiary niektórych samorządowców, że te uchwały są jedynie niewiążącymi stanowiskami, a co za tym idzie, nie będą brane pod uwagę przez Komitety Monitorujące, które decydują o kryteriach wyboru projektów w ramach programów funduszy europejskich. Inny powód jest taki, że radni naprawdę sądzą, że ich uchwały nie dyskryminują. Ale to nie autorzy decydują o uznaniu ich za dyskryminacyjne, tylko ich adresaci i sądy administracyjne – zwraca uwagę Gawron. – Specyficznym przypadkiem jest gmina Tuszów Narodowy. Jej mieszkańcy po prostu są zakładnikami homofobicznych, transfobicznych i religijnych obsesji wójta Andrzeja Głaza. On doskonale wie, że blokuje im dostęp do unijnych funduszy, ale nie zamierza nic zrobić w kierunku uchylecia uchwały.

Jakub Gawron razem z pozostałymi twórcami Atlasu Nienawiści od kilku już lat jest na celowniku Ordo Iuris. Urażone faktem znalezienia się w Atlasie Nienawiści samorządy, przy wsparciu OI (a konkretnie kancelarii prawnej należącej do prezesa Kwaśniewskiego), zdecydowały się pozwać Atlas za naruszenie dobrego imienia. Jak dotąd spraw było siedem, z czego dwa powództwa zostały wycofane, a cztery sprawy Ordo Iuris przegrało. Ostatnią 21 kwietnia, z powództwa powiatu przasnyskiego.

– Chcę dać trochę nadziei demokratycznej opozycji. Pokazać, że nawet mała nieformalna grupa dzięki pomysłowości oraz konsekwentnej oddolnej pracy może skutecznie zahamować faszyzację życia publicznego i zmusić ją do odrotu – mówi Jakub Gawron.

Choć nie ukrywa, że oprócz tego krytykowanie samorządowców i wytykanie im hipokryzji sprawia mu po prostu przyjemność. Tak jak ostatnio, gdy poprosił podkarpackiego marszałka o patronat dla rzeszowskiego marszu równości, powołując się na uchwałę „Podkarpacie regionem utrwalonej tolerancji”, która zastąpiła wcześniejszą, o „sprzeciwie wobec promocji i afirmacji ideologii tak zwanych ruchów LGBT”. Marszałek patronatu odmówił. Uzasadnienia nie podał.

MARTA MAZUŚ

• DOM ERDOĞANA • ŻYCIE PO BREXICIE • TRANSPŁCIOWA ROSJA

Istnieje
od 1965

FORUM



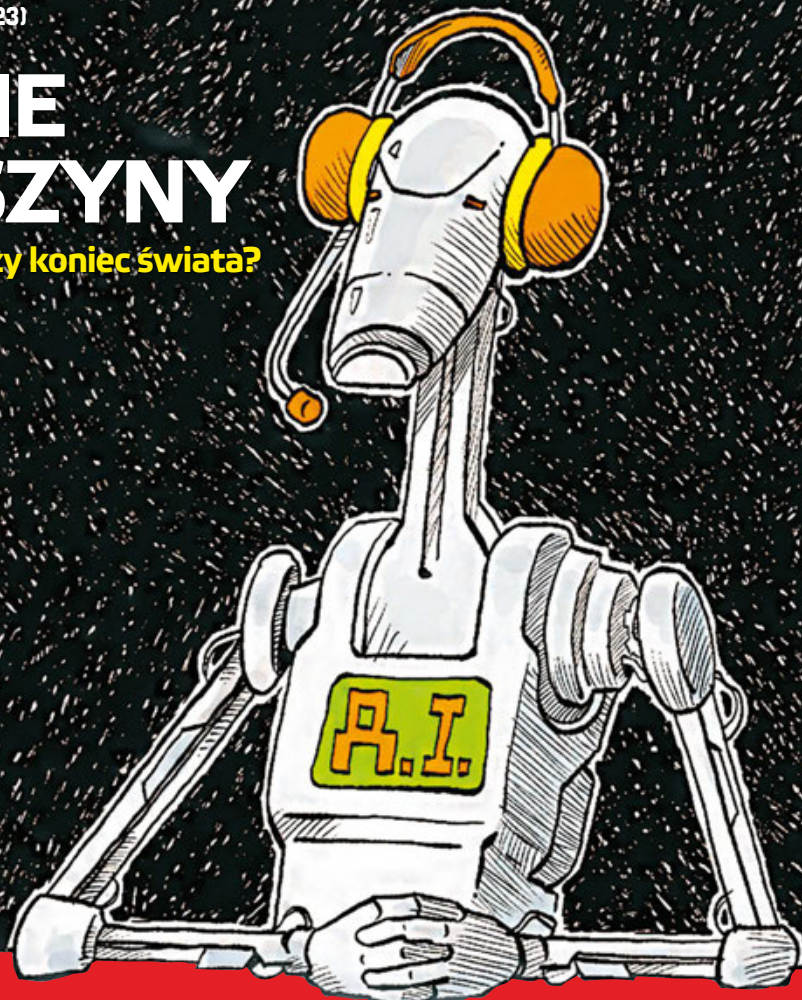
N A J C I E K A W S Z E H I S T O R I E Ś W I A T A

nr 11 (19.05-1.06.2023)

Cena: 12,99 zł (w tym 8% VAT)

LUDZIE I MASZYNY

Nowy Świat czy koniec świata?



RUPERT MURDOCH
Rekiny poczuły krew

BROOKE SHIELDS
Od Lolity do dziewicy

BRUCE WILLIS
Najtrudniejsza rola

PSY NA WULKANIE
Marsz, marsz, maszerko!

SZKOŁA POD GWIAZDAMI
Casting na astronautę

OSTATNIE TSUNAMI
Bunt starej Japonii

META PEDOFILÓW
To też jest na Facebooku

ZOBACZYĆ KILLADELPHIĘ...
... i umrzeć

WOJNA KULTUROWA
Druga bitwa o Alamo

Dwutygodnik **FORUM** – najciekawsze historie świata
NOWY NUMER FORUM W SPRZEDAŻY OD 19 MAJA

Mocni w tężniach

Polska tężniami stoi. Tylko u nas zrobiły taką furorę. Ale czy dzięki nim będziemy zdrowsi?

RYSZARDA SOCHA

Sopockie błonia. Rozległy obszar zieleni przy samym morzu. W sąsiedztwie hoteli, sanatoriów i apartamentowców. Aż dziw, że nie przechwycili tej przestrzeni deweloperzy. A i turyści rzadko się zapuszczają w to miejsce. Na łące wśród naturalnych ziemnych ścieżek spacerowych umieszczono plac zabaw dla dzieci, siłkę, plac zabaw i treningów dla psów, stanowiska do grillowania i niewielką tężnię – konstrukcję z ciasno ułożonych gałązek tarniny posadowioną na planie ośmiokąta. Rodzaj słupa, po którym, delikatnie szmerząc, ścieka solanka. Na jednej z ławek przysiedli państwo z psem. Że to solanka, sprawdzili organoleptycznie. – *Najwięcej ludzi przychodzi w weekendy, głównie starsi i rodziny z dziećmi – relacjonują. – Miłe miejsce, w upały będzie tu o parę stopni chłodniej.* Tężnia stanęła na sopockich błoniach niedawno. Niebawem kolejna zostanie otwarta w sąsiedztwie Muzeum Sopotu, też

blisko morza. Będzie w mieście trzecim obiektem tego typu. – *Sopot obchodzi w tym roku 200-lecie uzdrowiska* – mówi Magdalena Czarzyńska-Jachim, wiceprezydentka Sopotu. – *Chcemy bardziej zaznaczyć tradycję kurortową i w większym stopniu wykorzystać naszą solankę. Gigantycznych tężni budować nie będziemy, bo mamy morze. Ale mieliśmy sygnały, że na plaży bywa tak wietrznie, że trudno usiedzieć, albo że osobom starszym ciężko się chodzi po piasku.*

Zamki, labirynty, wieże

Tężnie rosną jak grzyby po deszczu. Duże, średnie i małe. Płatne i darmowe. Jak Polska długa i szeroka. Mało kto zdaje sobie sprawę ze skali zjawiska. Rosną te w kurortach, miastach i wsiach. O inwentaryzację pokusił się dr Robert Faracik, geograf z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Do 31 grudnia 2019 r. doliczył się 89 tężni. Jednak ta liczba szybko przestała być aktualna. Pozostały szacunki: od 300 do 400 tężni w całej Polsce. Ludzie z branży solankowej mają jednak nadzieję, że w tym roku zasoby powiększą się o kolejną setkę.

Raz po raz docierają informacje o uruchomieniu nowego obiektu. Mała próbka: 14 kwietnia otwarto tężnię w parku w Łukowie (koszt inwestycji 350 tys. zł); 15 kwietnia cały park razem z tężnią na osiedlu Malinka w Opolu (5,5 mln zł); 21 kwietnia podobna feta w Szczytnie. Na 20 maja zaplanowano inaugurację nowej tężni w Żorach (Park Cegielnia), na koniec maja w Zabrze... Gdzieś trwają odbiory techniczne, gdzieś wre budowa, a jeszcze gdzieś indziej przyjmują wnioski na dofinansowanie budowy nowych obiektów.

Polacy pokochali tężnie czy – jak wolą je określać specjaliści – inhalatoria. I pomyśleć, że długo zadowalali się tylko XIX-wiecznymi tężniami w Ciechocinku, jedynymi w kraju, ale największymi w Europie (łącznie 1700 m ścian o wysokości ponad 15 m wyłożonych gałązkami tarniny). Pierwotnie służyły one do produkcji soli – solanka spływała w dół po gałązkach, rozpryskiwała się na drobniutkie krople, parowała, ulegając zagęszczeniu, by w finale trafić do warzelnicy. Dookoła tworzyła się solna mgiełka – aerozol, który, jak twierdzili medycy, korzystnie wpływa na organizm m.in. w przypadku schorzeń górnych dróg oddechowych,





Ciechocinek

zapalenia zatok, rozedmy płuc, alergii, ogólnego wyczerpania. Tak oto tężnie z zakładu przemysłowego stały się wyróżnikiem Ciechocinka jako uzdrowiska, magnesem ściągającym kuracjuszy.

Kolejna tężnia, już z myślą o funkcji uzdrowiskowej, powstała dopiero w 1978 r. w Konstancinie-Jeziornie. To wielobok o obwodzie 140 m i wysokości 6 m. W 2001 r. do Ciechocinka i Konstancina dołączył Inowrocław. Jego tężnia ma formę dwóch połączonych ze sobą sześcioboków o łącznej długości ok. 300 m i ścianach wysokich na 9 m.

– W naszej kulturze tężnie zawsze były symbolem czegoś, co dobre. Te duże to wizytówka, proszę, mamy tu coś, czego inni nie mają – stwierdza dr Faracik.

No i ci inni nie chcieli być gorsi. Tężnie zaczęły wyrastać najpierw w miejscowościach uzdrowiskowych, dysponujących własną solanką. Jak Gołdap chwalać się czwartą tężnią w kraju (dwa ciągi o łącznej długości 220 m i wysokości 8 m), która niejako potwierdziła świeżej daty uzdrowiskowy status miejscowości. W przypadku kurortów o długiej tradycji i ustalonej renomie tężnie stały się uzupełnieniem posiadanej infrastruktury,



Sopot

– Mamy obłęzenie. W zeszłym roku zajęliśmy II miejsce w konkursie na najbardziej atrakcyjny obiekt turystyczny województwa świętokrzyskiego – opowiada Waldemar Sikora, burmistrz Buska-Zdroju. – Wzrosła atrakcyjność miasta i uzdrowiska. Mieliśmy 332 tys. odwiedzających w ciągu roku.

Projekt wyłoniono w konkursie dla młodych architektów (ponad 30 zgłoszeń). Jego realizacja kosztowała 25 mln zł (w tym 7 mln zł z UE). Obiekt widziany z góry trochę przypomina labirynt. Składa się z dwóch pierścieni wyłożonych tarniną. Większy ma średnicę 70 m, mniejszy 40 m. Wysokość ścian – 10 m. Pomiędzy pierścieniami tworzy się korytarz o szerokości 6–7 m. To tam jest najsilniejszy aerozol solny. Dziedziniec wewnętrzny może pomieścić 300 osób. Panuje tam świetna akustyka, więc są organizowane koncerty.

Duże tężnie to festiwal pomysłów. Zbudowana w Wieliczce przypomina średniowieczny zamek. Jego najwyższy punkt – osmiokątna wieża z widokiem na miasteczko i okolice wznosi się na wysokość 22 m. Tężnie w Głuchołazach nadano formę 6-poziomowej wieży widokowej (15 m wysokości). Można z niej oglądać szczyty Biskupiej Kopy i Góry Chrobrego. A w Tychach nawiązuje kształtem do budynku magistratu.

Przyjemności na miarę możliwości

Nie byłoby tego gigantycznego boomu, gdyby tężnie nie wyszły poza uzdrowiskowe ramy, do miast, miasteczek i wiosek. Gdyby nie zaczęto ich budować w miejscach, które muszą solankę sprowadzać nierzadko z odległych rejonów Polski. Do udziału w wykreowaniu trendu przynajmniej się szefowie spółki Solanka z Zabłocia (Śląsk), której główna działalność polega właśnie na wydobywaniu solanki. – W 2018 r. przeprowadziliśmy kampanię informacyjną skierowaną do samorządów – relacjonuje wiceprezes Krzysztof Litwiński. – Rozsyłaliśmy oferty na budowę tężni solankowych. Prawie sto samorządów się zainteresowało, z tego ok. 90 proc. zrealizowało projekt. To były tzw. tężnie budżetowe, do 30 tys. euro, żeby nie wchodzić w procedury przetargowe. Gminy i miasta porozumiewają się ze sobą, w co warto zainwestować, żeby społeczeństwo było zadowolone. A tężnie to przedsięwzięcie, które praktycznie nie ma przeciwników. Dziś Zabłocie zaopatruje w solankę około stu obiektów w różnych rejonach kraju. Inni dostawcy to Ciechocinek, Bochnia i Dębówiec.

Najwięcej samorządów decyduje się na budowę niewielkie. Chodzi zarówno o koszty inwestycji, jak i utrzymania, w tym zaopatrzenia w solankę. A także o możliwości budżetów obywatelskich. Bo najczęściej to one są źródłem finansowania. Decyduje „głos ludu”. W efekcie w dużych miastach, jak już jedna dzielnica się dorobi, to następne nie chcą być gorsze. Warszawa może się pochwalić co najmniej kilkunastoma tężniami. Sporo ma ich także Łódź. Są przykłady tężni postawionych przez ►



Głucholazy

► spółdzielnię mieszkaniową (Łódź), dewelopera (Bunscha Park w Krakowie), a nawet parafię (Bełk). Samorząd województwa małopolskiego zainicjował w 2021 r. program, w ramach którego dofinansowuje solankowe marzenia swoich gmin. Do końca 2022 r. wyrosło z tego już 27 tężni. W tym roku dofinansowanie ma otrzymać kolejnych 10–13 obiektów. A chętnych jest więcej niż pieniędzy.

W Sułoszowej tężnia stanęła w centrum wsi, w sąsiedztwie kościoła, przedszkola, orlika i lodziarni. – *Nasza wieś jest druga w rankingu najdłuższych w Polsce* – opowiada pani Iwona. – *Mamy cel. Całą rodziną jedziemy 5 km na rowerach po te lody i siadamy pod tężnią. My siedzimy, dzieci siedzą, przez pół godziny oddychają. Wracamy drogą obok Maczugi Herkulesa i zamku w Pieskowej Skale.*

Paśnik wójta

Dominuje kilka modeli. Najbardziej popularny kształtem przypomina paśniki, jakie w lesie rozstawia się dla zwierzyny. Złośliwi mówią o paśnikach sołtysa, burmistrza czy wójta. Do tego typu tężni należy też obiekt uruchomiony w 2019 r. na dachu Galerii Północnej na warszawskiej Białołęce, nawet dość okazały jak na lokalizację (4 m wysokości i 10 długości). Reklamowano go wtedy jako pierwszą tężnię w centrum handlowym nie tylko w Polsce, ale też na świecie. Często są też tężnie w formie słupa z zadaszaniem albo słupa wpisanego w jakiś rodzaj altany.



Tężnie trafiły w społeczny klimat. Ich ekspansję najpierw łączono z rosnącym zainteresowaniem mieszkańców jakością powietrza, którym oddychają, walką ze smogiem. Do tego doszła pandemia. – *Pokazała ludziom, że zdrowie, odporność, profilaktyka zdrowotna są najważniejsze* – mówi zajmująca się uzdrowiskami dr hab. Diana Dryglas, prof. krakowskiej AGH. – *A tężnie można postawić wszędzie.*

Gdy otwierano wspomnianą tężnię w Galerii Północnej, media donosiły z pewną przesadą: „Działa ona jak ogromny filtr powietrza, który zapewnia bogaty w jod mikroklimat. Mieszkańcy Białołęki i okolic mogą teraz cieszyć się czystym, posiadającym właściwości lecznicze powietrzem”. Przecięciom wstęg towarzyszą stwierdzenia typu: mamy wreszcie własny Ciechocinek, bo naszych niezamożnych mieszkańców nie stać na wyjazdy. Zdarzają się też obietnice w rodzaju: godzinny spacer wokół takiej instalacji dostarcza organizmowi tyle jodu, co trzydniowy pobyt nad polskim morzem. Przy tężniach, nawet tych najmniejszych, stają tablice, jakie schorzenia aerozol leczy, ile czasu przebywać w jego zasięgu, jakie są przeciwwskazania.

W słonej mgiele ułudy

To wskazówki zaimportowane z dużych uzdrowiskowych konstrukcji, których zdrowotne działanie zostało już trochę rozpoznane przez badaczy. Ciechocinki w miniaturze to na razie niewiadoma. Na pewno wytwarzają słaby aerozol, zwłaszcza w otwartej przestrzeni. Tu rozmiar ma znaczenie. Architektka



Inowrocław



Busko-Zdrój



Wieliczka



Warszawa

dr inż. Agnieszka Chudzińska z Politechniki Warszawskiej wysyp małych tężni postrzega jako degradację obiektu, który miał służyć zdrowiu. Uważa, że komercja i polityka pozbawiają go tej funkcji. Według jej ustaleń prawidłowo funkcjonująca tężnia solankowa to obiekt drogi i duży. Wysokość – minimum 5 m, długość – od 60 m, koszt samej tężni z instalacjami – od 3 mln zł w górę (to według cen sprzed inflacji). Do tego dochodzi długa lista wymagań dotyczących materiałów, konstrukcji oraz eksploatacji (odpowiednie stężenie solanki, jej wymiana, czyszczenie instalacji itp.). – *Cena małych tężni w parkach jest wystarczająco niska, aby wybudować je szybko i zebrać pochwały od wyborców. Mimo braku funkcji leczniczej, dzięki swoim walorom kompozycyjnym i estetycznym, przyciągają one licznych użytkowników. Najczęściej osoby starsze, które wierzą, że podreperują zdrowie. Mamy do czynienia z rodzajem oszustwa dotyczącego funkcjonalności tych obiektów* – mówi badaczka.

– *Wartość zdrowotna małych tężni jest dyskusyjna* – przyznaje Jan Golba, burmistrz Muszyny, a zarazem prezes Stowarzyszenia Gmin Uzdrawiskowych w Polsce. – *Natomiast mogą one mieć jakiś wpływ prozdrowotny jako miejsca rekreacji, odreagowania, odstresowania, poprawiające nastrój niczym antydepresant. Ludzie spotykają się, rozmawiają. To element niesamowicie pozytywny.*

Chudzińska, nie kwestionując walorów społecznych i rekreacyjnych takich miejsc, chciałaby jednak pełnej jasności w kwestii zdrowotnej, uświadomienia społecznego i wśród

decydentów. – *Zastanawiam się, jak to osiągnąć* – powiada. – *Może tężnie powinny być certyfikowane, kategoryzowane, jak np. hotele, żeby człowiek wiedział, czego oczekiwać.*

Zwraca uwagę, że są to obiekty, których wadliwa konstrukcja albo nieprawidłowa eksploatacja może doprowadzić do powstania patogennego środowiska mikrobiologicznego. Taka tężnia zamiast pomóc, może zaszkodzić.

Ekspansja inhalatoriów solankowych uaktywniła ludzi, którzy od lat mają z nimi do czynienia. W 2021 r. zawiązali Stowarzyszenie Polskie Tężnie. Widzą chaos, który trzeba uładzić, żeby tężnie nie straciły renomy i otaczającej je dobrej aury. – *Chcemy to jakoś sformalizować* – tłumaczy Ryszard Bukowski, prezes stowarzyszenia, a jednocześnie dyrektor odpowiedzialny za inwestycje i remonty w Uzdrawisku Ciechocinek SA. – *Chodzi o to, żeby nadzór budowlany kontrolował te konstrukcje, żeby sanepid sprawdzał, co w tych tężniach przepływa. Bo w pięcioprocentowej solance drobnoustroje się nie rozwiną, ale jeśli soli jest zbyt mało, może być kłopot.*

W stowarzyszeniu mówią o obiektach źle zaprojektowanych, źle wykonanych lub niewłaściwie eksploatowanych. Mówią też o potrzebie badań, które pokażą, jakie rozwiązania są optymalne.

Na razie mamy coraz więcej tężni, słabe rozpoznanie, dużo oczekiwań. A lepiej twardo stąpać po ziemi, niż unosić się w aerolu złudzeń. Nawet jeśli to jest przyjemne.

RYSZARDA SOCHA



O czym mówi **Natalia de Barbaro**, a o czym popularność jej książek?

Sprawność przewodniczki

JOANNA CIEŚLA

To najjaśniejsza petarda polskiego rynku wydawniczego ostatnich lat. Adresowane do kobiet książki psycholożki i socjolożki Natalii de Barbaro wyznaczają nowe rewiry dla pojęcia sukces sprzedażowy i nowe jego znaczenie. Wydana w lutym 2021 r. „Czuła przewodniczka. Kobięca droga do siebie” – połączenie poradnika z elementami baśni i opowieści autobiograficznej – ma wspierać czytelniczki w odróżnianiu ich autentycznych pragnień i potrzeb od wymogów życiowych ról, zewnętrznych nacisków i presji. Według danych wydawnictwa Agora do marca tego roku to przesłanie rozeszło

się w 570 tys. egzemplarzy w różnych wersjach: papierowych, e-bookach i audiobookach, czytanych przez Maję Ostaszewską. Opublikowana również w marcu tego roku „Przędza. W poszukiwaniu wewnętrznej wolności” zachęta do dystansu wobec codziennej pogoni od celu do celu, ma szansę nawet przebić ten wynik. W świetle danych panelu BookScan Polska, firmy badawczej Nielsen BookData, wygląda na to, że w półtora miesiąca od premiery „Przędzy” kupiono ok. 30 tys. tego tytułu, tylko w wersji papierowej.

– *Sprzedaż powyżej 400 tys. egzemplarzy dla jednego tytułu to poziom, którym po 1989 r. w Polsce mogą się pochwalić bardzo nieliczni autorzy. W kategoriach Psychologia popularna czy Samodoskonalenie wynik „Czułej przewodniczki”*

to wedle mojej wiedzy pieruszy taki sukces polskiej autorki – ocenia Renek Mendruń, analityk Nielsena.

Natalia de Barbaro nie szczędzi czytelniczkom relacji z własnych zmagania z oczekiwaniami otoczenia i kultury, z duchowych poszukiwań. Zwraca się do odbiorczyń per ty, dzieli się własną historią rodzinną, opowiadając o dorastaniu, doświadczeniu niepłodności, adopcji i wyzwaniach w relacjach z bliskimi. Obficie odwołuje się do metafor, opisując najczęstsze postawy kobiet lub też ich wewnętrzne głosy: Potulnej, Królowej Śniegu, Męczennicy, Serdecznej.

Zdjęcia, kiedyś z „Czułą”, a dziś z „Przędzą”, w mediach społecznościowych umieszczają piosenkarki, aktorki i prezenterki. Kobiety piszą na forach, że Natalia



otworzyła im oczy, uporządkowała głowy i serca oraz że po lekturze jej książek świat zupełnie się odmienia. A inne kobiety – bynajmniej nie pojedyncze – odpisują, że z tym przełomem to trochę jednak przesada i w gruncie rzeczy trudny do pojęcia szal.

Parkur po platformach

Faktem jest, że rozmawiać z ludźmi Natalia de Barbaro uczyła się od pierwszych lat, startując w życie w zycznym krakowskim domu rodziców – psychoterapeutów; przy tym ojciec to ogólnopolski autorytet psychiatry prof. Bogdan de Barbaro. Jeszcze jako studentka wolontariuszka angażowała się w kampanie wyborcze Tadeusza Mazowieckiego i środowiska Unii Demokratycznej. Pracował przy nich także jej ówczesny partner, obecny mąż, Wojciech Modelski. W 2005 r. współtworzyła kampanię prezydencką Donalda Tuska. Wtedy też jej nazwisko po raz pierwszy przewinęło się przez czołówki mediów. Jarosław Kaczyński w prasowym wywiadzie ogłosił, że zagrożenie dla polskiej demokracji związane

jest z „regulą pani de Barbaro, że trzeba za wszelką cenę prowadzić wojnę”.

Tydzień później w POLITYCE Krzysztof Burnetko napisał: „Tusk zwrócił na nią uwagę, kiedy była sztabowcem Rokity. Poprosiła wtedy o jakąś drobną przysługę, Tusk ofiarnie wykonał zadanie, ale zadowolenie mu minęło, kiedy w telefonie usłyszał: Dziękuję, schrzanił pan wszystko, co mógł!”. De Barbaro dystansuje się dziś, że raczej nie mówiła tak ostro, ale faktycznie w podejściu do lidera PO nie wypełniał jej wyłącznie zachwyty. Została szefową kampanijnej strategii, natomiast jej zamysł był dokładnie odwrotny, niż Jarosław Kaczyński głosił: nie odwoływać się do czarnego piaru, tylko skupiać się na przekazie kandydata. Etyce w kampanii w dużej części poświęcona jest jej pierwsza książka (skierowana też do kobiet w polityce), wydana w 2005 r. „Dojść do głosu. Radykalnie praktyczny przewodnik po kampanii wyborczej”.

– Donald miał do Natalii dużo rewerencji i podkreślał, że oczekuje jej od współpracowników. Zwłaszcza że np. spot biograficzny, którego była scenarzystką, przyniósł wyraźne wzrosty sondażowe. Ale w otoczeniu Donalda testosteron wtedy aż bulgotał, sami faceci w za dużych albo za małych garniturach. Natalia, drobna blondynka z plecaczkiem i w dżinsach, nigdy do końca tam nie pasowała – uważa współpracownik Tuska. Wybory zostały przegrane. – Zauważył spłot różnych czynników – ocenia ten sam współpracownik. – W oczach niechętnych odium spływało na Natalię, choć nie było to zasłużone.

W kolejnych latach nadal konsultowała niektóre wizerunkowe decyzje Platformy, jednak coraz rzadziej. Prowadziła szkolenia dla polityczek w Macedonii, Strefie Gazy, Ukrainie czy Słowacji, a w Instytucie Psychologii UJ – zajęcia z doradztwa politycznego. Zawodowo zajęła się szkoleniami dla biznesu i organizacji pozarządowych. Po rozmowie z uczestniczką jednego z takich szkoleń wpadła na pomysł autorskich warsztatów o zupełnie innym charakterze, skierowanych do kobiet. – Tamta kobieta mówiła o zmęczeniu. I ja też poczułam się ogromnie zmęczona pracą w tej kwadratowej, bardzo kanciastej przestrzeni – opowiada dzisiaj. – Zaśknęłam za innym miejscem, w którym nie będę w żadnym kompromisie, i za pracą, w której czuję, że jestem w swoim pierwszym języku, całkiem u siebie. Warsztaty nazwała „Własny pokój”, nawiązując do słynnego zawołania Virginii Woolf. Był 2015 r.

Jeszcze wcześniej, w trakcie luźniejszego dnia na zagranicznym wyjeździe szkoleniowym, Natalia pisze wiersz, pierwszy

od lat licealnych poetyckich próbek. A potem kolejny. Zbiorek „Ciemnia”, wydany przez Zeszyty Literackie, otrzymuje nagrodę Konstantego A. Jeleńskiego za debiut poetycki. Z czasem ukazują się jeszcze dwa tomiki.

Dziś Natalia de Barbaro mówi, że przez lata utwierdzała się w poczuciu, że chce coś przekazać kobietom i rozmawiać z nimi za pośrednictwem różnych platform. Umawia się na felietony do „Wysokich Obcasów” i przez kilka lat pisze do cotygodniowych wydań, równoległe prowadząc warsztaty. A potem przychodzi pandemia. – *Moje szkolenia wygasły, miałam czas. Pojawił się pomysł, żeby wydać moje felietony w formie książki. Ale ja poczułam, że ta książka to powinno być coś nowego* – opowiada. Zaczęła pisać bez pewności, czy znajdzie wydawcę.

Kłopot z siostrą

W „Czułej przewodnicze” Natalia de Barbaro przyznaje, że kilkakrotnie oglądała mowę noblowską Olgi Tokarczuk poświęconą czułości – niezbędnej, by dać światu głos. Stąd popłynęła inspiracja, aby wyobrazić postać, która wspiera kobiety w zmianie, nazwać, nawiązując do tego pojęcia. Co okazało się też decyzją roztropną, bo wystąpienie noblistki ożywiło masowy zachwyty ideą czułości, a nawet samym brzmieniem tego słowa (jeszcze dziś na rynku są co najmniej trzy inne pozycje z czułością w tytule: „Czułość. Poradnik pozytywnego egoizmu”, „Moc czułych słów. Zapiski wędźmy”, również poradnik, i powieść „Czułość” Piotra Fiedlera).

Kim dokładnie jest Czula Przewodniczka? Autorka opisuje ją w książce charakterystyczną frazą: „jest moją wewnętrzną instancją, zawsze we mnie obecną, która prowadzi mnie, kiedy wybieram to, co mi służy. Zrobiona jest z odwagi i miłości; miłość bez odwagi stałaby w miejscu, a odwaga bez miłości byłaby niedostatecznie serdeczna (...). Prowadziła mnie, kiedy mówiłam swoje »tak« i swoje »nie« w sprawach związanych z pracą (...), sprawiła, że pokochałam mężczyznę, z którym jestem od dwudziestu siedmiu lat”. Chodzi więc o wewnętrzną głosu, który nawołuje do zaspokojenia autentycznych potrzeb i żywego wyrażania emocji. Przeszkadzają w tym zazwyczaj opisane we wcześniejszych częściach książki inne wewnętrzne głosy: Potulnej – nakazujący podporządkować się woli innych, Królowej Śniegu – każący gonić za osiągnięciami, Męczennicy – każący poświęcać siebie dla otoczenia. Przesłanie „Czułej przewodniczki” zawiera się w tym, żeby na ten pierwszy głos się wyculić, a pozostałe wyciszyć. ►

► Rzadko jest to typowy coaching, raczej psychologiczne poradnictwo i transkrypcja na prostszy język prac jungistów czy badaczy psychologii społecznej, przeplatana licznymi odwołaniami do własnych doświadczeń autorki, uczestniczek jej warsztatów, przyjaciółek i innych kobiet. Może to nasuwać skojarzenia z innym – amerykańskim – rynkowym hitem „Jedź, módl się, kochaj” Elizabeth Gilbert, który na polskim rynku pojawił się w 2010 r.

Liczne omówienia i odniesienia do literatury i filmów, czego w „Czułej przewodniczkę” jest obfitość, jednocześnie są jednak tym, co niektórych odbiorców, a raczej odbiorczynie, zniechęca. – *Dawno temu przeczytałam wielokrotnie przywoływaną w tej książce „Biegającą z wilkami” Clarissy Pinkoli Estés. Wiem, że kultura i społeczeństwo wtłacza mnie w opresyjne role. Wiem, że warto walczyć o siebie. Nie potrzebuję przykładów wymyślonych postaci ani baśniowych historii, które kojarzą mi się z opowieściami Paulo Coelho. I denerwuje mnie, że narratorka zwraca się do mnie jak do siostry czy przyjaciółki, a traktuje mnie niepoważnie, opowiadając rzeczy, które znam od dawna, w uproszczonej wersji* – opowiada Justyna, 40-letnia pracowniczka korporacji. Z drugiej strony wobec kobiet spoza klasy średniej, samotnie utrzymujących dzieci za grosze zarobione w harówce, dość odważnie brzmia zachęty, by wyjść z kieratu obowiązków i wsłuchać się we własne potrzeby.

Sama Natalia de Barbaro, pytana o to, do jakiej czytelniczki pisze, opowiada dość ogólnie: – *Piszę do pojedynczej kobiety. Czuję jej obecność, ale trudno mi ją opisać. To nie jest jakaś konstrukcja wyciągnięta ze średniej statystycznej.*

„Przędza”, napisana dwa lata później, jest inna niż „Czuła przewodniczką”. Tutaj wiodące metafory to (wciąż dużymi literami) Łucznicz, uosabiający „męskie” życiowe nastawienie na działanie skoncentrowane na celu, i Tkaczka, symbolizująca „kobieca” energię trwania i czerpania radości z tu i teraz. W początkowej części autorka przedstawia różnicę między tymi podejściami, znów odnosząc się do własnych życiowych doświadczeń, a także relacji z lekcji łucznictwa i tkania. W dalszych rozdziałach przekonuje, że warto w życiu „przeplatać różne nici” – dbać o różnorodność doświadczeń i harmonię. Choć i w tej metaforze nie każdy i nie każda się odnajdzie, więcej tu nowych perspektyw (o potrzebie zabawy napisano mniej niż o uprzedmiotowieniu kobiet) i przesłania, że psychologiczny zysk niesie już umiejętność przełączania się między akcjami nastawionymi na konkretny, określony efekt

a spokojnym byciem w codzienności. Więcej zachęt, by szukać okazji do wytchnienia między zobowiązaniami, niż radosnego przekonywania, że „świat się nie zawali, jak się nie wywiążesz”. Mniej baśni, a więcej otwartości w mówieniu o tym, że do zmian, także tych prowadzących do po prostu przyjemniejszego życia, trzeba nie tylko chęci, lecz także czasu i zaangażowania.

Prezenty na drogę

A jednak „Czuła przewodniczka” wspięła się na sprzedażowe Himalaje, przyniosła Natalii de Barbaro m.in. statuetkę Bestsellera Empiku, a także – jak oszacowali dziennikarze „Wprost” – zarobek prawdopodobnie rzędu 1,35 mln zł tylko w 2021 r. (na podstawie danych BookScan Polska redakcja przypisała de Barbaro piąte miejsce na liście najlepiej zarabiających polskich pisarzy – dość daleko za liderem Remigiusem Mrozem, ale przed Olgą Tokarczuk). Na trzydniowe warsztaty „Własny pokój”, w cenie prawie 3 tys. zł za osobę, miejsca wyprzedają się z kilkutygodniowym wyprzedzeniem. Powodzeniem cieszą się też inne: „Wokół »Przędzy«”, „Czułe struny” – dla osób wysoko wrażliwych, „Odnajdź spokój w środku burzy” czy skierowane do biznesu, a nazwane dość bezceremonialnie: „Komunikacja bez ściemy”.

Małgorzata Latawiec-Józwiak, psycholożka i psychoterapeutka, ocenia, że znaczenie przesłania Natalii de Barbaro może zależeć od tego, w jakim momencie życia człowiek na nie trafia: – *Sama znam kobiety, które pochłaniają te książki po kilka razy, a oprócz tego słuchają audiobooka „Czułej przewodniczki”, jak i kobiety, które nie znajdują w nich nic odkrywczego. Wiem, że niektóre terapeutki polecają te tytuły pacjentkom zaczynającym terapię.*

Jeśli moment życia faktycznie ma znaczenie, nie sposób pominąć daty premiery „Czułej przewodniczki”. Luty 2021 r., trzecia fala pandemii covidu, był momentem szczególnym i trudnym dla niemal wszystkich w Polsce. I kobiety, i mężczyźni jeszcze bardziej niż wcześniej potrzebowali ukojenia i akceptacji, którą książki Natalii de Barbaro są przepełnione. Prosty, potoczny język (powtarzające się co kilkanaście stron „co, nie?”), z feminatywami, mógł sprawić, że pewnej grupie kobiet tym łatwiej było się w tej przestrzeni odnaleźć. Trudno nie wspomnieć o potężnym zaangażowaniu marketingowym Agory – w szczytowych tygodniach kampanii promocyjnej Natalia spoglądała z setek plakatów, billboardów i okładek pism, zwracała się do kobiet w kolejnych programach, nagraniach i audycjach. A także o znanym za sprawą autorytetu ojca nazwisku.

Niewątpliwie kobiety, nawet jeśli nie zawsze doczytują „Czułą przewodniczkę” do końca, często kupują ją przyjaciółkom, mamom czy siostram.

Prof. Jacek Wasilewski, medioznawca analizujący narracje, ocenia, że taki prezent może mieć sens dzielenia się wypowiedzią drogi wyjścia z opresji. – *Dzięki nieustająco napływającym z Zachodu nowym trendom, filmom i nowym technologiom nadal przybywa kobiet, dziś także z klasy ludowej, które uznają, że mają prawo do zmiany swojego miejsca w życiu, do walki o podmiotowość.* Zdaniem profesora powtarzanie znanych wcześniej treści nie musi być wadą: – *Książki Natalii de Barbaro są rodzajem rozmowy z czytelnikiem, która ma być przyjemna i zrozumiała, dlatego odwołują się do starszych, bardziej hermetycznych treści, trochę je upraszczając. To zachęta do wyruszenia w drogę pod hasłem „poprzeglądaj się w różnych lustrach”.*

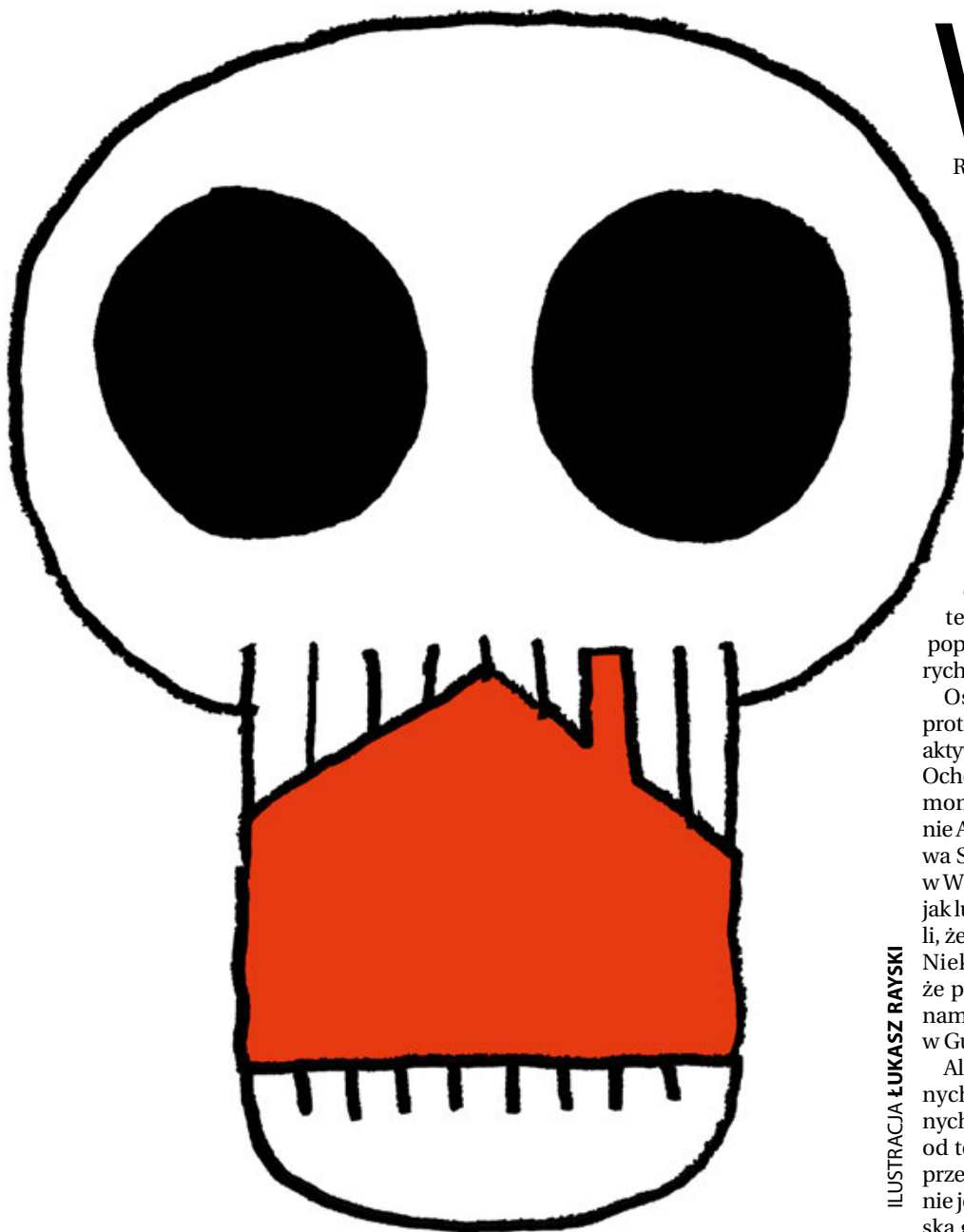
Psychoterapeutka Małgorzata Latawiec-Józwiak dodaje, że wśród wydawanych w ostatnim czasie poradników relatywnie mniej niż w poprzednich latach jest pozycji typu „Zostań mistrzem życia w weekend!” czy „Wylecz się sama z depresji”. – *Więcej jest książek, które starają się wspierać przesłaniem „inni mają podobnie jak ty”, czyli czasem trudno; nie jesteś słaba czy do niczego, masz prawo się mylić. Takie przesłanie raczej nie może zrobić krzywdy. Widzę książki Natalii de Barbaro jako spektakularnie trafiony przykład tej kategorii.*

Ich bezdyskusyjną zaletą jest jeszcze jedno: stanowczy przekaz, że nie należy się godzić na żadne formy przemocy (czego nigdy dosyć w polskim społeczeństwie, wciąż pobłażliwie patrzącym na takie akty), a jednocześnie, że warto brać odpowiedzialność za własne szczęście, bez pograżania się w wieloletnich rachunkach krzywd doznanych od bliskich.

Być może więc opowieści de Barbaro – psycholożki, socjolożki, poetki, specjalistki od politycznej komunikacji – sprawdzają się jako zaproszenie do podróży dla kolejnej grupy kobiet, które z różnych powodów nie załapały się na wcześniejsze edycje rajdu po samostanowienie, równość i pełnoprawność. Grupy częściowo tej samej, a częściowo innej niż ta uczestnicząca w strajkach kobiet w następstwie mizoginicznej polityki PiS, kilka miesięcy przed premierą „Czułej przewodniczki”.

Logiczne byłoby, gdyby to zaproszenie zachowało moc w perspektywie nadchodzących wyborów, przyczyniając się do politycznej zmiany, także dla kobiet. Ale to mogłaby być już osobna, kolejna historia, czy raczej heristoria.

JOANNA CIEŚLA



Obozy grozy

PIOTR PYTLAKOWSKI

W strzeżonych przez straż graniczną ośrodkach dla cudzoziemców rozlewa się fala głódówek. Bo ludzie siedzą w więzieniu, chociaż nikt ich nie skazał.

W ośrodku w Lesznowoli w ramach protestu głoduje siedmiu obcokrajowców, a jeszcze niedawno głodowało 22.

Rashid z Maroka w stanie zagrożenia życia trafił do szpitala. Nie wiadomo, do którego, bo komendant ośrodka nie chce o tym poinformować jego pełnomocniczki prawnej. Zasłania się wymogami RODO. Rashid głodował na sucho, nie przyjmował jedzenia i napojów. Słabł w oczach, ale długo zwlekano z wezwaniem pogotowia.

W Przemyślu głodowały dwie osoby, ale jednego z protestujących przewieziono do szpitala psychiatrycznego. W Białymstoku głódówkę prowadziło sześciu osadzonych, ale po rozmowie z komendantem placówki odstąpili od protestu. Prawdopodobnie obiecano im poprawę warunków pobytu, a może nawet rychłe zwolnienie.

Osadzeni w ośrodkach cudzoziemcy protestują z poczucia beznadziei, jak mówi aktywistka Karolina Mazurek z Podlaskiego Ochotniczego Pogotowia Humanitarnego, monitorująca ośrodki strzeżone. Na stronie Amnesty International zacytowano słowa Safira z Syrii o ośrodku tymczasowym w Wędrzynie: „Strażnicy nie traktowali nas jak ludzi. Nawet nie jak zwierzęta. Sprawiali, że czuleś się bezwartościowy jak insekt. Niektórzy z nich wydawali się dumni, że porównaliśmy to miejsce do Guantanamo. Kiedy wchodziłeś, mówili: Witamy w Guantanamo”.

Ale w Guantanamo trzymano podejrzanych o terroryzm, w ośrodkach strzeżonych w Polsce umieszcza się uciekinierów od terroryzmu, wojen i biedy. Ich jedyną przewiną jest nielegalność. Żaden człowiek nie jest nielegalny, ale oni przekroczyli polską granicę w sposób, jak to określa straż graniczna, nieregularny. I nie mają wiz. Dlatego komendanci SG zamykają ich w swoich placówkach.

Dwa lata bez wyroku

Straż graniczna umywa ręce od odpowiedzialności, bo to przecież sądy orzekają o umieszczeniu obcokrajowca w ośrodku zamkniętym. Sądy też mają czyste sumienia, bo podejmują decyzje na podstawie wniosków od SG – materiał dowodowy nie ma znaczenia, sąd jest zapracowany, nie ma czasu na niuanse. Sądowe postanowienia mówią o detencji, czyli umieszczeniu cudzoziemca w ośrodku strzeżonym o charakterze więziennym. Tego wymaga polska racja stanu. ►

ILUSTRACJA ŁUKASZ RAYSKI

► A racja stanu jest taka, że do Polski przez granicę z Białorusią przedostają się uchodźcy. Niewiele pomógł graniczny mur zbudowany za prawie 2 mld zł, nic nie zmienia stan pełnej mobilizacji służb granicznych – granica jest dziurawa jak sito. Obcokrajowcy złapani po polskiej stronie przeważnie wywożeni są, jak to się eufemistycznie określa, na linię granicy, czyli niezgodnie z prawem polskim i międzynarodowym wyrzucani do Białorusi, nie przez przejścia graniczne, ale gdzie się da. Nieliczni mają więcej szczęścia, bo prośby o objęcie ich przez Polskę ochroną międzynarodową zostają wysłuchane. Trafiają wtedy do placówek SG, a stamtąd, na podstawie postanowień sądowych, do strzeżonych ośrodków.

W zamkniętych ośrodkach umieszczani są też cudzoziemcy zatrzymani na terenie całej Polski, bo nie posiadają wiz, dokumentów i przebywają w Polsce nielegalnie (często przerywana jest w ten sposób ich wędrówka do Niemiec, bo tam chcą poprosić o azyl). W ośrodkach ma się odbyć weryfikacja ich oświadczeń potwierdzająca dane osobowe, kraj pochodzenia, uzasadniająca wniosek o ochronę, bo w rodzimym kraju groziłoby im niebezpieczeństwo i sprawdzająca, czy są groźni dla porządku prawnego obowiązującego w naszym kraju. Według ustawy o cudzoziemcach głównym powodem umieszczenia w ośrodku strzeżonym jest prawdopodobieństwo wydania decyzji o powrocie (wydaleniu) do kraju pochodzenia. Trzeba przyznać, że to uniwersalny powód, bo decyzja o powrocie zawsze może być prawdopodobna.

W ośrodku strzeżonym osoby tam umieszczone mogą przebywać do trzech miesięcy, na tyle przewiduje się okres procedury sprawdzającej, ale sądy przeważnie na wniosek SG przedłużają termin nawet do dwóch lat. I są to dwa lata uwięzienia bez wyroku. Na końcu takie osoby są wreszcie uwalniane albo poddawane deportacji, co dotyczy głównie Irakijczyków. Ale ci znaleźli sposób, jak się bronić przed wydaleniem – już na lotnisku lub na pokładzie samolotu głośno protestują i piloci odmawiają lotu z niespokojnymi pasażerami.

Procedury weryfikujące trwają długo, bo straż graniczna nie ma odpowiedniej liczby fachowców od sprawdzania, tłumaczy egzotycznych języków, a czasem w tej instytucji brakuje też dobrej woli. Zdarza się, że osadzonych wozi się do ambasad krajów ich pochodzenia, aby dyplomaci (często wrogo nastawieni do uciekinierów) potwierdzali ich tożsamość. Dzieje się to za zamkniętymi drzwiami, bez asysty funkcjonariuszy SG. Rzecznik Praw Obywatelskich oprostował tę metodę.



W Polsce w gestii straży granicznej jest sześć ośrodków strzeżonych dla cudzoziemców. Do niedawna działały dwa tymczasowe ośrodki w Wędrzynie i Czerwonym Borze – zlikwidowano je z powodu urągających warunków przetrzymywania cudzoziemców.

Na fot. bunt uchodźców w Wędrzynie.

W Polsce w gestii straży granicznej jest sześć ośrodków strzeżonych dla cudzoziemców – w Kętrzynie, Białymstoku, Białej Podlaskiej, Lesznowoli, Krośnie Odrzańskim i Przemyślu oraz jeden areszt (także w Przemyślu). Do niedawna działały dodatkowo dwa tymczasowe ośrodki strzeżone w Wędrzynie (na terenie poligonu wojskowego) i w Czerwonym Borze pod Łomżą – zlikwidowano je z powodu urągających wszelkim normom warunków przetrzymywania cudzoziemców.

Niewola w wolnym kraju

Areszt dla cudzoziemców to miejsce odosobnienia o zaostrzonym rygorze, wydawałoby się, że przeznaczony dla groźnych przestępców, ale w gruncie rzeczy umieszcza się w nim osoby, co do których istnieje podejrzenie, że nie będą przestrzegać polskiego porządku prawnego. Każdego można przecieć o to podejrzewać, jeżeli jest się podejrzliwym z natury.

Do aresztu w Przemyślu trafiło sześciu obywateli Afganistanu, którzy w 2022 r. nielegalnie wjechali do Polski ze Słowacji. Znalezione ich w naczepie ciężarówki i uznano, że jest to okoliczność na tyle obciążająca, że niezbędny będzie areszt, a nie zwykły ośrodek strzeżony. Sąd klepnął wniosek na początek o trzy miesiące aresztu, a potem kolejnymi postanowieniami przedłużał pobyt za kratami.

Hanna Machińska, była zastępczyni rzecznika praw obywatelskich, która wizytowała wraz z przedstawicielami

Krajowego Mechanizmu Przeciwdziałania Torturom przy BRPO ośrodki strzeżone, zwróciła uwagę, że do aresztu przemyskiego kierowane są osoby podejrzane o nielegalne przekroczenie granicy, jak ci Afgańczycy, chociaż mogą być umieszczone w ośrodkach strzeżonych. – *A warunki przebywania w areszcie są niezwykle ciężkie – mówi. – Tam w celach nie ma kądek sanitarnych, o każde wyjście do ubikacji osadzony musi prosić strażnika, waląc w drzwi i licząc, że strażnik usłyszy.*

Dr Machińska zapamiętała też, że w ośrodku strzeżonym w Przemyślu były fatalne warunki higieniczne, wszędzie brud, a osadzeni skarżyli się na wyżywienie. Najgorzej było w ośrodku w Wędrzynie. – *Tam stłoczono siedmiuset mężczyzn, w salach po dwudziestu czterech – wspomina Hanna Machińska. – Panował wojskowy dryl. Wszystkie na rozkaz. Osadzonych jak aresztantów pozbawiano sznurówek.*

Dowiedziała się, że stawka żywieniowa na osobę sięgała w Wędrzynie 58 zł na osobę, podczas gdy w innych ośrodkach wynosiła 8–11 zł. Pomyślała, że za takie pieniądze osadzeni powinni być karmieni po królewsku. Nic z tych rzeczy, porcje mikroskopijne i podłej jakości, cudzoziemcy nieustannie głodni. Nie miała wątpliwości, że ktoś na tych nieszczęśnikach się dorabia.

W ośrodku w Białej Podlaskiej spotkała Kipę, 14-latkę z Syrii. To było ich drugie spotkanie, wcześniej rozmawiała z dziewczynką w lesie, niedaleko granicy z Białorusią. Hanna Machińska wizytowała wtedy

strefę przygraniczną i razem z lokalnymi aktywistkami natknęła się na grupę uchodźców, wśród nich była Kipa i jej rodzina. 14-latką była szczęśliwa, że udało się, jest w wolnym kraju, wszystko co złe już za nią. Ale w ośrodku strzeżonym dr Machińska zobaczyła już inną Kipę. Podjęła głódówkę i tłumaczyła, że to sprzeciw przeciwko więzieniu, w jakim ją umieszczono. Po jakimś czasie wypuszczono ją z ośrodka wraz z rodziną. Dzisiaj już nie ma jej w Polsce. Przysłała wiadomość, że teraz jest na prawdę w wolnym kraju.

W Syrii więzienie, w Polsce więzienie

W połowie 2022 r. opublikowano raport Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur, komórki wchodzącej w skład Biura Rzecznika Praw Obywatelskich, o sytuacji cudzoziemców w ośrodkach strzeżonych straży granicznej. Przedstawiciele KMPT odbyli 15 niezapowiedzianych wizytacji we wszystkich ośrodkach detencji (w niektórych kilkakrotnie), rozmawiali z funkcjonariuszami i osadzonymi.

W raporcie podkreślono, że do zamkniętych ośrodków, wbrew ustawie, kierowane są osoby małoletnie, rodziny oraz ofiary przemocy fizycznej i psychicznej, które doznały jej w krajach pochodzenia i na terenie Białorusi. Brakowało właściwej opieki medycznej i psychologicznej. W tymczasowym ośrodku w Wędrzynie na 700 osadzonych przypadał jeden lekarz (chirurg) przyjmujący trzy razy w tygodniu po dwie godziny. W Czerwonym Borze osadzonymi

zajmował się także jeden lekarz trzy razy w tygodniu po cztery godziny. W jednej z placówek wizytujący dowiedzieli się od obywatela Afganistanu, że ma zdiagnozowanego guza mózgu, ale nikogo z personelu to nie interesuje – nie jest leczony. Po interwencji wizytatorów kierownik ośrodka podjął decyzję o zwolnieniu chorego z detencji.

W ośrodkach strzeżonych pracownicy KMPT dostrzegali, że osadzeni są słotczeni do granic możliwości. To efekt rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych o zmianie norm powierzchni przypadającej na osobę z 4 m kw. w przypadku małoletnich i kobiet oraz 3 m kw. w przypadku mężczyzn do 2 m kw. W zakładach karnych powierzchnia na skazanego jest o metr większa, a normy europejskie przewidują 6 m kw. w celi jednoosobowej i 4 m w wieloosobowej.

Podczas wizytacji w ośrodku w Lesznie trwał strajk głodowy sześciu obywateli Syrii. Protestowali przeciwko uwłaczającym ludzkiej godności warunkom. Wizytator zapisał ich relację: „Po przybyciu do Polski każdy z nas natychmiast złożył wniosek o status uchodźcy, ale żaden z nas nie trafił do ośrodka dla uchodźców (wolnościowego). Po każdym przewiezieniu z miejsca na miejsce – uzbrojeni funkcjonariusze straży granicznej każą nam rozbierać się do naga i robić przysiady, nikt z nami nie rozmawia, nie informuje o dalszym losie, nie zwraca się do nas po imieniu, jesteśmy wywoływani numerami, które przyznała nam straż graniczna. Część z nas jest po ciężkich torturach,

jakie przeszliśmy w syryjskim więzieniu, a teraz i tu w Polsce trzyma się nas jak kryminalistów za wysokimi murami i drutami kolczastymi. Nikt z nas nie wie, jak długo mamy to jeszcze znosić, gdyż jak zbliża się czas końca detencji, otrzymujemy nową decyzję o jej przedłużeniu, decyzje, które sądy wydają za naszymi plecami, bez naszego udziału”.

W raporcie wśród wniosków końcowych zawarto postulat likwidacji tymczasowego ośrodka w Wędrzynie i zniesienie odosobnienia dla małoletnich i rodzin oraz kierowanie uchodźców do ośrodków strzeżonych jedynie w ostateczności. W pierwszej kolejności takie osoby powinny trafiać do zwykłych placówek dla cudzoziemców lub do mieszkań użyzeczanych im np. przez aktywistów. W przeciwnym razie bunt i głódówki staną się normą.

Raport KMPT spowodował, że faktycznie zlikwidowano ośrodek w Wędrzynie i zmniejszono liczbę osób przetrzymywanych pod strażą. Teraz w ośrodkach strzeżonych przebywa ok. 600 cudzoziemców, a wcześniej ich liczba dochodziła do 2 tys. Cytowana wcześniej aktywistka Karolina Mazurek uważa jednak, że nowy szczyt uchodźców niebawem nastąpi i zatłoczenie w ośrodkach znów przekroczy wszelkie normy i osadzeni będą się buntować. – *Obserwujemy sytuację w krajach pochodzenia uchodźców i mamy pewność, że nowa fala już jest w drodze na szlak białoruski – mówi. – Już teraz dziennie przekracza polską granicę około trzystu osób uciekających przez Białoruś. Latem będzie ich więcej.*

PIOTR PYTLAKOWSKI

REKLAMA

PRZEZ 22 LATA WSPARLIŚMY 362 NAUKOWCÓW KWOTĄ PONAD 6 MLN 875 TYS. ZŁ.

23
NAGRODY NAUKOWE
POLITYKI

JESTEŚ MŁODYM AMBITNYM NAUKOWCEM?
PROWADZISZ NIEBANALNE, WAŻNE SPOŁECZNIE PROJEKTY BADAWCZE?

Wypełnij formularz zgłoszeniowy: polityka.pl/stypendia

Czekamy do 14 czerwca!

Partnerzy
Nagród Naukowych
POLITYKI 2023

zaiks
sprzyjamy wyobraźni

Dr Irena Eris



FUNDACJA ONKOLOGII
DOŚWIADCZALNEJ I KLINICZNEJ
Onkologia-Fochi.org

Patron
medialny





Sztuczna inteligencja pracująca

Informują, udzielają porad, odpisują na maile, czytają i segregują dokumenty, podpowiadają, komu udzielić kredytu. Max, Jenny, Aurelia, Horacy, InfoNina, e-Milia i inni mają pełne ręce roboty. Choć rąk nie mają, bo są systemami sztucznej inteligencji. To nowa klasa pracująca.

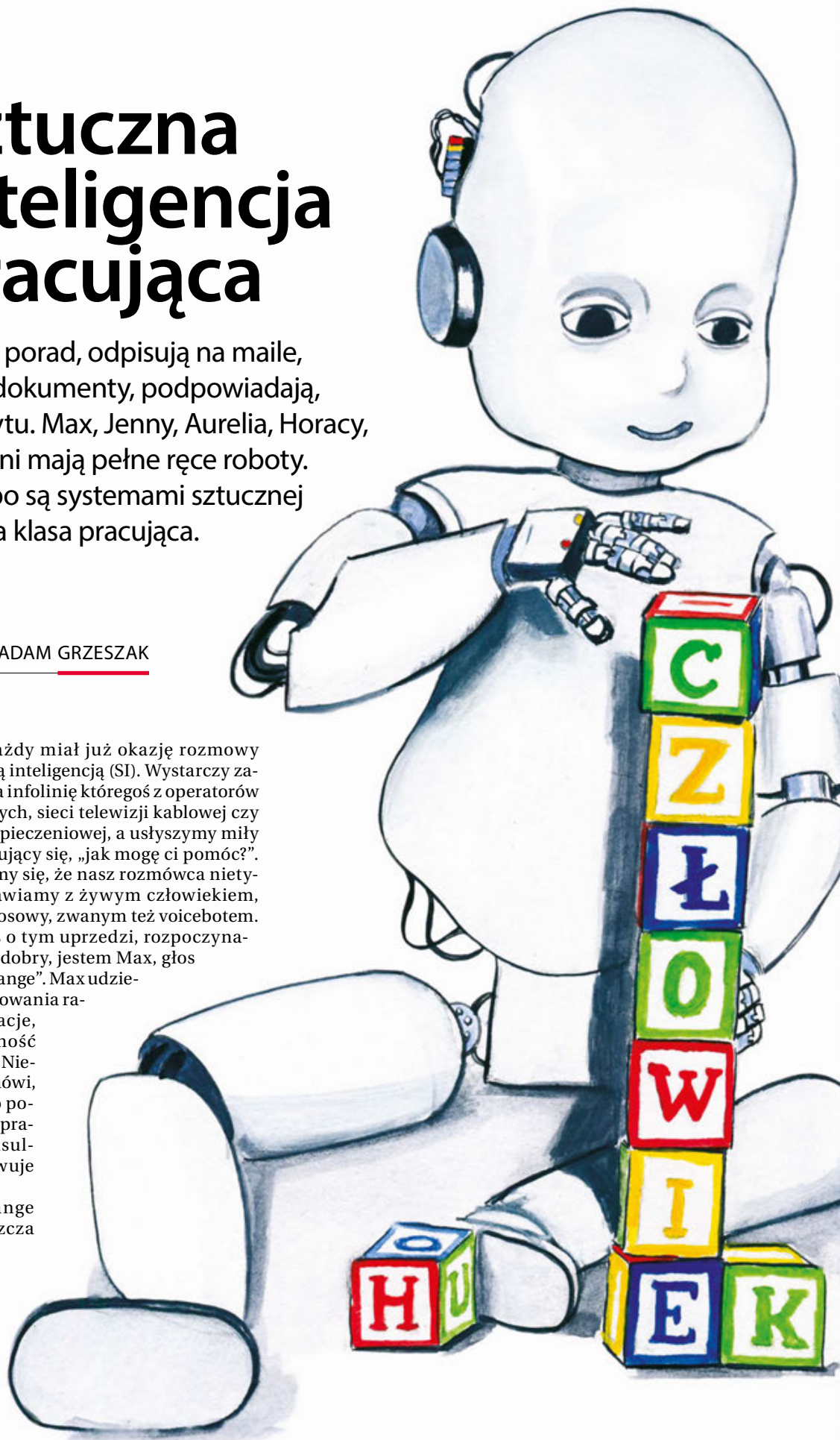
ADAM GRZESZAK

Z

apewne każdy miał już okazję rozmowy ze sztuczną inteligencją (SI). Wystarczy zadzwonić na infolinię któregoś z operatorów komórkowych, sieci telewizji kablowej czy firmy ubezpieczeniowej, a usłyszymy miły głos dopytujący się, „jak mogę ci pomóc?”.

Dopiero po chwili orientujemy się, że nasz rozmówca nietypowo reaguje, bo nie rozmawiamy z żywym człowiekiem, ale z maszyną. To asystent głosowy, zwanym też voicebotem. Niekiedy maszyna sama nas o tym uprzedzi, rozpoczynając rozmowę np. tak: „Dzień dobry, jestem Max, głos sztucznej inteligencji sieci Orange”. Max udziela informacji na temat uregulowania rachunku, przyjmuje reklamacje, a nawet sprawdza poprawność działania oferowanych usług. Nieźle rozumie, co się do niego mówi, choć czasem gubi się i prosi o powtórzenie. W trudniejszych sprawach wzywa na pomoc konsultanta-człowieka i przekierowuje do niego rozmowę.

Niektórym klientom Orange Max gra na nerwach, zwłaszcza jeśli sam dzwoni, by upomnieć się w sprawie niezapłaconej faktury. W internecie na hasło „Max z Orange” można znaleźć wiele narzekania i rad, co powiedzieć, żeby go



zmusić do szybkiego umożliwienia rozmowy z ludzkim pracownikiem sieci. – *Nasi klienci, jeśli chcą rozmawiać z konsultantem-człowiekiem, mają taką możliwość. Ale 90 proc. spraw, z którymi dzwonią, to są problemy stosunkowo proste, powtarzalne, dlatego Max radzi sobie z nimi całkiem dobrze. Zwłaszcza że cały czas się uczy* – zapewnia Wojciech Jabczyński, rzecznik Orange Polska. Nad tym, by Max był w dobrej formie, czuwa zespół kilkunastu pracowników firmy.

Nie tylko obsługa klientów jest prowadzona przez roboty, ale także ankiety konsumenckie. – *Ankieterzy dzwoniący do nas po skorzystaniu z jakiegoś produktu czy usługi i pytający, czy jesteście zadowoleni i czy polecilibyśmy je komuś, to zwykle systemy sztucznej inteligencji. Firmy gromadzą coraz większe ilości danych o klientach, ich analiza także jest możliwa przy wsparciu narzędzi sztucznej inteligencji* – wyjaśnia dr Paweł Wójcik, psycholog zachowań konsumenckich z Wydziału Zarządzania UW. Dodaje, że barierą w upowszechnianiu SI będzie naturalny opór ludzi w kontaktach z maszynami. – *Ludzie potrzebują ludzi* – sentencjonalnie stwierdza psycholog.

Mów głośno i wyraźnie

Sztuczna inteligencja, niezależnie czy się ją lubi czy nie, ma dla firm spore zalety. Dlatego rośnie armia asystentów głosowych, voicebotów, oraz chatbotów, czyli internetowych odpowiedników, z którymi konwersację prowadzi się pisemnie. Takie oprogramowanie jest najczęściej dziełem informatyków z polskich firm. Maxa z Orange stworzyła firma Lekta.ai, spore osiągnięcia ma też SentiOne, spółka zajmująca się automatyzacją obsługi klienta. Jej specjaliści pracują dziś nad stworzeniem konwersacyjnej sztucznej inteligencji – europejskiej odpowiedzi na amerykański ChatGPT. Przekonują, że ich system będzie górował nad amerykańskim pod względem znajomości języka polskiego.

Umiejętność rozumienia tego, co mówi człowiek, jest dla SI największym wyzwaniem. Nie każdy klient potrafi mówić głośno i wyraźnie, używając precyzyjnych określeń, do jakich voiceboty są szkolone. Może mówić nieskładnie, używać regionalizmów i wulgaryzmów. Wtedy voicebot, zwłaszcza z małym zasobem słów i ograniczony tematycznie, zwykle się gubi. A musi prowadzić często trudne rozmowy, zwłaszcza jeśli pracuje w firmie windykacyjnej. Jeśli jego długiem zajmuje się firma Kruk, to do rozmowy staje voicebot e-Milia działający w systemie NLP, czyli natural language processing. Firma zapewnia, że e-Milia dobrze rozumie, co się do niej mówi, i ma przygotowanych kilkaset wariantów odpowiedzi.

W windykacyjnej firmie Ultimo telefonicznymi sprawami zajmuje się Ula, a Czarek jest chatbotem. Na zapleczu pracuje też Henio, robot biurowy pomagający w prostych, powtarzalnych procesach związanych z obsługą wyciągów bankowych czy potwierdzeń. Największą dumą firmy jest jednak Horacy, system sztucznej inteligencji umiejący identyfikować dane z pism prawnych przychodzących do firmy i na ich podstawie automatycznie podejmować działania, bez udziału pracownika. Horacy jest zaawansowaną sztuczną inteligencją systemu uczenia maszynowego, dzięki czemu nieustannie rozszerza swoją wiedzę i skuteczność – zapewnia Ultimo.

PKO BP chwali się, że jego klienci przegadali już z voicebotami w sumie ponad 273 tys. godzin (czyli ponad 31 lat). Bank zatrudnia 17 botów konwersacyjnych wykorzystujących sztuczną inteligencję.

Najstarszy z nich pracuje już trzy lata. Służą one m.in. do odbierania zgłoszeń na infolinię banku, przypominania klientom o spłacie zaległości, prowadzenia ankiet, badań konsumenckich oraz ochrony finansów. Bankowcy przekonują, że klienci są zadowoleni, zwłaszcza z robota, który pyta, z jaką sprawą klient dzwoni, by przekierować połączenie. Robot jest nieźle wytrenowany, więc radzi sobie ze 120 typami różnych spraw, a 280 rozumie. Ponoć nawet jeśli usłyszy: „pchnij stówkę do Janka”, to pchnie, oczywiście wcześniej upewniwszy się, że wydający polecenie jest właścicielem konta i nie przekroczył debetu, a Janek jest zdefiniowanym odbiorcą.

Revolucja SI

Większość banków detalicznych uzupełnia swoje centra obsługi klientów voicebotami i chatbotami, co pozwala na ograniczenie zatrudnienia konsultantów. Dla ludzi to praca żmudna, męcząca, zmianowa, a maszyna pracuje całodobowo przez okrągły tydzień, nie narzekając i nie żądając podwyżki. Firmy, które wykorzystują systemy sztucznej inteligencji, lubią się tym też chwalić. Zwłaszcza ostatnio, gdy pojawienie się słynnego microsoftowskiego ChatGPT przykuło uwagę świata i wywołało dyskusję, czy mamy się cieszyć czy też bać o naszą przyszłość, kiedy ostatecznie zapanuje sztuczna inteligencja.

Dyrektor Krzysztof Krzos z firmy informatycznej Softax z dystansem podchodzi do tego entuzjazmu. – *Za voicebotami i chatbotami nie kryją się jakieś niezwykle rozwiązania technologiczne. To popularne i stosunkowo proste systemy o ograniczonej funkcjonalności. Banki je wprowadzają bardziej z powodów wizerunkowych niż z ekonomicznej potrzeby* – przekonuje. Softax w 2014 r. stworzył LogoBank, zaawansowany system bankowości elektronicznej wspierający klientów nie tylko w wykonywaniu operacji bankowych, ale też analizujący ich sytuację finansową i przewidujący przyszłe wydarzenia. Do wdrożenia nie doszło, bo bankowcy byli bardzo ostrożni wobec nowej technologii.

– *Wśród powodów wskazywano na ryzyko naruszenia obowiązujących regulacji. Prawo nie nadąża za zmianami technologicznymi, dlatego poważne rozwiązania sztucznej inteligencji, np. wykorzystujące duże modele językowe, takie jak ChatGPT, będą wchodziły do banków powoli* – przewiduje Krzos.

Revolucja sztucznej inteligencji zaczęła się w Europie w połowie minionej dekady. Do Polski dotarła jeszcze przed pandemią, a covid dodatkowo ją przyspieszył. – *Systemy automatyzacji wspierane przez sztuczną inteligencję są coraz szerzej stosowane w Polsce do obsługi klientów i procesów biznesowych. Przykładowo PKO Leasing wykorzystuje roboty, które wykonują pracę 70 osób. Skandynawska Nordea, grupa finansowa, która w Polsce ma swoje biura usług wspólnych, zatrudnia roboty zastępujące 300 ludzi. Max z Orange może prowadzić jednocześnie 200 rozmów telefonicznych i 50 czatów, więc zastępuje kilkuset konsultantów. To nie oznacza, że tyle osób zwolniono, raczej nie zatrudniano nowych* – wyjaśnia dr hab. Andrzej Sobczak, profesor SGH, ekspert w dziedzinie robonomiki (obszarze badań naukowców zajmujących się technologiami automatyzacji i robotyzacji z perspektywy ich wpływu na przedsiębiorstwa).

– *Z czasem jednak roboty zmuszą część pracowników do przekwalifikowania. Sztuczna inteligencja będzie nie tylko zabierać pracę, ale tworzyć nowe specjalności wymagające pracy człowieka. Na przykład inżynierów podpowiedzi (prompt engineering), czyli ludzi, którzy potrafią umiejętnie wydawać polecenia systemom sztucznej inteligencji* – twierdzi prof. Sobczak. Problemem sztucznej inteligencji działającej w dużych modelach ►



► językowych (LLM), takich jak ChatGPT, są tzw. halucynacje, inaczej mówiąc konfabulacje maszyny, która jeśli czegoś nie wie, to zmyśli. Odpowiednio sformułowany prompt może temu zapobiec.

Leczy i rekrutuje

Sztuczna inteligencja wspiera dziś nie tylko pracowników biurowych, ale angażowana jest także do bardziej odpowiedzialnych zadań. Na świecie dopuszczonych do użytkowania jest już 450 algorytmów wspierających m.in. lekarzy radiologów, onkologów czy okulistów. Pojawiają się one także w Polsce. Na przykład w szpitalu św. Wojciecha w Gdańsku, gdzie sztuczna inteligencja wykorzystująca uczenie maszynowe wspomaga diagnostykę guzów nerek. Na podstawie tomografii komputerowej szacuje, czy guz jest łagodny czy złośliwy – wyjaśniała Ligia Kornowska, liderka Koalicji AI w Zdrowiu, w rozmowie z portalem Rynek Zdrowia.

Sztuczna inteligencja wiele spraw rozwiązuje, ale jednocześnie dostarcza równie wielu problemów, które wymagają rozstrzygnięć – ekonomicznych, społecznych, organizacyjnych, prawnych. Te ciągle muszą być rozwiązywane przez ludzi. Na razie.



Sztuczna inteligencja pracuje też przy rekrutowaniu nowych pracowników. – *Pomaga w automatyzacji niektórych zadań i usprawnieniu procesów rekrutacyjnych. Wprowadzono już wiele nowych rozwiązań, takich jak AVI (Automated Video Interview), czyli wstępne wywiady w formie wideo przeprowadzane przez sztuczną inteligencję z potencjalnymi kandydatami, które następnie są analizowane przez menedżerów zatrudniających. Rozmowy prowadzone przez sztuczną inteligencję wykorzystują zebrane dane do automatycznego generowania prognozy, czy profil kandydata jest zgodny z oczekiwanym* – wyjaśnia Kamil Jankowski, dyrektor marketingu i komunikacji Gi Group Holding.

– *Sztuczna inteligencja nie jest w stanie podjąć samodzielnej decyzji, nawet jeżeli przedstawimy jej wartościowe dane, czy dana osoba sprawdzi się na danym stanowisku. Może pomóc, skracając czas na podjęcie decyzji przez człowieka* – zastrzega Jakub Stępień, menedżer w Grafton Recruitment.

Czekanie na regulację

Aleksander Lesz, pionier informatyzacji polskiego sektora bankowego, a dziś inwestor w branży technologicznej, z uwagą śledzi postępy sztucznej inteligencji w gospodarce. – *Systemy SI okazują się bardzo użyteczne np. w procesie udzielania kredytu. Oceniają profil klienta, sprawdzają jego wiarygodność kredytową, szacują ryzyko i dają rekomendację, z której korzysta pracownik banku podejmujący decyzję. Nie można jednak dać sztucznej inteligencji większej władzy bez określenia precyzyjnych reguł, w jakich się będzie poruszać. Klient nie może*

być zdany na to, że o jego losie zadecyduje maszyna, a on nie będzie nawet wiedział, jakimi kryteriami się kierowała, podejmując taką a nie inną decyzję. Dostrzegli to już Włosi, którzy zablokowali możliwość wykorzystania ChatGPT – przekonuje Aleksander Lesz.

Także inni eksperci zwracają uwagę, że rozwój technologii zaskoczył prawodawców. Wydarzenia nabrały tempa wraz z pojawieniem się ChatGPT i innych podobnych rozwiązań wykorzystujących sieci neuronowe i duże modele językowe. Microsoft zamierza zarabiać na ChatGPT, umożliwiając innym firmom tworzenie na jego bazie własnego specjalistycznego oprogramowania sztucznej inteligencji. To może stworzyć nowe narzędzia hiperautomatyzacji, ale i nowe wyzwania. Brakuje regulacji dotyczących zasad wykorzystania sztucznej inteligencji. Trwają dopiero prace nad unijną ustawą „EU AI Act” mającą zapewnić konsumentom transparentną informację, że wchodzi w interakcję z maszyną, a nie człowiekiem. Bruksela jak zwykle deklaruje, że Europa stanie się liderem w dziedzinie sztucznej inteligencji, choć na razie jest mocno spóźniona.

Problem jest zasadniczy: jeśli wielu z nas nie jest gotowych rozmawiać z SI, to czy możemy jej powierzać poważniejsze sprawy? Bo jeśli sztuczna inteligencja nawali, to kto będzie odpowiadał? Jej twórca czy właściciel? Programista czy ten, który sztuczną inteligencję wytrenował? Ten problem pojawił się już w Polsce, bo odpowiedzialnością sztucznej inteligencji zainteresował się prezes UOKiK.

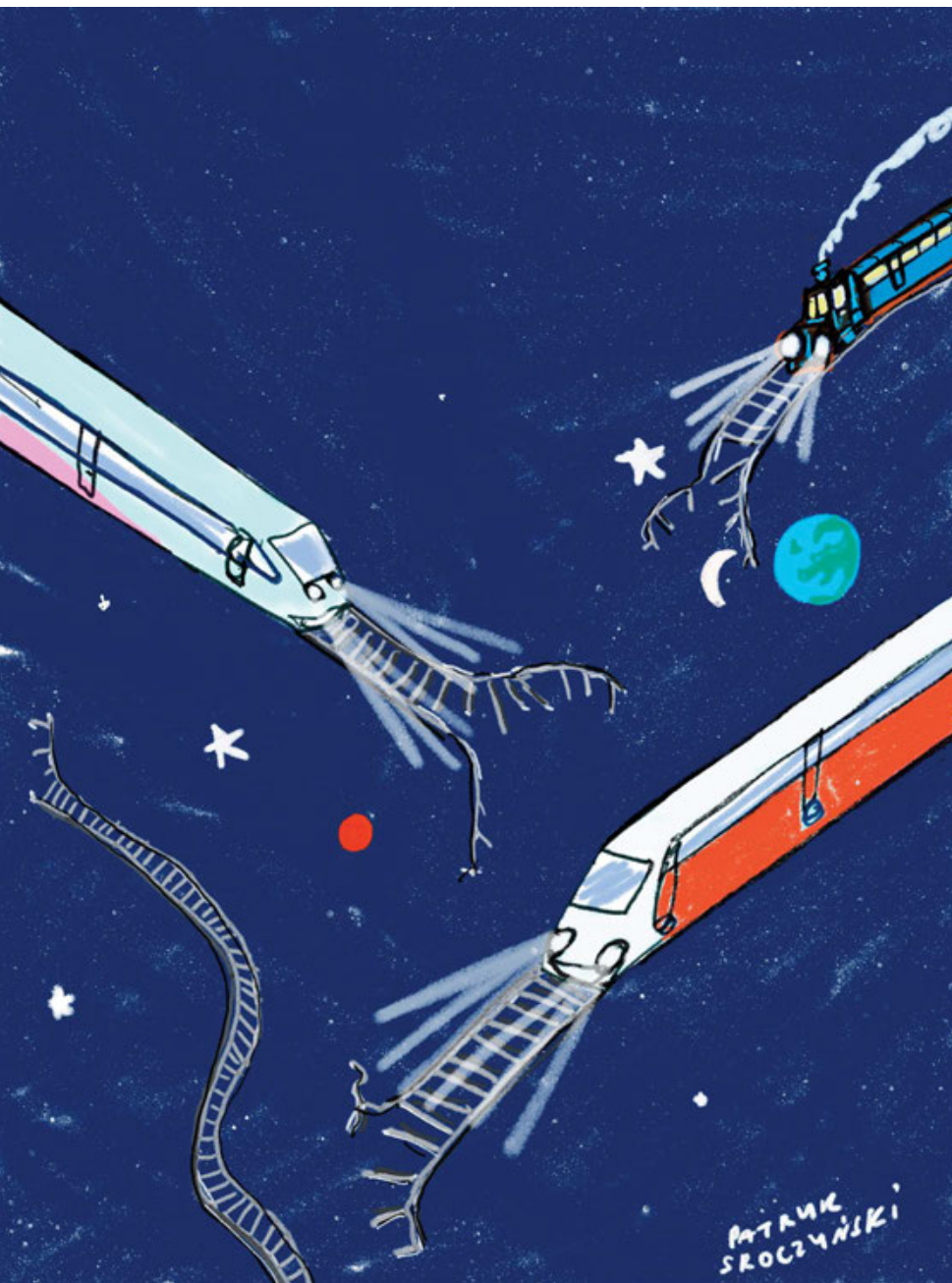
W niektórych firmach roboty zajmują się reklamacjami i pojawił się problem, bo klienci otrzymywali niejasne odpowiedzi. „Z tego powodu ich sprawy nie są załatwiane w należyty sposób. Chatbot np. zapewnia, że klient odzyska pieniądze, a okazuje się to nieprawdą. Konsumenti skarżą się również na problemy z przełączeniem ich do odpowiednich, kompetentnych żywych osób. Częstym mankamentem w firmach jest również brak archiwizacji odpowiedzi udzielanych klientom, co generuje dodatkowy chaos” – mówiła w Sejmie Katarzyna Arczewska, wicedyrektor departamentu ochrony zbiorowych interesów konsumentów w UOKiK.

Urząd przygląda się, jak sztuczna inteligencja wykorzystuje w bankach metody analizy biometrii behawioralnej. To zaawansowane systemy rozpoznawania użytkownika na podstawie jego charakterystycznych zachowań oraz potwierdzania tożsamości za pomocą unikalnych cech fizycznych (np. tęczyówki oka). Na celowniku UOKiK znalazły się też firmy taksówkarskie, w których algorytmy dynamicznie ustalają ceny w zależności od chwilowego popytu na przewozy.

Problemem są nie tylko zagrożone prawa konsumenckie, ale też dane osobowe, prawa autorskie, tajemnice firmowe. ChatGPT okazał się niezwykle sprawnym programistą, ale większość dużych firm, także w Polsce, zabroniła już wykorzystywania tego narzędzia w obawie, że w procesie uczenia maszynowego system będzie poznawał firmowe tajemnice i nie wiadomo, jak je wykorzystają. Istnieje też obawa, że sam w swojej pracy sięgnie po cudze chronione rozwiązania, na których wcześniej go szkolono, i tak dojdzie do plagiatu.

Sztuczna inteligencja wiele spraw rozwiązuje, ale jednocześnie dostarcza równie wielu problemów, które wymagają rozstrzygnięć – ekonomicznych, społecznych, organizacyjnych, prawnych. Te muszą być rozwiązane przez ludzi, którzy często nie bardzo rozumieją, z czym mają do czynienia ani jak do tego podejść. Może sztuczna inteligencja im coś odpowie?

ADAM GRZESZAK



Liche szprychy

MARCIN PIĄTEK

Budowę kolei dużych prędkości przejęła niedawno spółka CPK – ta sama, która jest odpowiedzialna za powstanie megalotniska w Baranowie. Planuje inwestycje kolejowe z rozmachem, bez względu na koszty. Byle uzasadnić swoje istnienie.

Na internetowej stronie Centralnego Portu Komunikacyjnego przesuwają się slajdy obrazujące jakościowy skok inwestycji w kolej pasażerską. Wynika z nich, że w 2027 r. szybka kolej pojedzie z Warszawy do Łodzi, w 2028 r. zostanie przedłużona do Wrocławia, a dwa lata później – do Poznania. Do 2035 r. nowe superszybkie połączenia uszczęśliwią m.in. mieszkańców Ostrołęki, Giżycka, Płocka, Grudziądza, Włocławka, Nowego Sącza, Tarnowa. Łącznie niemal 2 tys. km nowych linii. Piotr Malepszak, były pełnomocnik prezesa spółki CPK: – *Jeśli dziś ktokolwiek zapewnia, że do 2027 r. powstanie pod Warszawą megalotnisko lub zostanie ukończone jakieś kolejowe połączenie międzymiastowe, to cynicznie kłamie albo nie ma pojęcia, o czym mówi.*

Inwestycyjna propaganda, w której pierwsze skrzypce gra Marcin Horała, rządowy pełnomocnik do spraw budowy lotniska i kolejowych „szprych” do niego prowadzących, trzyma się jednak mocno. Spółka seriami wypuszcza komunikaty, które mają tworzyć wrażenie, że jest na najlepszej drodze do zbudowania wreszcie w Polsce kolei na miarę XXI w. Ostatnio informowała, że dla nowej odsłony Pasażerskiego Modelu Transportowego (PMT) opracowała właśnie – oczywiście w standardzie Kolei Dużych Prędkości (KDP) – Horyzontalny Rozkład Jazdy (HRJ). Ilustruje go mapą połączeń wertykalnych z węzła pod megalotniskiem na północ i na południe.

Chcąc zbudować HRJ w systemie KDP na potrzeby PMT, spółka matka Horały od – też państwowego – Towarzystwa Finansowego Silesia przejęła właśnie większość pakietu spółki Torpol zajmującej się budową kolejowej infrastruktury. Przy okazji ogłosiła przetarg na budowę czterokilometrowego tunelu pod Łodzią.

W branży mówi się, że przejście odpowiedzialności za budowę infrastruktury przez CPK to wotum nieufności dla zajmującego się tym dotychczas państwowego molocha PKP Polskie Linie Kolejowe, który nie ma wielkich osiągnięć, jeśli chodzi o przygotowanie i przebieg inwestycji. Wiele z nich notuje olbrzymie opóźnienia, a realizacja systemu cyfrowej łączności utknęła w martwym punkcie i wszystko wskazuje na to, że opiewający na 3 mld zł kontrakt lada moment może zostać zerwany. – *PLK miewa też problemy z uzyskaniem finansowania dla już rozstrzygniętych przetargów. Tymczasem CPK to nietykalny projekt, bez limitu wydatków. A trzeba pamiętać, że system tzw. szprych, czyli kolejowych ►*

ILUSTRACJA PATRYK SROCZYŃSKI

► *Łączników prowadzących z całego kraju do węzła CPK, jest wielokrotnie droższy niż koszt samego lotniska, aktualnie szacowany już przez samego ministra Horałę na ok. 40 mld zł – mówi Tomasz Wardak, autor krytycznej wobec idei CPK książki „Piasta i szprychy”. – CPK stara się robić wrażenie sprawnej i dynamicznej, więc spieszy się z ogłaszaniem kolejnych etapów inwestycji, uruchamiania przetargi o wątpliwej zasadności. A rynek o tym wie i dlatego wykonawcy windują ceny do poziomu nawet trzykrotnie wyższego, niż zakładają kosztorysy. To gigantyczne marnotrawstwo publicznych pieniędzy – dodaje Malepszak.*

Na miarę możliwości

Koncepcja budowy kolei dużych prędkości w Polsce, symbolizująca cywilizacyjny skok w dziedzinie transportu pasażerskiego, narodziła się w gabinetach polityków mniej więcej przed dwiema dekadami. W 2008 r. została podjęta nawet stosowna uchwała Rady Ministrów, która miała nas do wykonania owego skoku przybliżyć. Okazało się jednak, że to tylko pobożne życzenie. – *Zaledwie 36 proc. infrastruktury znajdowało się wówczas w stanie dobrym. Pozostała część wymagała pilnej modernizacji oraz remontów. I tym należało się najpierw zająć – mówi dyrektor Instytutu Kolejnictwa Andrzej Massel.*

Gdy stan torów, rozjazdów, systemu zasilania oraz sterowania ruchem uległ wreszcie poprawie, przyszedł czas na próbę ognia. W gabinecie dyrektora Massela znajduje się nawet pamiątkowe zdjęcie zrobione z okazji rekordu prędkości osiągniętego na polskich torach: 293 km/h. Było to w listopadzie 2013 r., podczas testów jednego z zakupionych właśnie składów pendolino na Centralnej Magistrali Kolejowej, która zresztą powstała w epoce Gierka. – *I trzeba przyznać, że ówczesni inżynierowie wykazali się wielką wyobraźnią, bo zaprojektowali linię o bardzo łagodnych łukach, z myślą o ewentualnym przebiegu tamtędy w przyszłości szybkiej kolei – dodaje Andrzej Massel. Imponujący rekord prędkości to jednak ciągle tylko ciekawostka. 20 składów pendolino operujących dziś na polskich torach może rozwijać prędkość co najwyżej 250 km/h. I to też raczej teoria; w rzeczywistości jeżdżą nie szybciej niż 200 km/h, na wybranych odcinkach tras z Warszawy do Trójmiasta oraz po Centralnej Magistrali Kolejowej.*

Jest to prędkość na miarę naszych możliwości. W porównaniu ze standardami obowiązującymi w Europie – gdzie normą jest poruszanie się najszybszych składów z prędkością 300 km/h – co najwyżej

średnia. A to dlatego, że na razie w Polsce nie powstał ani jeden kilometr linii budowanej wyłącznie dla superszybkiej kolei. – *Czyli z bezkolizyjnymi skrzyżowaniami, odpowiednią konstrukcją torów, rozjazdów i sieci trakcyjnej, wyłączeniem transportu towarowego. Konieczne jest także wyposażenie linii w system bezpiecznej kontroli jazdy ETCS oraz ciągłej cyfrowej łączności GSM-R transmitującej dane między pociągami a centrum sterowania – dodaje dyrektor Massel.*

Z istniejących linii nie da się już wcisnąć wiele więcej, jeśli chodzi o skrócenie czasu przejazdu. Nawet ukończenie ślimaczących się od lat remontów (np. na trasie Warszawa–Poznań) zredukuje podróże w najlepszym razie do 2 godz. 20 min, co jak na odległość niespełna 300 km nie jest imponującym wynikiem. Dalej transport pasażerski będzie musiał na tej trasie koegzystować z towarowym. Poza tym z obecnie obowiązujących przepisów słusznie wynika, że jeśli po drodze występują skrzyżowania ze szlabanami (a na trasie ze stolicy do Poznania roi się od nich), prędkość trzeba redukować.

Wskreszenie „igreką”

Z myślą o szybkich pociągach trzeba więc budować nowe linie. Od podstaw. Skok w tę nowoczesność od lat sprowadza się na polskiej kolei przede wszystkim do litery Y. Mianem owego „igreką” określaną jest sieć połączeń Warszawa–Łódź–Poznań–Wrocław. Na mapie jest to „igrek” leżący (jego noga wychodzi z Warszawy i rozgałęzia się, według najnowszej koncepcji, w Sieradzu na ramiona prowadzące do Poznania i do Wrocławia). „Igrek” jako projekt leży zresztą już od dobrych kilkunastu lat, ale teraz za jego wskreszenie ma odpowiadać funkcjonująca na specjalnych prawach spółka CPK.

Na pierwszy ogień pójdzie budowa linii Warszawa–Łódź–Wrocław. To trudno kwestionować, bo dziś, podróżując koleją ze stolicy do Wrocławia, trzeba zarezerwować mniej więcej cztery godziny, gdyż jedzie się okrężną drogą, z przystankami na trasie. A że spółka CPK stara się za wszelką cenę udowodnić swoją przydatność, zawłaszczyła właśnie prawo budowy linii, której sensowności nie sposób podważyć. – *Prognozy mówią, że czas przejazdu między Warszawą a Wrocławiem skróciłby się do niespełna dwóch godzin. Podczas gdy samochodem, mimo dostępności autostrady i drogi ekspresowej, trwa niemal dwa razy dłużej – podkreśla Andrzej Massel.*

Zdaniem Piotra Malepszaka o to właśnie chodzi: infrastruktura, która pochłonie miliardy, musi dawać spektakularny

efekt dla pasażerów i przewoźników. Problem w tym, że w przypadku pozostale części „igreką” takiego efektu nie widać. – *Zysk czasowy, jeśli chodzi o połączenie Warszawa–Poznań, wyniesie co najwyżej kwadrans w stosunku do istniejącej trasy przez Kutno. To według mnie za mało, żeby pompować miliardy w ten projekt. Trzeba bowiem wziąć pod uwagę kalkulacje pasażerów: czy te zaoszczędzone 15 min jest warte dużo wyższej ceny biletu. A także rachunek przewoźników, na który złoży się droższy pociąg, wyższy koszt dostępu do dłuższej trasy, w tym również zużycia energii – dodaje Malepszak.*

Spółka CPK zleca wprawdzie analizy prognoz ruchu, ale się nimi nie chwali. – *W standardzie dużych prędkości ma powstać m.in. połączenie Ostrołęka–Łomża [odległość wynosi 40 km – red.]. Według założeń wykonanych na potrzeby planowanej trasy Ostrołęka–Giżycko ma się tam przemieszczać ok. 2 tys. osób dziennie. Do ich obsługi wystarczy modernizacja istniejącej linii i usprawnienie transportu autobusowego – uważa Malepszak. Tomasz Wardak: – Zupełnie bez sensu jest budowa od podstaw trasy KDP Tarnów–Nowy Sącz, podczas gdy PLK już rozpoczęła prace nad modernizacją i przebudową biegnącej nieopodal linii Podłęże–Piekielko [połączy Kraków z Nowym Sączem, termin jej zakończenia o jakiś czas się wydłuży – red.]. Takich absurdalnych z ekonomicznego punktu widzenia linii jest w założeniach CPK więcej.*

Andrzej Massel rozwija mapę połączeń, które mają być budowane w ramach tzw. komponentu kolejowego CPK. – *Są tu linie konieczne, pożądane i takie, z realizacją których można poczekać. Wydaje się, że komunikacja kolejowa w Polsce nie powinna się opierać na założeniu, że jest jeden centralny węzeł, planowany w pobliżu lotniska, do którego mają prowadzić wszystkie drogi. Warto pamiętać, że w innych częściach kraju są intensywnie eksploatowane korytarze kolejowe, które trzeba modernizować oraz rozwijać, w tym ważne odcinki transgraniczne, jak połączenie Katowic z Ostrawą czy – zwłaszcza w obecnej rzeczywistości – Lublina ze Lwowem. One co prawda zostały włączone do kolejowego komponentu CPK, ale otwarte pozostaje pytanie o kolejność prac – dodaje.*

Absurdalny węzeł

Aura unosząca się nad wszystkimi działaniami CPK nie sprzyja dyskusji o racjonalizacji projektów. Tomasz Wardak uważa jednak, że jest ona nieunikniona, bo przebieg niektórych tras budzi olbrzymie protesty lokalnej społeczności przerażonej



Wizualizacje CPK: lotnisko i dworzec kolejowy. Prawda, że piękne?

perspektywą wywłaszczeń, a poza tym po prostu nie będzie z czego sfinansować inwestycji w skali, jaką planuje CPK. – *Już sam węzeł pod lotniskiem jest absurdalnie wielki i wymaga przeprojektowania. Prognozami ruchu nikt sobie w spółce nie zauraca głowy, a przebieg wielu linii został ustalony zgodnie z zapotrzebowaniem politycznym. W nieoficjalnych rozmowach ludzie związani z projektem CPK przyznają, że niektóre trasy to idiotyzm, ale do wyborów są nie do ruszenia. Posłowie chcą się bowiem chwalić przed swoim elektoratem: budujemy wam szybką kolejkę.*

Zawłaszczenie przez CPK tworzenia w Polsce sieci szybkiej kolei oznacza wejście na kurs kolizyjny ze zmarginalizowaną nagle PKP PLK, a przecież oba podmioty są skazane na współdziałanie – w końcu nowo planowane linie mają się łączyć z istniejącymi, ale modernizowanymi, za co wciąż odpowiada PLK. Tomasz Wardak mówi, że w PLK obawiają się, że teraz wszystkie siły i środki pójdą na realizowanie świątecznych z punktu widzenia obecnej władzy inwestycji w ramach CPK, a inne będą traktowane po macoszemu. – *Poza tym oba podmioty będą rywalizować o tę samą pulę pieniędzy unijnych. A Komisja Europejska coraz baczniej przygląda się sensowności wsparcia konkretnych projektów* – dodaje Piotr Malepszak, który jest dziś ekspertem KE w zakresie oceny wniosków o dofinansowanie projektów kolejowych (jako Polak nie ocenia polskich aplikacji).

Sito robi się coraz gęstsze. O czym zresztą przekonali się niedawno w PLK. Spółce odmówiono dofinansowania modernizacji kolejowej obwodnicy Poznania oraz linii z Czechowic-Dziedzic do przejścia granicznego z Czechami w Zebrzydowicach. – *A CPK odrzucono wniosek na wsparcie finansowe dokumentacji projektowych dotyczących również „igrekę”. Ekspertci stwierdzili, że nie ma żadnych szans, by prace budowlane zostały wykonane*



do 2027 r., kiedy kończy się bieżąca perspektywa finansowa – dodaje Malepszak.

Paraliż

Zamrożonymi od wielu miesięcy środkami z Krajowego Planu Odbudowy władza się nie przejmuje, opierając finansowanie na proteżach gwarantowanych przez Polski Fundusz Rozwoju – właśnie przekazano stamtąd 4 mld zł na modernizację części linii Podłężę–Piekiełko. W branży głośno o tym, że niektóre projekty są opóźnione – również z powodu niekompetencji albo niezrozumiałej obstrukcji zamawiającego, czyli PLK – i lada moment mogą zostać zweryfikowane przez unijnych ekspertów. Jeśli uznają, że nie było podstaw do przedłużenia terminów realizacji, środki trzeba będzie zwrócić.

To widmo dotyczy m.in. projektu stworzenia sieci cyfrowej łączności GSM-R. Miała być gotowa w maju, ale prace zostały sparaliżowane. Przed Prokuraturę Generalną trafił spór między PLK a konsorcjum wykonawczym pod wodzą Nokii. Gra idzie o 6 mld zł (PLK domaga się 3 mld odszkodowania za niezrealizowanie

prac, a konsorcjum – 3 mld za dodatkowe niezawinione koszty „dowiezienia” inwestycji do końca, co w najlepszym razie potrwa 4 lata). Co to ma wspólnego z budową w Polsce kolei dużych prędkości? Otóż, aby ona działała, linie muszą być wyposażone w system cyfrowej łączności. – *A jedyną firmą, która póki co ma odpowiedni potencjał i know-how, jest właśnie Nokia. Są jeszcze firmy chińskie, ale one nie wchodzi w grę ze względów bezpieczeństwa* – mówi osoba zorientowana w realiach rynkowych.

Wygląda na to, że fiński koncern może być niezbędny CPK do budowy kolei dużych prędkości. O ile po obecnych doświadczeniach z PLK zechce w ogóle z kolejnym państwowym podmiotem współpracować. Chyba że pod egidą CPK powstanie kolej dużych prędkości, która takiej łączności nie wymaga, bo będzie się poruszała prędkością średnią. I na jej potrzeby będzie można patriotycznie zamówić składy u polskich producentów. Technologia budowy pociągów jeżdżących powyżej 160 km/h jest dla nich wciąż nieosiągalna.

MARCIN PIĄTEK

Rosyjskie strachy

Wojna dotarła do Rosjan. Widzą pogrzeby, płonące składy paliwa i lasy, wysadzanych w powietrze rzeczników agresji. Panicznie boją się ukraińskiej kontrofensywy. Czy się zbuntują?



T *anki idu!* (Idą czołgi!). Obwodnicą Charkowa w kierunku granicy z Rosją – bił na alarm jeden z czołowych rosyjskich korespondentów wojennych Aleksander Koc. W ślad za nim o rozpoczynającej się właśnie ukraińskiej kontrofensywie donosiły inne kanały na Telegramie, głównym komunikatorze w Rosji. „Pod Majorskiem przeciwnik przeszedł do ataku” – potwierdzał WarGonzo, absolutna czołówka komentatorów wojennych. „Nasze siły wycofały się ze swoich pozycji. (...) W rejonie Sołedaru przy wsparciu grup pancernych wróg był w stanie doprowadzić do wyłomu. Sytuacja jest trudna” – raportował Jewgienij Poddubny.

Niewielu oparło się panice. Do nielicznych należał słynny rosyjski turbopatriota Igor Girkin vel Striełkow, sojusznik Jewgienija Prigożyna, szefa wagnerowców, i zażarty krytyk ministra obrony Siergieja Szojgu. Spokój zachował też GreyZone, popularny kanał zbliżony do Grupy Wagnera. „Bez paniki! To jeszcze nie jest to (kontrofensywa)!” – uspokajał.

Rosjanom puszczają jednak nerwy, choć gdy oddawaliśmy ten tekst do druku, twardych dowodów na ukraińską kontrofensywę było niewiele. Strach potęgują dostawy zachodniego sprzętu, które łamią kolejne niepisane „czerwone linie” Moskwy. Aktualnie są nimi pociski o zasięgu do 300 km Storm Shadow, które stronie ukraińskiej przekazała Wielka Brytania.

Jednocześnie trudna do ukrycia jest narastająca atmosfera strachu nawet na szczytach rosyjskiej władzy. Wierchuszka nie może zaprzeczyć, że wojna wlewa się w głąb Rosji. Codziennym widokiem stały się ataki na bazy wojskowe, infrastrukturę krytyczną oraz obiekty administracyjne. Tylko w ostatnich dniach spłonęły magazyny paliwowe w Sewastopolu, w Tamaniu w pobliżu mostu Krymskiego, z których korzystała Flota Czarnomorska, baza paliw w Stawropolu, aż dwukrotnie płonęła rafineria illsky w obwodzie krasnodarskim. Regularnie niszczone są tory kolejowe, a pociągi dostarczające paliwo na front wykolejane.

Płonie nie tylko strefa przyfrontowa. 7 maja kłęby dymu spowity moskiewskie osiedle Nowoje Oczakowo w sąsiedztwie Akademii FSB. Agencja TASS starała się uspokajać spekulacje, tłumacząc: „Pała się śmieci. (...) Prawdopodobnie materiały budowlane”. Media społecznościowe sugerowały jednak spiskowe scenariusze.

Na wyobraźnię Rosjan wpływają też doniesienia o setkach pożarów, które trawią lasy. Wydaje się, że Rosja dosłownie płonie, gdyż w ponad połowie kraju ogłoszono stan zagrożenia pożarowego. Nawet jeśli władze tłumaczą, że kolejne pożary nie wybuchają w wyniku celowego podłożenia ognia, łatwo nabrać podejrzenia, jeśli od miesięcy rosyjskie służby doszukują się wszędzie „proukraińskich dywersantów”.

Parada jednego czołgu

W taki sam sposób Kreml tłumaczył się, gdy w kopułę Pałacu Senackiego, czyli kremlowską rezydencję Władimira Putina, na kilka dni przed paradą zwycięstwa uderzyły dwa drony. Władze milczały przez kilkanaście godzin, po czym Dmitrij Pieskow, rzecznik prasowy prezydenta, stwierdził: „To atak terrorystyczny na prezydenta Putina (...), a stoi za tym kijowski reżim”.

Choć nie ma dowodów na to, kto stał za tym incydentem, wiadomo, że z podgrzania atmosfery strachu skorzystał reżim

Putina. Nieszkodliwy atak dronów w czasie, kiedy prezydenta nie mogło być na terenie kompleksu kremlowskiego, pozwolił władzom uzasadnić względami bezpieczeństwa zredukowanie do minimum obchodów na placu Czerwonym 9 maja.

Już dwa tygodnie wcześniej ten plac zamknięto. Odwołano masowe uroczystości, w tym marsz tzw. Nieśmiertelnego Pułku, czyli tysięcy rodzin weteranów i poległych żołnierzy Armii Czerwonej, którzy zwyczajowo 9 maja maszerowali z fotografiami poległych bliskich. Oficjalnie to organizatorzy nie zgłosili marszu do programu Dnia Zwycięstwa, wiadomo jednak, że władze obawiały się incydentów. Obchody 9 maja odwołano także w ponad 20 miastach, nawet na Dalekim Wschodzie. W pozostałych program znacznie ograniczono.

Najsilniej rzucało się to w oczy w stolicy, gdzie całość uroczystości z udziałem Putina zamknęła się w godzinie. A parada wojskowa, która zwyczajowo jest demonstracją potęgi drugiej armii świata, zredukowała się do pokazu jednego czołgu z czasów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej i młodzików za sterami wozów bojowych. Putin wciśnięty był na trybunach pomiędzy „weteranów NKWD”, którzy udawali żołnierzy Armii Czerwonej. Prezydent nie promieniował energią ani nie sprawiał wrażenia przekonanego o zbliżającym się zwycięstwie Rosji.

W wystąpieniu, także niezwykle krótkim, wprost oświadczył: „Przyszłość naszego państwa i narodu zależy od was (żołnierzy na froncie)”. Jeśli głowa państwa wojującego mówi coś takiego, to prawdopodobnie nie jest dobrze. A przeciętny Rosjanin słyszy: mobilizacja, śmierć na froncie lub w najlepszym razie kalectwo do końca życia. Takie obawy widać coraz wyraźniej w sondażach. Potwierdza to Lew Gudkow, naukowy dyrektor Centrum Lewady – według niego rośnie strach przed porażką i rozmywa się przekonanie o zwycięstwie Rosji.

Niepokój i przerażenie

Najbardziej wystraszeni są mężczyźni w wieku od 20 do 50 lat, a więc ci, którzy mogą jeszcze trafić na front. W sondażu Lewady z 3 maja 56 proc. badanych uważa, że druga fala częściowej mobilizacji może zostać ogłoszona w ciągu najbliższych trzech miesięcy. A uniknięcie wezwania do armii stało się jeszcze trudniejsze po dekrete Putina wprowadzającym elektroniczny rejestr potencjalnych szeregowych. Teraz już niepotrzebny jest nawet osobisty odbiór wezwania – po tygodniu od wystawienia uznaje się je za dostarczone.

U pytanych przez Lewadę dominowały takie uczucia, jak „niepokój, strach, przerażenie” (18 proc.), „duma z Rosji” (13 proc.), a także „gniew, oburzenie” i „szok” (po 11 proc.). Niepokój i szok przeważają wśród najmłodszych (18–24 lata). Z kwietniowego sondażu dotyczącego oceny sytuacji w Ukrainie wynika, że niepokoi ona 84 proc. respondentów. Połowa jest bardzo zaniepokojona. W szczególności Rosjanie boją się śmierci cywilów, niszczenia miast, przelewu krwi i cierpienia; „samej operacji specjalnej” i wojny jako takiej.

Z żadnych badań nie wynika też, że Rosjanie są w stanie przeciwstawić się wojnie. Według Gudkova to wielopoziomowy strach przed represyjnym państwem – instynkt wpajany w serca i umysły od czasów stalinowskich. Silnie wgrzyziony w mentalność i słabo zracjonalizowany. ▶

► Nowe pokolenie już trzecią dekadę wzrasta w tej samej sowieckiej de facto tradycji państwa przemocowego. Są socjalizowani do poddaństwa i bierności od przedszkola, przez system edukacji i kontakt z instytucjami bezpieczeństwa, aż po skrajnie agresywną propagandę państwową. Przeciwwstawienie się byłoby więc równoznaczne z wyrzuceniem poza nawias społeczny.

Jeśli Rosjanie protestują, to po cichu i w ukryciu. Znamienna stała się historia Iriny Tsynaniewej z Sankt Petersburga. 60-latką stanęła przed sądem po tym, jak zostawiła na grobie rodziców Putina na cmentarzu Serafimowskim następującą notatkę: „Rodzice maniaka, zabierzcie go do siebie. Spowodował on tak wiele bólu i kłopotów. Cały świat błaga o jego śmierć. Śmierć Putinowi. Wychowałeś dziwaka i mordercę”. Karteczkę odnalazł cmentarny strażnik i zgłosił sprawę służbom bezpieczeństwa. Kobieta została oskarżona o zbezczeszczenie miejsca pochówku motywowane wrogością ideologiczną. Podczas procesu tłumaczyła się, że w ten sposób próbowała przezwyciężyć strach związany z wojną.

Nie jest więc tak, że Rosjanie nie uzmysławiają sobie dramatu, do jakiego przyczynili się w Ukrainie. Wiedzą również, że im dłużej trwa wojna, tym bardziej rośnie jej koszt. Nie potrafią jednak i nie chcą przeciwstawić się władzy. Nawet jeśli nie podoba im się mobilizacja, fatalne warunki żołnierzy na froncie oraz kłamstwa Kremla, zamiast żądać zaprzestania wojny, krytykują w mediach społecznościowych nieporadność generałów czy organizują zbiórki sprzętu i wyposażenia dla oddziałów w Donbasie.

Tłumaczy to strach symboliczny. Ludzie akceptują pogarszające się warunki wojenne, sięgając do poczucia dumy (z przynależności do wielkiego państwa i narodu) oraz wyższości (Rosja to największe państwo świata, potęga jądrowa i „państwo-cywilizacja”). Jest dla nich oczywiste, że ich ojczyzna może być wyłącznie potęgą. „Jeśli nie jesteśmy wielkim mocarstwem, to kim jesteśmy? – Nikim” – to powszechne przekonanie Rosjan przywoływał w mediach Lew Gudkow.

Polski plan

Kreml świadomie te lęki podgrzewa. Putin straszy także z powodu tego, że Rosjanie zrutynizowali sobie wojnę jeszcze w maju ubiegłego roku. Tymczasem 2023 r. pod każdym względem będzie trudny. Ukraińska kontrofensywa może odebrać zagarnięte terytorium, skompromitować Kreml, a nawet doprowadzić do kryzysu władzy prezydenta Putina.

Ten sięga zatem do silnego straszaka. „Zachód ma jeden cel – rozbić były ZSRR i jego główną część Federację – mówił 26 lutego w wywiadzie dla telewizji Rossija 1. – A potem może przyjmą nas do tak zwanych cywilizowanych narodów. Każdy oddzielnie. Zamiast etnosu rosyjskiego będą na przykład Moskwianie, Uralcy i inni”.

Co swoje mają wziąć nawet Polacy, o czym 9 maja przekonywał Siergiej Markow, były topowy politechnolog kremlowski. Kiedy Komisja Standaryzacji Nazw Geograficznych poza Granicami RP uchwaliła, że zalecana jest wyłącznie polska nazwa „Królewiec” i niezalecane jest stosowanie w języku polskim nazwy „Kalininograd”, dla Markowa zabrzmiało to jak plan.

Na swoim kanale „Logika Markowa” na Telegramie argumentował, że w ten właśnie sposób Warszawa przygotowuje się do klęski Moskwy. „Polska wie, że jeśli Rosja zostanie pokonana, to USA będą próbowały podzielić ją na kilka części”. Według niego Polska obawia się, że cały region – jako dawne Prusy Wschodnie – zostanie przez USA przekazany Niemcom, a to jej historyczny wróg. „Plan maksimum Polski to przejęcie Kaliningradu, a minimum – uzależnienie go i aneksja do Konfederacji Intermarium pod przewodnictwem Polaków i przy współpracy Litwy, Ukrainy, a nawet Białorusi”.

W rzeczywistości Kreml obawia się czegoś innego – porażki, która byłaby tak wielowymiarowa, że doprowadziłaby do chaosu i w najgorszym razie utraty kontroli nad państwem. Krytyka ze strony takich Rosjan, jak Igor Girkin czy wzmoczeni komentatorzy wojenni na Telegramie, nie są jeszcze problemem. Służą oni bowiem za wentyl bezpieczeństwa nastrojów społecznych. Jeśli jednak nerwy puszczają Jewgienijowi Prigożynowi, kiedyś „kucharzowi Putina”, a obecnie szefowi Grupy Wagnera, sprawy mogą wymagać drastycznych rozwiązań.

Prigożyn prowadzi brutalną walkę polityczną z ministrem Szogju. Oskarża go o sabotowanie działań „muzykantów” (to żargonowe określenie wagnerowców) i niedostarczanie niezbędnej amunicji. Niejednokrotnie zwymyślał ministra publicznie, lecz gdy po Paradzie Zwycięstwa na placu Czerwonym nazwał Putina „szczęśliwym dziadkiem”, to komentarz rosyjski zaczął obstawiać, kiedy Prigożyn skończy z przypadkową kulą w głowie, wybuchnie jego samochód czy padnie on ofiarą „ataku terrorystycznego kijowskiego reżimu”. Tak jak związany z nim znany korespondent wojenny i turbopatriota Maksim Fomin vel Właden Tatarski, który zginął w zamachu bombowym w Sankt Petersburgu 2 kwietnia. Amerykański Instytut Studiów nad Wojną trafnie ocenił, że to zabójstwo może być ostrzeżeniem dla szefa wagnerowców za krytykę Kremla.

Podobnych przypadków jest coraz więcej. Dzień przed paradą w Moskwie doszło do zamachu na kolejnego prowojennego komentatora i turbopatriotę Jewgienija Prilepina vel Zochara Prilepina. Wybuchł ładunek podłożony pod samochód, którym podróżował, zginął jego kierowca i ochroniarz, a on sam został ciężko ranny.

W przypadku każdego zamachu rosyjskie władze oskarżają „reżim kijowski”. Ale w rzeczywistości to najprawdopodobniej rozgrywki między politycznymi frakcjami – wojskowych i tzw. partii wojny. Rzmala Szogju, generalicji i służb po jednej stronie i Prigożyna, Ramzana Kadyrowa i ich turbopatriotów po drugiej. Szef wagnerowców ewidentnie chce zrzucić odpowiedzialność za niezdobycie Bachmutu, choć sam obiecał to Putinowi.

Krymska katastrofa

Porażka w Bachmucie, potem ewentualna utrata pasa lądowego łączącego kontrolowany przez Rosję Donbas z Krymem, a w perspektywie może nawet Krymu – to czarna wizja klęski rosyjskiej armii. Utrata Krymu oznaczałaby polityczną katastrofę dla Putina. „Byłaby dla niego punktem końcowym” – nie miał wątpliwości Refat Czubarow, szef Medżlisu Tatarów Krymskich, w programie radia Swoboda 5 marca.

A czas goni. Okno możliwości nie będzie otwarte długo – na froncie uzależnione jest od pogody, w polityce – od zaplanowanych na marzec następnego roku wyborów prezydenckich w Rosji. Zawsze można je sfałszować, lecz Putinowi zależy na przejściu do historii jako „zbieracz ziem ruskich” i przywódca na miarę carów. Tymczasem ryzykuje strategiczną klęską, bo nawet jeśli uratuje się wojną na wyczerpanie, to nie będzie w stanie jej wygrać.

Putin obawia się ceny, jaką zapłaci za utratę Ukrainy, bo ta nie wróci do „russkowo mira”. Za nią mogą pójść kolejne republiki, które coraz mniej chcą być „postsowieckie”, a coraz bardziej „nigdy więcej sowieckie”. Nie do przyjęcia jest takie zredukowanie roli Rosji – byłoby to upokarzające i groźne dla samego Putina. Wówczas mógłby pójść śladem Michaiła Gorbaczowa i – parafrazując jego własną opinię o grabarzu ZSRR – stać się autorem największej katastrofy geopolitycznej XXI w. Dla Rosji, oczywiście.

AGNIESZKA BRYC

Autorka jest adiunktką na Wydziale Nauk o Polityce i Bezpieczeństwie UMK w Toruniu.

Mistrz kierownicy

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Przezywano go Maburro – burro to po hiszpańsku osioł – ale prezydent Wenezueli **Nicolas Maduro** zawsze miał dość sprytu i siły, by odbijać się od dna. Znow to zrobił.



© PAP/PEPA

Dziesięć lat po śmierci ojca rewolucji boliwariańskiej Hugo Chaveza i objęciu rządów przez Nicolasa Maduro Wenezuela to raczej obraz nędzy i rozpacz. Głodowe pensje, drożyzna, podupadła produkcja, ponad 6 mln obywateli szukających szansy poza granicami kraju, wciąż wysoki wskaźnik zabójstw.

Ale można spojrzeć inaczej: Wenezuela odbija się od dna – bo, istotnie, jest lepiej niż 5–6 lat temu. A odbije się jeszcze wyżej, jeśli powiodą się układy z wrogiem, który w języku rewolucji bywa diabłem – czyli Stanami Zjednoczonymi.

Maduro wraca na scenę

60-letni Maduro, na scenie globalnej sojusznik Moskwy i Pekinu, zyskał na politycznej atrakcyjności dzięki inwazji Rosji na Ukrainę. Otóż z powodu zaangażowania po stronie Ukrainy Stany Zjednoczone są zmuszone szukać innych źródeł ropy niż rosyjskie; Wenezuela to oczywisty kierunek. Ale za rządów Baracka Obamy i Donalda Trumpa Waszyngton obłożył Caracas sankcjami, przede wszystkim tamtejszy sektor naftowy. Trump groził nawet interwencją wojskową.

Na razie Joe Biden pozwolił jednemu z amerykańskich gigantów naftowych, Chevronowi, na ograniczoną działalność w Wenezueli. Departament Skarbu wyjaśnia to pragnieniem „ulżenia cierpieniom narodu wenezuelskiego i przywrócenia demokracji”. Zdjęcie kolejnych sankcji prezydent USA uzależnia od spełnienia przez Maduro kilku żądań, m.in. zwolnienia więźniów politycznych i dopuszczenia czołowych oponentów do wyborów (sądy pozbawiły niektórych biernego prawa wyborczego na wiele lat).

Maduro ma swoje żądania. „Tak, chcemy wolnych wyborów – wolnych od sankcji” – odpowiada na żądania Wuja Sama. Domaga się odmrożenia wielomiliardowych aktywów, które Wenezuela trzyma w zagranicznych bankach.

Analitycy podnoszą, że dziś to Bideno wi bardziej niż Maduro zależy na końcu zimnej wojny między obydwojoma krajami. Wenezuela, owszem, potrzebuje zniesienia sankcji i napływu dolarów, bo ledwo dycha. Ale może tak dychać jeszcze długie lata. USA zaś mają cel geostrategiczny: odbić Wenezuelę spod wpływów Rosji; co najmniej rozszczelnąć sojusz ►

► Caracas z Moskwą. I, oczywiście, potrzebują ropy.

W tej globalnej rozgrywce Maduro zyskał nieoczekiwanego sojusznika: Kolumbię, gdzie przez lata rządziła prawica. Nowy prezydent, dawny lewicowy partyzant Gustavo Petro, wyciąga Maduro z izolacji, m.in. pomaga mu w negocjacjach z opozycją. Petro jest demokratą i dystansował się od wenezuelskich władz. Zgadza się z Bidenem co do kolejności działań: najpierw demokratyczne wybory w Wenezueli, potem zniesienie sankcji. Sytuacja wewnętrzna w Wenezueli to też sprawa Petro: 3 z 6 mln emigrantów z tego kraju osiadło właśnie w Kolumbii. Odnowa w ojczyźnie może skłonić niektórych do powrotu. Maduro czuje się więc jak kawaler na wydaniu, który może przebierać i stroić fochy.

Droga Maduro (1)

Przywódcą jest z przypadku. Gdyby nie przedwczesna śmierć Chaveza, zostałby na zawsze tylko wiernym giermkim wodza. Wielki miś z wąsami w czerwonej koszuli budził początkowo zaufanie. Pochodzenie ma robotnicze i wielokulturowe. Ojciec był związkowcem z rodziny sefarydyskich Żydów z karaibskiej wyspy Curaçao (skolonizowanej przez Holendrów). Matka – Kolumbijką i katoliczką.

Nastoletni Maduro grał w rockowej kapeli i wzorem dzieci kwiatów fascynował się mądrościami kultury Indii. Był szalonym motocyklistą, czego pamiątkę nosi na twarzy – bliznę po wypadku. Niewiele brakowało, by został bejsbolistą – to narodowy sport Wenezueli.

Również politykował: za organizowanie uczniowskich protestów wyleciał ze szkoły. Wstąpił do Ligi Socjalistycznej, która zajmowała się agitacją, ale i uprawiała partyzantkę. Najgłośniejszym jej aktem było porwanie w 1976 r. i więzienie przez ponad trzy lata amerykańskiego biznesmena, prawdopodobnie też agenta CIA, Williama Niehousa.

Nie poszedł na studia, za to uczył się w latach 80. w szkole kadr politycznych w Hawanie. Po powrocie do Caracas utrzymywał się z pracy kierowcy autobusu; został liderem syndykatu kierowców. Nie stracił kontaktu z towarzyszami z Ligi, których oczy były właśnie wpatrzone w nowego spiskującego lidera – pułkownika Hugo Chaveza. Ten obiecywał ludową rewolucję i zasypanie społecznych nierówności.

W 1992 r. Chaveza skazano za próbę zamachu stanu. Z odwiedzin u wodza w więzieniu Maduro wrócił zafascynowany. Chavez namaścił go na przywódcę grupy mającej przygotować ludowe powstanie.

A przy okazji Maduro poznał adwokatkę wodza Cilię Flores, którą wkrótce poślubił.

Gdy w 1998 r. już wolny Chavez wygrał wybory prezydenckie i rozpoczął egalitarne reformy, nazwane rewolucją boliwariańską, Maduro został – kolejno – przewodniczącym Zgromadzenia Narodowego, szefem dyplomacji, wiceprezydentem. Lojalność i przekonania sprawiły, że umierający w 2013 r. Chavez wskazał go jako następcę.

Różne biedy

Dzisiaj gospodarka pod rządami Maduro ledwo zipie, utrzymanie się jest dla większości ludzi wyzwaniem. Nie jest to jednak Wenezuela sprzed, powiedzmy, pięciu lat. Wtedy brakowało wszystkiego – jedzenia, leków, papieru toaletowego; w środku nocy ustawiały się kolejki. Dochodzi-

**Wenezuela potrzebuje
zniesienia sankcji i napływu
dolarów. A USA chcą odbić
Wenezuelę spod wpływów
Rosji. I, oczywiście,
potrzebują ropy.**



ło do plądrowania sklepów i linczów na złodziejach. Miasta i wsie pogrążyły się w ciemnościach z powodu kryzysu energetycznego wywołanego przez suszę (70 proc. energii produkują hydroelektrownie). Inflacja pożerała pensje – aż zabrakło banknotów.

Ewa Sapieżyńska, która kiedyś pracowała dla rządu Chaveza, a obecnie dla międzynarodowej organizacji humanitarnej, wysłała mi fotografie półek w supermarkecie, które uginają się od towarów. Kłopot w tym – tłumaczy – że stać na nie tylko zamożniejszych.

Według Światowego Programu Żywnościowego ONZ co trzecie wenezuelskie gospodarstwo domowe cierpi niedostatek żywienia. Problemem jest brak zróżnicowanej diety. Jej podstawą są zboża (ryż, kukurydza, pszenica) i bulwy (juka, bataty), uzupełniane 2–3 razy w tygodniu fasolą i soczewicą. Jeszcze rzadziej ubodzy jedzą mięso, ryby, jajka, warzywa i owoce. Wenezuelczycy pracujący na czarno często godzą się na pensje wypłacane w żywności; 60 proc. wydaje całe dochody na jedzenie – nie stać ich na produkty

higieniczne i ubrania. Co piąta rodzina wyprzedaje zasoby i polega tylko na rządowej pomocy.

Droga Maduro (2)

W dziesiątą rocznicę śmierci Chaveza wiarygodny ośrodek badań opinii wskazał zmarłego wodza jako polityka wciąż najbardziej cenionego przez Wenezuelczyków – pozytywnie ocenia go 56 proc. badanych. Maduro – 22 proc. Popularność żadnego z polityków opozycji nie zbliża się do popularności Chaveza.

Maduro nigdy nie mógł równać się z ojcem założycielem. Pierwsze wybory, tuż po jego śmierci, wygrał przewagą 1 proc. głosów. Nie ma charyzmy ani błyskotliwości Chaveza. Wrogowie gardzą nim, a określenie „kierownik autobusu” należy do najłagodniejszych. Ale Maduro miał też obiektywnego pecha: przejął władzę, gdy ceny ropy zaczęły dołować. Potęgą Wenezueli jako dobrego wujka wspierającego słabszych sojuszników – jak Kuba czy Boliwia – zaczęła gasnąć. Był to też czas, kiedy egalitarna fala w regionie zaczęła opadać. Po dwóch latach rządów Maduro jego obóz przegrał wybory do parlamentu. Opozycja liczyła, że upadek samego Maduro to kwestia czasu. Ale się przeliczyła.

Dolar i czystka

Pod koniec 2019 r. Maduro postawił na dolaryzację, która pomogła opanować hiperinflację. Rząd wprowadził na rynek dolary i pozwolił na zawieranie transakcji w walucie USA, ale księguje się je w bolliwarach. Nie wolno mieć oszczędności dolarowych w banku. Źródłem dolarów na rynku są m.in. zamożni Wenezuelczycy, którzy powyciągali oszczędności ze skarpet, z amerykańskich banków i zaczęli nimi obracać w kraju. Maduro zarzeka się, że Wenezuela nie zrezygnuje jednak z własnej monety, dolaryzacja ma tylko pomóc odbić się gospodarce i przetrzymać trudny czas.

– *Ludzie, którzy mają pieniądze, wydają je, jakby nie było jutra* – opowiada Sapieżyńska. – *W zamożnych dzielnicach Altamira, Chacao, Las Mercedes po ulicach suną „kosmiczne” Hummery. W weekend trudno o wolny stolik w restauracji.*

– Kim są ci ludzie?

– *Mówi się, że są związani z władzą. Tacy na pewno też, ale przede wszystkim to zamożni przeciwnicy rządu, ludzie z sąsiedztwa, którzy czują się swobodnie w swojej dostatniej okolicy.*

Pełne restauracje, jeszcze kilka lat temu puste lub zamknięte, świadczą również o tym, że wzrósł poziom bezpieczeństwa na ulicach. – *Niektórzy mówią, że jest*

bezpieczniej, bo *malandros* [szumowiny, przestępcy – przyp. red.] *wyjechali w ramach fali emigracji*.

Tę ostatnią obserwację potwierdza korespondent „El Pais” Juan Diego Quesada, kursujący między Bogotą a Caracas. Czuje się bezpiecznie, wychodząc rano pobiegać. Z tym że poprawa poczucia bezpieczeństwa to, jak mówi, również skutek bezprawnych egzekucji, „czystek specjalnych” dokonywanych przez siły specjalne na członkach rozmaitych gangów. Mowa prawdopodobnie o kilku tysiącach zabitych.

Droga Maduro (3)

W 2017 r., by stłumić protesty i utrzymać władzę, Maduro sięgnął po represje, na jakie Chavez nigdy się nie zdecydował. Kraj znalazł się na skraju wojny domowej. W pewnym momencie Wenezuela miała dwa parlamenty, dwa rządy, dwóch prezydentów. W 2017 r. siły bezpieczeństwa zabiły 120 demonstrantów i postronnych osób; w 2018 r. – 14; w 2019 r. – 65. Rząd twierdzi, że w 2018 r. nie było ofiar, przyznaje się do 29 rok później. Część z nich to ofiary aparatu represji, część – prorządowych bojówek.

– *Trudno pogodzić się z tym, że przeciwnicy Maduro są atakowani przez prorządowe bojówki, a policja stoi obok i nie reaguje* – mówi Sapieżyńska. – *Kiedy pracowałam dla rządu Chaveza, jednego dnia maszerowali jego zwolennicy, drugiego – przeciwnicy. Nie było przemocy.*

„New Yorker” cytuje anonimowego dyplomatę USA, który mówi, że Chavez zbliżał się do granicy autorytaryzmu, ale jej nie przekraczał. Maduro przekroczył ją wielokrotnie.

Do pierwszego

Przeżycie „do pierwszego” jest dla większości Wenezuelczyków wyzwaniem. Pracujący na państwowym idą rano do biura, w południe jedzą darmowy obiad w zakładowej stołówce, po południu wykonują fuchy; najczęściej czymś handlują. Zdarza się, że pracują na etacie trzy dni, a w pozostałe dwa dorabiają.

– *Koleżanka pracująca w państwowym koncernie naftowym PDVSA zarabia ekwiwalent kilkudziesięciu dolarów* – opowiada Sapieżyńska. – *Nie stać jej na wynajem, mieszka u rodziny za darmo. Inna koleżanka, pracująca w MSZ, zarabia tak marne, że nie przeżyłaby bez zgromadzonych wcześniej oszczędności.*

Płaca minimalna to 8 dol. Dodatkowo biedni dostają bony tej samej wartości – to razem 16. Trzy czwarte ludzi pobiera zasiłki. W sumie mogą uzbierać

ok.25–30 dol. Na szczęście wiele usług publicznych jest za darmo (woda i prąd) lub prawie za darmo (gaz w butlach dotuje państwo; benzyna za grosze).

Problem przeżycia rozwiązuje też tzw. CLAP – Koszyk Komitetów Lokalnych Zaopatrzenia i Produkcji, z którego korzysta 78 proc. mieszkańców. To koszyk (prawie) bezpłatnej żywności, którą w Caracas można dostać raz w miesiącu, na prowincji raz na 2–3 miesiące; jeśli ma się dzieci, można dostać dwa koszyki. Są w nim: mąka, ryż, makaron, czarna fasola, olej, cukier, soczewica, trochę szynki i tuńczyk w puszcze. Większość to produkty z importu – z Argentyny, Kostaryki, Ekwadoru, Turcji. Dystrybucja koszyków zajmują się samorządy w slumsach. Ważną rolę spełniają bezpłatne stołówki istniejące od czasów Chaveza. Teraz finansują je międzynarodo-

Płaca minimalna
w Wenezueli to 8 dol.
Dodatkowo biedni dostają
bony tej samej wartości
– to razem 16. Trzy czwarte
ludzi pobiera zasiłki.

dowe organizacje humanitarne, m.in. ta, dla której pracuje moja rozmówczyni.

Kryzys humanitarny zaostrzają sankcje USA i UE. Ich celem jest osłabienie Maduro, jednak najbardziej biją w biednych. Była Wysoka Komisarz ONZ ds. Praw Człowieka Michelle Bachelet alarmowała, że sankcje podkopują programy społeczne rządu. Najbardziej dramatyczne są przypadki dzieci czekających na operacje i transplantacje – sankcje utrudniają transfery niezbędnych dla ich ratowania pieniędzy.

Droga Maduro (4)

Wojskowi i ludzie wymiaru sprawiedliwości, na których Maduro opiera swoje rządy, mają się dobrze. Nepotyzm kwitnie, a jego czołową praktykantką była przez lata żona Maduro, Cilia Flores, jeszcze jako przewodnicząca parlamentu. Opozycja zarzucała jej, że rozdała wśród krewnych kilkadziesiąt stanowisk. Krążyła anegdota, że jeśli w parlamencie zawołać „Flores!”, głowy obróci pół siali.

Dwaj kuzyni Flores padli ofiarą prowokacji amerykańskiej agencji

antynarkotykowej DEA. Pieniądze z koinayn wysłanej z Caracas do Hondurasu – docelowo do USA – miały iść na kampanię wyborczą. Jednak niedoświadczeni w branży kuzyni wpadli na Haiti i fortuna przepadła. Odsiadują wysokie wyroki w USA. Maduro uznał to za naruszenie suwerenności, atak na pierwszą damę i próbę pograżenia rewolucji boliwariańskiej.

Konflikty ze Stanami, czasem tylko retoryczne, to legitymacja rządów Maduro. Trudniej było mu atakować Obamę, ale i jemu radził, by zajął się ochroną zabijanych w USA Afroamerykanów. Trumpa przezywał „królem peruk”.

Maduro przetrwał próbę ingerencji USA w politykę wenezuelską. To Waszyngton stał za powołaniem nielegalnie alternatywnym prezydentem kraju Juanem Guaidó. Miał on zjednoczyć opozycję i poprowadzić ją do zwycięstwa. Jednak, jak wszyscy oponenti tak Chaveza, jak i Maduro, okazał się partaczem i Biden wycofał poparcie dla niego. Opozycja pozostaje bez lidera. Maduro zaciera ręce.

Schyłek rewolucji

– *Programy społeczne, które kilkanaście lat temu tworzono na moich oczach, teraz upadają* – opowiada Ewa Sapieżyńska. – *Wtedy biedni ze slumsów po raz pierwszy mogli korzystać z przychodni powstających tuż obok ich domostw. Teraz to się kończy, choć nie dlatego, że rząd się wycofał. Przychodnie w dzielnicach biedy nadal istnieją; gdy sytuacja się poprawi, powinny nadal działać.*

– *Ku czemu zmierza rewolucja boliwariańska?*

– *Obawiam się, że ku końcowi. Różnice społeczne rosną w zaskakującym tempie, wracamy do poziomu nierówności sprzed rządów Chaveza. Do tego korupcja, nieudacznictwo, sankcje.*

– *Co zostanie z chawizmu?*

– *Po śmierci Chaveza wydawało mi się, że bardzo dużo. Duma i oddolna organizacja w biednych dzielnicach, inspiracja dla ruchów społecznych w Ameryce Łacińskiej. Ale rządy Maduro rzuciły cień na legendę Chaveza i jego osiągnięcia.*

Nauczyciel założyciela Wenezueli Simona Bolívara powtarzał: „Wymyślmy [na nowo] albo jesteście zgubieni”. Już wkrótce ktoś będzie musiał wymyślić Wenezuelę na nowo. I być może nie da się tego zrobić bez Maduro; to pewno – bez chawistów. O Maduro można napisać sporo złego. Lepiej jednak nie zapominać, że posiadał on zdolność odbijania się od dna, gdy wszyscy myślą, że na dobre zatonał.

ARTUR DOMOSŁAWSKI



O słodki Neapolu

Szałeństwo po zdobyciu piłkarskiego mistrzostwa Włoch przez drużynę z Neapolu znów przypomniało, że to jedyne latynoskie miasto poza Ameryką Łacińską.

PIOTR PODEMSKI

Choć sezon najwyższej włoskiej ligi jeszcze się nie skończył, „zwycięski remis” z Udinese 4 maja zapewnił już drużynie Napoli *scudetto*, czyli „małą tarczę” mistrza Włoch. Karnawał radości rodem z samego Rio rozpoczął się już na stadionie w Udine, gdzie kibice z południa szturmem wdarli się na murawę. Równocześnie wybuchła prawdziwie latynoska fiesta na neapolitańskim Stadio Maradona, połączonym z Udine za pośrednictwem teledymów, i w całym regionie Kampanii.

Przystrojony na tę okazję w biało-błękitne barwy klubowe Neapol „znalazł się w raj”, jak pisały nazajutrz gazety. Nawet podczas nabożeństw w kościołach niosły się słowa hymnu ukochanej drużyny: „Naprzód, Napoli! Jesteś wszystkim, czego mi trzeba!”. Bywało, że opiewany w pieśni „cały błękitny sztandar, który przypomina niebo, morze i to miasto” wywieszały w oknach także żeńskie klasztory. Rzewnymi łzami płakali ze szczęścia osobnicy o wyglądzie klasycznych

macho. I jak tu nie brać na poważnie słów Maurizio De Giovanniego, że „Neapol to jedyne latynoskie miasto poza Ameryką Łacińską”?

Mistrzostwo „cudzoziemców”

Scudetto dla Napoli to historia, która przywraca wiarę w magię tego sportu. Mowa bowiem o drużynie, która – po zdobyciu dwóch tytułów mistrzowskich w czasach „boskiego” Diego Maradony (do dziś ma w mieście liczne portrety i kapliczki) w 2004 r. zbankrutowała i o mało co nie zniknęła z piłkarskiej mapy Włoch. Reaktywowany zaraz potem przez producenta filmowego Aurelia De Laurentiisa klub musiał zaczynać swoją nową historię w niższych ligach.

Związany rodzinnie z Neapolem De Laurentiis połączył sentyment z biznesowym pragmatyzmem zaczerpniętym od Silvio Berlusconi (wówczas właściciela AC Milan) oraz rodziny Agnelli (Juventus Turyn). Liczył na konkretne profity wynikające z tego, że Napoli to – inaczej niż w przypadku Rzymu czy Mediolanu

– jedyna drużyna, której zgodnie kibicują kochający futbol mieszkańcy trzymilionowej aglomeracji. W dodatku ich miłość jest żarliwa i właśnie latynoska.

Jak to w każdej pełnej natchnionego szałeństwa neapolitańskiej historii, jeszcze niedawno klub znalazł się w – można by sądzić – śmiertelnych paroksyzmach, gdy dyrektor sportowy, „cudzoziemiec”, bo pochodzący z Florencji Cristiano Giuntoli, uznał, że podstawowi dotychczas gracze nie są warte wydawanej na ich gazę fortuny. Wśród protestów kibiców doszło do kadrowej rewolucji opartej na młodszych, tańszych i nieznanymi piłkarzach, często pochodzących z mocno egzotycznych kierunków.

Pierwsze skrzypce zaczęli odtąd grać: sprowadzony z francuskiego Lille Nigeryjczyk Victor Osimhen, asystujący mu zaledwie 22-letni dziś Gruzin Chwicia Kwaracchelia (zwany czasem Kwaradona), Koreańczyk Kim Min-jae czy pochodzący z Meksyku Hirving Lozano. W środku pola zaczął dyrygować nasz Piotr Zieliński, a kapitanem został kolejny „cudzoziemiec”, Giovanni Di Lorenzo z Toskanii. Nie szło to jednak bynajmniej łatwo.

Gdy w 2021 r. na posadę trenera przychodził inny Toskańczyk, Luciano Spalletti, nie dość, że z miejsca skradziono mu ulubionego Fiata Pandę (nie bez kozery w 1943 r. US Army powiesiła podobno u bram Neapolu ostrzeżenie: „Uwaga! Miasto złodziei!”), to jeszcze na ulicach pojawiły się wypisane w dialekcie hasła: „Pandę oddamy, ale masz się wynosić!”.

Jeśli tak zbudowana drużyna, pod kierunkiem gangu z Toskanii (dyrektor, trener i kapitan), potrafiła właściwie w ciągu roku stać się dumą Neapolu i pewną ręką sięgnąć po mistrzostwo Włoch, stanowi to zadziwiająco udany eksperyment biznesowo-kulturowy. Szczególnie w przypadku miasta znanego raczej ze wsobności, własnego dialektu i silnego partykularyzmu.

To także chwalebny triumf racjonalnego planowania i zespołowej współpracy w krainie postrzeganej przez wielu jako ojczyzna bufonady, narcyzmu i megalomanii, podszytych dodatkowo ignorancją, zabobonem, biedą i przestępczością. „Nikommu nigdy nie udało się rządzić Neapolem” – orzekł wszak już wielki francuski historyk Fernand Braudel.

Bo nie tylko o piłkę przecież tu chodzi. Neapol to fascynujące i przerażające zarazem zjawisko kulturowe. Curzio Malaparte w powieści „Skóra” pisał: „Neapol to najbardziej tajemnicze z miast Europy. To Pompeje, które nigdy nie zostały pogrzebane. To nie miasto – to świat. Neapol to inna Europa, której kartezjański rozum nie zdoła przeniknąć. Nie można zrozumieć Neapolu. Nigdy go nie zrozumieć”. Spróbujmy.

Raj diabłów

Neapol to typowa dla włoskiego Południa mieszanina idealistycznej wizji przeszłości z marnymi realiami współczesności. Filozof Benedetto Croce określił swoje miasto jako „raj zamieszkały przez diabły”. Przybywającemu tu zwłaszcza od strony morza podróżnikowi trudno się oprzeć urokowi oblanej słońcem zatoką z górującym nad nią Wezuwiuszem. Skłonny jest uwierzyć słowom słynnej pieśni „O sole mio”: „O słodki Neapolu, szczęśliwa kraino, stworzona, by człowiekowi chciało się uśmiechnąć!”.

Gdy jednak spojrzymy z bliska na niewiarygodnie chaotyczne i zatłoczone miasto, wąskie uliczki oraz odrapane z tynków, jakby pazurem samego czasu, niezmiennie od wieków kamienice, lepiej rozumiemy pełną melancholii pieśń neapolitańskich emigrantów „Santa Lucia Luntana”, którzy przejmująco zawodzili: „Z dała od Neapolu nie da się żyć! A im dalej jesteś, tym

piękniejszy się wydaje”. Nie wspominając już o dżungli ruchu drogowego, w której – jak głosi słynne powiedzenie – czerwone światło jest zaledwie delikatną sugestią.

Dumni neapolitańczycy wywodzą początki swego miasta od mitycznej syreny o imieniu Partenope, zaś samą jego nazwę od greckiego *Neapolis* – „Nowe miasto”. Niezmiennie silny jest tradycyjnie ich związek z postacią patrona – świętego Januarego, którego przechowywana w katedrze rzekoma zastygła krew trzykrotnie w ciągu roku cudownie przechodzi w stan płynny, co stanowi gwarancję jego czuwania nad losami miasta. Wiara w cud stanowi nieodzowny element neapolitańskiego patriotyzmu.

Pomimo takiej opieki miasto przez wieki było najeżdżane i okupowane m.in. przez Normanów, Burbonów, a ostatnio przez Amerykanów, których – jak cynicznie pisał Malaparte – powitano na tym samym placu, na którym przez wieki witano wszystkich zdobywców. Święty Januariusz musiał też niekiedy interweniować, by zatrzymać u bram miasta lawę płynącą z Wezuwiusza, a ledwie kilka dekad przed pojawieniem się koronawirusa – w 1973 r. – Neapol nawiedziła ostatnia epidemia cholery.

Wobec tego bezmiaru nieszczęść i chaosu mieszkańcy miasta przyjęli przez wieki postawę dumnej indyferencji wobec własnych wad oraz zbrojnego oporu wobec przynoszonych z zewnątrz nowinek. Bohaterem warstw ludowych, „neapolitańskim Che Guevarą” z XVII w., jest Masaniello, przywódca plebejskiego buntu wobec Hiszpanów. Gdy francuscy rewolucjoniści chcieli zaszczerpić miastu ideały oświecenia, również oni spotkali się z fanatycznym oporem.

Zbrojny bunt przeciwstawili neapolitańczycy nawet włoskiemu wojsku, gdy w II połowie XIX w. usiłowało ono zaprowadzić na południu piemonckie porządki po zjednoczeniu Italii. Kiedy zaś państwo włoskie okazało się słabe i nieudolne, realne rządy przejęła miejscowa kamorra. W tożsamości neapolitańczyków musi się zatem pomieścić świadomość niemal boskiego pochodzenia oraz aktualnego statusu traktowanego przez świat z politowaniem rezerwatu mafii, ciemnoty i irracjonalizmu.

To dlatego do dziś nic nie zagraża tutaj popularności Diego Maradony, bohatera również chłopców z południowoamerykańskich slumsów, marzących o wielkiej karierze i wyrwaniu się z codziennej beznadziei. Bohatera – dodajmy – nienawidzącego bezdusznego kapitalizmu narzucanego z USA oraz z dumą

noszącego na ramieniu tatuaż z podobizną Che Guevary.

Boski Diego podbił serca neapolitańczyków, nie tylko dając im, po raz pierwszy w historii, w 1987 i potem ponownie w 1990 r., wymarzone mistrzostwo Włoch, ale w równej bodaj mierze odrzucając lukratywną propozycję przejścia do bogatszego, kojarzonego z burżuazyjnym sznurem Juventus Turyn. Maradona pozostał zatem wierny plebejskiemu Neapolowi, co odwzajemniono, nazywając po jego śmierci w 2020 r. dawny stadion San Paolo imieniem Argentyńczyka.

Ręka Diego?

Jeśli zatem cały Neapol oszalał z radości 4 maja, nie chodzi tu bynajmniej o czysto sportowe emocje, ale o wygraną pogardzanych przez bogatą część kraju pariasów, w bitwie toczącej się od lat włoskiej wojny futbolowej. Nieprzypadkowo w ramach wielkiego świętowania po ulicach Neapolu noszono trumnę z przypiętymi barwami wielkich klubów z północy. To odwieczni neapolitańscy *underdogs* dawali upust emocjom skumulowanym przez dekady poniżeń ze strony „paniczyków” z bogatej, nowoczesnej i uporządkowanej Lombardii czy Piemontu.

W tym irracjonalnym świecie niespecjalnie liczy się to, że trzecie *scudetto* Napoli w historii – zdobyte zresztą przez drużynę, w której wśród Słowian, Azjatów i Latynosów ze świecą szukać graczy wychowanych w autentycznie neapolitańskim środowisku – blaknie nieco wobec 36 takich tytułów na koncie turyńskiego Juventus czy 19 Interu i Milanu. Na przesiąkniętym magią i mistycyzmem włoskim południu nieszczęśliwe znaczenie mają prozaiczne statystyki, najbardziej liczą się, dające motywację do mierzenia się z przytłaczającą codziennością, duma i wiara.

Gdy w 1986 r. Maradona, wówczas piłkarz Napoli, strzelił Anglii gola dla reprezentacji Argentyny ręką, cały Neapol z entuzjazmem przyjął latynoską interpretację tego faktu: „To była ręka Boga!”. Również i dziś, gdy po niedawnej śmierci Maradony, Argentyna sięgnęła po mistrzostwo świata, a jego ukochane Napoli po trzech dekadach nieoczekiwanie, choć zasłużenie i w pięknym stylu, zdobyło *scudetto*, słychać już głosy, że to boski Diego z zaświatów, niczym święty Januariusz, dokonuje cudów. Gole mogą strzelać Osimhen czy Kvaracchelia, ale neapolitańska dusza będzie szukała bardziej wzniosłej wizji wydarzeń: „To była ręka Diego!”.

Autor jest historykiem i italianistą z Uniwersytetu Warszawskiego.



ILUSTRACJA MIROŚLAW GRYŃ

Sto zielonych kroków

Świat prędzej niż przez chciwość zostanie zniszczony przez głupotę i opieszałość – mówi Bertrand Piccard, szwajcarski psychiatra, pilot, odkrywca i działacz na rzecz środowiska.



Bertrand Piccard (ur. 1958) – szwajcarski psychiatra, pilot i działacz na rzecz ochrony środowiska naturalnego. Pochodzi z rodziny słynnych pionierów i przełamywaczy barier. Jego dziadek Auguste jako pierwszy latał w stratosferę i zobaczył krzywiznę Ziemi. Ojciec Jacques jako pierwszy zszedł na dno Rowu Mariańskiego. Bertrand wyleczył lęk wysokości, latając na lotni. W 1999 r. wraz z Brianem Jonesem bez lądowania okrążył świat balonem. Wokół świata w 2016 r. przeleciał także jego samolot napędzany energią słoneczną. Jest założycielem i prezesem fundacji Solar Impulse, promującej udoskonalenia techniczne na rzecz zrównoważonej gospodarki.

JĘDRZEJ WINIECKI: – Namawia pan liderów biznesu i polityki, by przechodzić do zrównoważonej środowiskowo gospodarki. Dlaczego chcą pana słuchać?

BERTRAND PICCARD: – Bo obleciałem świat balonem i samolotem napędzanym energią słoneczną. Lubią spotykać takich jak ja. Poszukują nowych opowieści i interesuje ich, co mam do powiedzenia. Dla wielu bywa to odkrywcze.

I o czym im pan opowiada?

O fantastycznych możliwościach modernizacji świata. Nasza fundacja szuka technicznych rozwiązań, których wdrożenie przynosi zyski i jednocześnie chroni środowisko. Mamy 370 niezależnych ekspertów, sprawdzających, czy produkt jest skalowalny, czyli czy da się go wprowadzić na rynek i czy rzeczywiście chroni środowisko lub działa sprawniej niż coś, co jest obecnie dostępne. Zidentyfikowaliśmy niemal 1,5 tys. działających innowacji, które od ręki mogą zostać wykorzystane przez państwa, miasta, przedsiębiorstwa i obywateli. Przyznajemy oznaczenie, które jako jedyne na świecie potwierdza, że produkt, system lub materiał jest przyjazny dla natury i faktycznie dochodowy.

Dla kogo?

Dla wszystkich: zarabiają producenci, sprzedawcy i użytkownicy. Bo chodzi np. o sposoby pozwalające obniżyć wysokość rachunków za prąd elektryczny albo zwiększyć wydajność procesów produkcyjnych bez konieczności sięgania po kolejne zasoby. I o odejście od systemu, w którym czerpie się zyski, wytwarzając coraz większe ilości zanieczyszczeń, marnując i wyrzucając, na dodatek przy bardzo niskich marżach i w warunkach konkurencji z tymi, którzy również w ten sposób działają. Takie podejście jest przecież bardzo kosztowne społecznie: zakłada, że pracownikom płaci się możliwie najmniej. Twierdzą, że można przejść od ilości do jakości.

Gdzie ukryty jest potencjał?

Tworzywa sztuczne, które nie nadają się do przetworzenia, da się zmienić w żwir – nie trzeba by ich spalać lub wywozić na wysypiska. Budynki można stawiać z betonu wyprodukowanego z materiału rozbiórkowego, rozdrobnionego i zmieszanego z częściowo zdekarbonizowanym cementem. Jest moduł instalowany na silnik spalinowy, który dodaje do komory silnika odrobinę wodoru, co poprawia jakość spalania i ciśnienie, o jedną piątą zmniejsza zużycie paliwa i o połowę redukuje emisję toksycznych cząsteczek. W przypadku przeciętnej europejskiej taksówki inwestycja zwraca się po pół roku. Domieszka krzemionki, dodanie małych ziarenek szkła do opon też zmniejsza zużycie paliwa. W Szwajcarii wymiana wszystkich starych żarówek i zastąpienie grzejników elektrycznych ogrzewaniem z pompami ciepła umożliwiłyby wyłączenie dwóch elektrowni atomowych. Mamy cztery, co oznacza, że połowa z nich działa po to, by kompensować straty powodowane fatalną wydajnością starych żarówek i grzejników. Przecież to szaleństwo.

Czemu pańscy rodacy ich nie wymieniają? Jeśli kogoś stać, to właśnie Szwajcarów.

Kto może sobie pozwolić na inwestycje, to tak postępuje, bo liczy na oszczędności. Pozostałym trzeba pomóc, np. nieoprocentowanymi pożyczkami lub leasingiem bankowym. W bardzo obiecującym modelu pompę ciepła można dzierżawić. Przy czym montuje się ją bezpłatnie, płaci się tylko za wytworzone ciepło, które jest nawet o połowę tańsze niż w przypadku grzejników elektrycznych czy gazowych. Ten system powinien być powszechny. Inny przykład: Amerykanie lubią prac w bardzo wysokich temperaturach, pościele i ręczniki gotują do blisko 100 st. C. Gdyby przestawili się na proszek, który taki sam efekt przynosi w zimnej wodzie, całe Stany Zjednoczone zaoszczędziłyby 4 proc. zużywanej przez siebie energii elektrycznej. Wyobraża pan sobie? Jeden produkt i takie oszczędności w skali tak wielkiego kraju? ►

► Zmiana stylu życia nie jest taka łatwa.

Kiedy się tylko alarmuje, to mało kto będzie miał ochotę na działanie. Ale jeśli powie się ludziom, że codziennie tracą pieniądze, to przebudzą się wcześniej. Pamiętajmy o konsekwencjach niewydajnej konsumpcji. Trzy czwarte energii marnujemy tylko przez niewydolność infrastruktury. Przepada jedna trzecia jedzenia, a do jej produkcji, transportu, przechowywania i utylizacji zużywamy ogromne zasoby, o emisji zanieczyszczeń nie wspominając. Potrzebny jest system, który zredukuje tę niegospodarność. Są np. pojemniki rozpoznające wyrzucane odpadki. W restauracjach czy stołówkach ważą, sumują i przygotowują automatyczne raporty, czego było najwięcej, np. chleba czy ryżu. To pokazuje, że kupiono za dużo lub podaje się zbyt obfite porcje. Potencjał do oszczędności jest ewidentny, jednocześnie nikt się nie domaga, by wszyscy jedli mniej.

Co blokuje ludzi przed wprowadzeniem opisanych przez pana zmian?

Między innymi to, że nie ma jednego rozwiązania wszystkich problemów, do zrobienia są setki małych kroków. Jeśli jednak wszystkie je się zsumuje, to złożą się na wielki wynik. Z zastrzeżeniem, że ich wykonanie nie oznacza zmuszania do wyrzeczeń, porzucenia zwyczajów i obecnego jądrospisu czy siedzenia w zimnym pokoju. W Polsce mięso jest kwestią wrażliwą, tak jak jego owadzie zamienniki. Przejście na robaki nie jest więc łatwo dostępną alternatywą. Skoro tak, to nie fiksujemy się na problemie, zajmujemy się czymś innym. Niemal każda polityka energetyczna lub środowiskowa sprowadza się do ogólnego planu i rekomendacji, by wszyscy robili te same rzeczy. Każdy ma się pozbyć węgla, jeść mniej mięsa, przesiąść się do elektrycznych samochodów, grzać się pompą ciepła. Tymczasem kraje się różnią, geografiami, klimatem, kulturą.

Co zatem robić?

Najpierw brać się za to, co działa, jest proste do zastosowania, a poprawia jakość życia, wydajność i opłacalność. To niesamowite, ale w zasadzie w każdej dziedzinie – praniu, budownictwie, produkcji, transporcie, żywności, zagospodarowaniu odpadów i wielu innych – jest mnóstwo podobnych szans. Przeciętna rodzina z dwójką dzieci jedną czwartą miesięcznych wydatków na energię przeznaczą na podgrzanie wody do mycia. Tymczasem jest urządzenie, które odzyskuje ciepło zużytej wody i oddaje je tej, która trafia do prysznicza, a do kanalizacji sphywa tylko woda zimna. Oczywiście konieczna jest pewna inwestycja, ale później co miesiąc sporo się oszczędza.

Wiele z podobnych rozwiązań zwiększa siłę nabywczą osób mających najmniejsze budżety. Gdyby konsumowali bardziej wydajnie, wydawaliby mniej na energię, wodę, żywność czy utrzymanie auta. Łączmy z ochroną środowiska myślenie o możliwości. Tak samo jest w przemyśle. Można odzyskiwać ciepło wylatujące kominami fabryk albo towarzyszące pracy centrów danych. Niestety, zbyt rzadko korzysta się z tych oczywistych możliwości.

Dlaczego?

Nie słyszano o nich albo nie zna się ich zalet. Brakuje też chęci. Można wytwarzać beton w stu procentach z surowców wtórnych, jednak nie jesteśmy do niego przyzwyczajeni. Nie

figuruje w zamówieniach publicznych w wielu krajach, a w innych normy dopuszczają jego udział jedynie od 5 do 50 proc. Oświetlenie uliczne mogłoby się składać wyłącznie z solarnych latarni z ledowymi żarówkami i bateriami, czyli nie byłoby konieczne kopanie rowów na kable i same kable. Oświetlenie to w przeciętnym mieście 37 proc. kosztów energii elektrycznej, ale nadal sięga się po tradycyjne warianty. Bo latarnie solarne są droższe na etapie zakupu i produkowane przez niewielkie firmy, które przegrywają przetargi. W nich bowiem nacisk kładzie się na sprzęt najtańszy w zakupie, a nie eksploatacji.

Często władze miejskie nie mają impulsu do myślenia w dłuższej, np. 10-letniej perspektywie. Nie pomagają także przepisy różnych krajów. Bywają przestarzałe, np. zakazuje się w nich rozładowywania baterii samochodu elektrycznego do sieci, co pozwoliłoby w wieczornym szczycie zapotrzebowania zapobiec włączaniu dodatkowych bloków elektrowni zasilanych paliwami kopalnymi. Sporo krajów nie chce mieć prosumentów, indywidualnych dostawców energii, wołą system scentralizowany. Jakby nie rozumiały, że przyszłością energetyki jest absolutna decentralizacja: panele słoneczne na dachach, wiatraki, biogazownie w każdym gospodarstwie czy turbiny na małych rzekach do zasilania niewielkich wsi.

Kto tu jest bardziej oporny? Biznes czy politycy?

Ludzie z biznesu zazwyczaj sprawniej wyczuwają, skąd wieje wiatr i lepiej łapią okazje, więc to oni wywierają presję na rządy. Politycy są mniej przekonani, mają inne potrzeby – chcą wygrać wybory i pozostać u władzy. Świat prędzej niż przez niegodziwość zostanie zniszczony przez głupotę i opieszałość. Musimy edukować zwykłych ludzi i tych przywódców, którzy zatrzymują się na pewnikach sprzed 20 lat i przegapią mnóstwo okazji. Są jak Kodak, który nie rozwinął w porę fotografii cyfrowej.

Wierzy pan, że politycy są zdolni do dobrowolnego opuszczenia strefy komfortu?

Patrzmy na kontekst. Od niedawna energia ze źródeł odnawialnych jest tańsza niż ta z węgla czy ropy. Także starania o efektywność energetyczną są znacznie

bardziej opłacalne niż 10 lat temu. Produkcja energii ze słońca jest 20–30 razy tańsza niż na początku wieku. Na marginesie: najtańszy prąd to ten produkowany ze słońca w Portugalii – jego wytworzenie kosztuje raptem 1,5 eurocenta za kWh. Organizacje pozarządowe mówią o tym wszystkim, ale to za mało, bo ludzie myślą, że chodzi wyłącznie o ochronę środowiska. To politycy mają moc zmiany. Dojdzie do niej, jeśli pokażą społeczeństwu, że jest możliwa, pożądana, ciekawa i że wszyscy będą mieli z niej korzyści.

Co im w tym przeszkadza?

Jeden problem to głęboki podział polityczny. Prawica ściiera się z lewicą tak, jak działające na rzecz ochrony środowiska z przedstawicielami przemysłu. Politycy mogą się spierać, o co chcą, ale o środowisko? Przecież nie muszą: rewolucja techniczna sprawia, że dbanie o naturę może przełożyć się na większą siłę nabywczą i solidaryzm społeczny oraz tworzyć nowe miejsca pracy. Jest duży wspólny zbiór rozwiązań, których domagają się ekolodzy i które oferuje biznes. O ten zbiór wspólny powinniśmy się troszczyć. Pole wspólne jest wystarczająco duże, by każdy mógł



się wykazać. I tu można się porozumieć. Jak się z tym uporamy, trzeba sprawdzić efekt. I jak będzie za mało, to wtedy dopiero martwić ludzi koniecznością wyrzeczeń. W Kalifornii to działa, Republikanie i Demokraci się nienawidzą, a przyjęli te same rozwiązania środowiskowe.

A w Teksasie?

Tam akurat nie.

Czyli tak jak w Polsce.

Ale skoro udaje się w Kalifornii, to patrzmy na ten przykład. Aby zbudować entuzjazm, trzeba przestać jedynie piętnować to, co jest złe. Można wytykać Polskę palcem i krytykować za spalanie węgla. Tyle że to spotka się u was z naturalnym oporem i zabije dyskusję. Lepiej więc wzmocnić przekaz pozytywny, pokazać, co będzie bardziej wydajne i się powiedzie. Bo nawet z węglem – choć nie twierdzę, że jest dobry – Polska może być jednym z najczystszych i najbardziej efektywnych krajów w Europie.

Jak?

Kończąc z marnowaniem energii poprzez zastąpienie starych, zanieczyszczających środowisko systemów nowoczesnymi i wydajnymi.

Wszystko można, tylko za czyje pieniądze?

Jeśli projekt jest opłacalny, to inwestor znajdzie się bardzo łatwo. Na świecie są miliardy dolarów dystrybuowane przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Bank Światowy, Europejski Bank Inwestycyjny, fundusze infrastrukturalne i prywatne, na biogazownie rolnicze, na pompy ciepła etc. Europa ma na to mnóstwo pieniędzy, Komisja Europejska wyznaczyła cele dekarbonizacji i oczekuje, że kraje pokażą swoje sposoby ich realizacji. Dla kilku to poważne obciążenie. Nie wiedzą, jak to zrobić, albo sądzą, że będzie to szkodliwe dla ich gospodarek, że będzie się wiązało z wyrzeczeniami dla obywateli. I wyznaczają cele możliwie mało ambitne. Kraj, który się opiera i nie ma ochoty wyznaczać śmiałych celów, straci pieniądze na inwestycje, które mogłyby go uczynić bardziej nowoczesnym i zamożniejszym.

W Polsce środowisko bardziej niż wspólnym dobrem stało się polem

ostrej bitwy zwaśnionych politycznie plemion.

Podstawowe dylematy związane z zarządzaniem dobrami wspólnymi da się ominąć. Jeśli mamy jezioro, iluś rybaków i skończoną ilość ryb, to rysuje się oczywiste pole konfliktu. Ale można zmienić podejście. Łowić mniej, połów konsumować znacznie bardziej efektywnie, mniej wyrzucać i starać się zwiększyć ilość ryb, np. poprawiając parametry wody na bardziej im sprzyjające. W obliczu dwóch opcji, zazwyczaj trzeba obie odrzucić i wybrać trzecią. Oczywiście trudno zrobić to tam, gdzie politycy, zamiast dbać o środowisko, rywalizują jego kosztem o głosy. Trzeba pokazać, że zmiana paradygmatu przyniesie im korzyść, że lepiej poradzą sobie ci, którzy pierwsi się zmieniają.

Z reguły to na lewicy jest sporo osób troszczących się o środowisko. Są jednak też na prawicy. Istnieją prawicowe rządy, które chronią środowisko. I lewica, która chce zarabiać. Chodzi więc o to, by pogodzić ekologię z ekonomią. Kto to zrobi, dostanie poparcie ze wszystkich stron. Tyle że jeśli ekologia ma być włączona np. do programu prawicy, to musi ona zacząć myśleć i mówić inaczej, czego jej politycy oczywiście się obawiają.

Lewica popiera ochronę środowiska, choć dawniej chciała fabryk. Z kolei prawica domaga się industrializacji, choć ruchy ekologiczne wyrosły z konserwatyzmu.

Współczesna ekologia ukształtowała się pół wieku temu jako sposób na ochronę środowiska metodą antykapitalistyczną. Była formą ataku na przemysł, który niszczył środowisko, na przemysłowców i związaną z nimi prawą stronę. Tak krystalizowało się to stanowisko. Dziś takie starcie kompletnie nie ma sensu. Pora, by obie strony to zrozumiały. W Szwajcarii mamy prawicową partię ekologiczną.

Zieloni z prawicy?

Tak. Łącząc przemysł i gospodarcze podejście do ochrony środowiska. Mówią, że nie trzeba związać gospodarki, tylko poprawić jej jakość, że energia z odnawialnych źródeł jest tańsza, że modernizacja budynków tworzy miejsca pracy. Szwajcarzy mogą więc głosować na ekologów i z lewa, i z prawa. I ten fakt odrobinę łagodzi tradycyjny rozłam. W wielu krajach ekologia jest wykorzystywana do ataku na kapitalizm, a on się broni, bije w zielonych, a natura została zakładnikiem tego starcia. Też niepotrzebnie. Zresztą nie przez przypadek, podając przykłady i argumenty, nie odwołuję

się za bardzo do zmian klimatu. Dopóki modernizuje się gospodarkę i zwiększa jej wydajność, nie trzeba analizować, czy ten problem wywołał człowiek. Mamy mniej śmieci, powietrze jest czystsze, ludzie są zadowoleni, a przy okazji to pomoże klimatowi i tym, którzy wierzą, że odpowiadamy za jego zmianę. Kto jest sceptyczny, nie musi się przejmować. Takie podejście to nie jest naiwny język i opowieść o tym, że natura jest piękna i dlatego trzeba ją chronić.

Przecież taka jest.

Tak, ale przedstawiciele biznesu i politycy z reguły taki opis uważają za naiwny. Nie ma co dyskutować z Donaldem Trumpem o ochronie środowiska. Kiedyś miałem spotkanie z grupą konserwatywnych polityków w Szwajcarii na temat czystych technologii, które nasz przemysł mógłby eksportować. Po moim wystąpieniu ci politycy przyznali, że obawiali się, że będę ich przekonywał do ekologii. Tamto wydarzenie miało znaczenie praktyczne:

wpłynęło na uchwalenie w parlamencie przepisów dotyczących energii słonecznej. Przeszły jednym głosem – posła, który opowiedział się za projektem właśnie pod wpływem mojej argumentacji. W wypadku konserwatystów brak troski o zmianę klimatu łączy się z przekonaniem, że ochrona środowiska jest droga i szkodliwa dla gospodarki. Nie trzeba im mówić, że celem działań jest poprawa stanu środowiska, ale choćby wydajności.

Tymczasem wśród najmłodszych pokoleń narasta niepokój klimatyczny.

Dostrzegają skalę wyzwania i uznają, że są za duże, by im sprostać. Nie wiedzą też, jak temu zaradzić. Krzyczą więc: „mamy problem”. Rządy opowiadają: „nie jest tak źle”, choć powinny objaśniać, jakie działania podejmują i że najmłodszy też mają swoją rolę do odegrania. Mogą np. studiować na kierunkach pomagających walczyć z globalnym ociepleniem. Te branże mają przyszłość, specjalistom nie grozi tu szybkie bezrobocie. Musi jednak temu wszystkiemu towarzyszyć zachęcająca narracja. A do niej jest jeszcze bardzo daleko.

ROZMAWIAŁ JĘDRZEJ WINIECKI



Prawica ściera się z lewicą tak, jak ekolodzy z przedstawicielami przemysłu. Politycy mogą się spierać, o co chcą, ale o środowisko?

Gorączka litu

Lżejszy od wody lit – oto nowy król metali.

Skąd się bierze? Czy wystarczy go do napędzania zielonej rewolucji?

I czy walka z globalnym ociepleniem wymaga destrukcji lokalnych ekosystemów i społeczności?

ANDRZEJ HOŁDYS

Dziur jest kilka. Łącznie zajmują powierzchnię kilku kilometrów kwadratowych. Najstarsza ma owalny kształt o średnicy około kilometra i głębokość ponad 200 m. Na jej dnie połyskuje jezioro, co oznacza, że wszystko, co cenne i możliwe do wydobycia, zostało już stąd zabrane. W innych dziurach eksploatacja jednak trwa. Dokonuje się tego w bardzo tradycyjny sposób, czyli przy pomocy ładunków wybuchowych. Pokruszona skała jest ładowana na wielkie wywrotki, które wywożą zdobycz do zakładu wzbogacania rudy. Tam kruszarki i rozdrabniarki miały skałę na drobny proszek, do którego dodaje się wodę, uzyskując w ten sposób zawieszistą breję. W tym szlamie ukrywa się skarb. To spodumen – minerał zbudowany z krzemu, tlenu, glinu i litu.

Dziury wydrążono z powodu tego ostatniego pierwiastka. Znajdują się w pobliżu otoczonego z trzech stron lasami miasteczka Greenbushes w południowo-zachodnim rogu Australii. Z czwartej strony – od południa – miejscowość sąsiaduje z kopalnią odkrywkową. Ponad sto lat temu wydobywano tu cynę, ale krótko, bo przestało się to opłacać. Później jednak w Greenbushes natrafiono na zasoby spodumenu. Geolodzy oszacowali wówczas, że zawierają od 6 do 8 mln ton litu. Wydobycie uruchomiono pod koniec lat 80. XX w., a głównymi odbiorcami byli producenci materiałów ceramicznych, szkła i smarów. Wielka epoka litu jako pierwiastka umożliwiającego budowanie małych, tanich, lekkich i pojemnych magazynów energii chemicznej dopiero startowała.

Moment tego startu da się wskazać bardzo dokładnie. W 1991 r. Sony wypuściła na rynek pierwsze komercyjne ogniwo litowo-jonowe, które można było setki razy rozładowywać i ponownie ładować. Zaprojektował je Akira Yoshino, profesor Nagoya University i zarazem szef

laboratorium chemicznego w firmie Asahi Kasei. Akumulatory litowo-jonowe zaczęły być umieszczane w telefonach komórkowych, laptopach, tabletach i aparatach cyfrowych, poleciały nawet w kosmos. Lit zaczął przeskakiwać kolejne pozycje na liście surowców mineralnych uważanych za kluczowe dla światowej gospodarki. Jednak przez pierwsze dwie dekady nie była to jakaś spektakularna wspinaczka. W 1995 r. światowa produkcja litu wyniosła 9,7 tys. ton, dekadę później sięgnęła ok. 20 tys. ton, a w 2015 r. przekroczyła poziom 30 tys. ton.

Cały ten popyt w czterech piątych zaspokajały wtedy dwa miejsca na świecie: kopalnia Greenbushes oraz Salar de Atacama w Chile. W tym drugim rejonie lit pozyskuje się z rozległego naturalnego solniska, które powstało w wyniku wyparowania słonego jeziora. Znikająca woda pozostawiła po sobie grube warstwy soli bogatej w minerały i związki chemiczne, w tym chlorek litu. Takich miejsc – zwanych po hiszpańsku *salar* – na pograniczu północnego Chile, Argentyny i Boliwii jest wiele. Tworzą one – jak to określają naukowcy – „litowy trójkąt”, w którym w 2020 r. znajdowało się ok. 70 proc. znanych zasobów tego surowca.

Lawina popytu

Jeszcze w 2015 r. tylko jedna trzecia litu (czyli ok. 10 tys. ton) została wykorzystana do produkcji baterii litowo-jonowych. Później jednak popyt na najlżejszy z metali na tablicy Mendelejewa wzrósł czterokrotnie – do ok. 130 tys. ton w 2022 r., przy czym cały ten wzrost został skonsumentowany przez wytwórców akumulatorów. Powodem jest błyskawicznie rosnąca popularność samochodów elektrycznych i – w mniejszym stopniu – potrzeba magazynowania nadwyżek energii odnawialnej.

Jednak prawdziwa gorączka litu dopiero się zaczyna. W 2010 r. wyprodukowano



z niego akumulatory o łącznej pojemności niewiele ponad 0,5 gigawatogodziny (GWh). Dekadę później, w 2020 r., popyt sięgnął... 526 GWh, a w zeszłym roku otarł się o 700 GWh. Tempo jest zatem szalone, ale i tak niewielkie w porównaniu z projekcjami na przyszłość. Cztery lata temu firma doradcza McKinsey & Company opublikowała raport, w którym zapotrzebowanie na ogniwa litowo-jonowe w 2030 r. oszacowała na 2600 GWh. W styczniu tego roku zrewidowała te prognozy, zwiększając zakładany popyt do 4700 GWh. Z tego na Chiny miałyby przypaść ok. 35 proc., na Europę – 25 proc., na USA – ok. 20 proc. i tyle samo na resztę świata. Branża motoryzacyjna skonsumuje ponad 80 proc. ogniwi, reszta przypadnie na magazyny energii oraz elektronikę użytkową – prognozuje McKinsey & Company.

Według innego raportu, opublikowanego pod koniec kwietnia przez Międzynarodową Agencję ds. Energii (IEA), udział samochodów elektrycznych w sprzedaży globalnej zwiększył się z 4 proc. w 2020 r. do 14 proc. w 2022 r., a prognozy na 2023 r. mówią już o 18 proc. W liczbach



Salar de Atacama wchodzi w skład tzw. litowego trójkąta na pograniczu północnego Chile, Argentyny i Boliwii.

bezwzględnych byłoby to ok. 14 mln pojazdów elektrycznych. W 2030 r. na dzień się sprzedawanych samochodów osobowych sześć będzie miało silnik elektryczny. Zakładając, że łączna pula się nie zmieni, byłoby to ok. 50 mln pojazdów. Porównajmy to z 3 mln sprzedanymi w 2020 r.

Oczywiście produkcja baterii litowo-jonowych – każda zawiera od 20 do 30 kg litu – musiałaby rosnąć w takim samym tempie jak dostawy „elektryków”. Zaspokojenie tego popytu nie będzie łatwe. Do końca tej dekady należałoby zbudować 120–150 fabryk baterii litowo-jonowych, odpowiednią ilość zakładów rafinacji litu oraz wielokrotnie zwiększyć jego wydobycie – ocenia McKinsey & Company. A po tej dekadzie przyjdzie następna, w połowie której pojazdy osobowe z silnikami spalinyowymi mają na zawsze zniknąć z salonów samochodowych. W 2022 r. US International Development Agency wyliczyła, że do 2040 r. popyt na lit może wzrosnąć nawet 40 razy, co mimo wszystko wydaje się pewną przesadą.

Czy na Ziemi jest wystarczająco dużo tego surowca? Sporządzenie takiego

bilansu nie jest łatwe. Kłopot sprawiają przede wszystkim złoża solniskowe. Nie da się precyzyjnie wyliczyć, ile może się w nich znajdować litu. W 2017 r. Służba Geologiczna Stanów Zjednoczonych (USGS) oszacowała, że w ziemskich skałach i solniskach znajduje się ok. 47 mln ton metalu. Uwzględniła zarówno zasoby przemysłowe, czyli znane, opisane i nadające się do opłacalnej eksploatacji, jak i zasoby perspektywiczne, czyli w zasadzie jeszcze nieodkryte. Geolodzy doszli wówczas do wniosku, że litu nam nie zabraknie. Wówczas jednak jego wydobycie wynosiło ok. 60 tys. ton rocznie. Pięć lat później było już dwa razy wyższe, a przecież była to tylko rozgrzewka.

Jak to wydobyć

Zaniepokojona „branża litowo-jonowa” zaczęła coraz głośniej artykułować obawy, czy aby USGS nie jest przesadnie optymistyczna. Ta w odpowiedzi zwiększyła częstotliwość analiz geologicznych, a ich wyniki zaczęła publikować co roku. Według najnowszej oceny zasoby litu na Ziemi wynoszą co najmniej 110 mln

ton. Połowa z tego ma znajdować się w południowoamerykańskim „litowym trójkącie”, czyli w pustynnych solniskach Boliwii (21 mln ton), Argentyny (20 mln ton) i Chile (10 mln ton). Dalej są takie kraje jak USA (12 mln ton), Indie (10 mln ton), Australia (8 mln ton) czy Chiny (7 mln ton). Nie przywiązujemy się jednak nadmiernie do tych liczb. Zmieniają się jeszcze nie raz. Poważne poszukiwania zasobnych złóż dopiero się zaczynają.

Dowodzi tego choćby przykład Finlandii. W środkowej części tego kraju nad Zatoką Botnicką odkryto jakiś czas temu w granitowych skałach sprzed półtora miliarda lat pegmatyty ze sporą zawartością spodumenu. Początkowo wielkość tego prastarego złoża oceniono na kilkaset tysięcy ton litu, ale w 2017 r. szacunki zwiększono do 5 mln ton, trzy lata później – do 8 mln ton, a najnowsze oceny z jesieni zeszłego roku mówią już o 10–12 mln ton. Finlandia nie zamierza zmarnować takiego daru od losu. Planuje uruchomienie wydobycia w pięciu kopalniach odkrywkowych oraz budowę rafinerii litu w porcie Kokkola. Paradoks ►



Australia dostarcza połowę litu na rynki światowe, a kopalnia Greenbushes ma podwoić produkcję.

► polega na tym, że będzie do tego potrzebowała mnóstwa prądu.

Uwolnienie litu z twardych skał jest bowiem bardzo energochłonne. W 2020 r. jego wydobyciu w skali globu towarzyszyła emisja ok. 2 mln ton dwutlenku węgla (całkowita wynosiła wtedy prawie 36 Gt). W 2030 r. będzie ona prawdopodobnie pięciokrotnie większa, ponieważ głównym źródłem litu pozostaną na razie pegmatyty. Australia, która dostarcza połowę tego metalu na rynki światowe (głównie do Chin), planuje znaczne zwiększenie jego wydobycia. Także w Greenbushes rozpoczęto przygotowania do podwojenia produkcji. Kopalnia otrzymała zgodę na wykopanie dołu o długości 2,6 km, szerokości 1 km i głębokości – uwaga! – 460 m.

W poszukiwaniu zamienników

Wydawałoby się, że pozyskiwanie litu z solnisk będzie bardziej przyjazne dla środowiska, ale okazuje się, że tak nie jest – z powodu wody. Najpierw wtłacza się ją w olbrzymich ilościach pod solną skorupę, a następnie wypompowuje z dna i kieruje do basenów ewaporacyjnych, skąd znika ona bezpowrotnie. Marnotrawstwo jest niewyobrażalne – do otrzymania 1 tony litu potrzeba ok. 2 mln litrów wody. Skąd jest ona pobierana? Z podziemnych poziomów wodonośnych. Ich lustro ulega więc obniżeniu. Efekt jest taki, że wody zaczyna brakować zarówno ludziom, jak i dzikim zwierzętom. Do tego pod ziemię przenikają rozmaite toksyczne chemikalia.

Naukowcy alarmują, że wydobycie litu zagraża kruchemu ekosystemowi solnisk, gdzie temperatury powietrza i parowanie są bardzo wysokie, a deszcz spada rzadko. Ponieważ zarówno Chile, jak i Argentyna mają ambitne plany potrojenia wydobycia litu, biolodzy z obu krajów obawiają się, że tutejsza dzika przyroda może nie przetrwać dwóch najbliższych dekad.

„Powinniśmy trochę zwolnić, i zastanowić się, jak chronić interesy lokalnych społeczności oraz środowiska. Inaczej tylko udajemy, że ratujemy planetę” – powiedziała gazecie „Washington Post” Cristina Dorador, biologka z Universidad de Antofagasta w Chile badająca słonolubne mikroorganizmy z Salar de Atacama, a ostatnio także działaczka polityczna występująca w obronie poszkodowanej ludności i przyrody. Niestety, do uruchomienia produkcji litu ze swojego wspaniałego solniska Salar de Uyuni od lat przymierza się też Boliwia.

Postulat, aby trochę zbić gorączkę litu, powraca regularnie, wraz z mało komfortowym pytaniem: czy walka z globalnym ociepleniem i katastrofalnymi emisjami gazów cieplarnianych wymaga destrukcji lokalnych ekosystemów i społeczności? Czy szczytny cel, którym jest ratowanie klimatu, może uświęcać środki?

W USA naukowcy, obrońcy środowiska i członkowie rdzennych społeczności protestują w północnej Nevadzie przeciwko projektowi wydobycia litu z pokładów glin wypełniających rozległy krater wygasłego wulkanu. Znajduje się tu największe w USA złoża Thacker Pass. Firma Lithium America, która dostała koncesję na jego eksploatację, chciałaby już za trzy lata pozyskiwać ok. 40 tys. ton surowca rocznie. W styczniu tego roku General Motors zadeklarował, że weźmie od niej lit do ostatniej tony, idąc w ślady Forda i Tesli, które podpisały podobne porozumienia z innymi firmami górniczymi, które przymierzają się do uruchomienia wydobycia z amerykańskich złóż. W marcu tego roku sąd ostatecznie zezwolił na rozpoczęcie prac górniczych w Thacker Pass. To oznacza, że inwestycja ruszy jeszcze w tym roku.

Amerykanie chcą wydobywać lit w co najmniej pięciu nowych miejscach. I chcą go u siebie poddawać rafinacji (Tesla ogłosiła niedawno, że planuje budowę takiego zakładu w Teksasie). O tym samym myślą Europejczycy, Australijczycy

i Hindusi. Dziś dominującą pozycję w tym ciągu technologicznym zajmują Chiny. To do nich płyną z Australii statki ze skoncentrowanym spodumenumem, z którego następnie w chińskich zakładach wytwarza się węglan litu i wodorotlenek litu. Nikt jednak nie będzie chciał być uzależniony od dostaw z Chin. Dlatego na całym świecie – od Finlandii, Wielkiej Brytanii, Niemiec i Portugalii po Etiopię, Zimbabwe, Namibię i Kazachstan – rozważane są lub już ruszają kolejne projekty budowy kopalń litu i zakładów jego przerobu. Rośnie więc ryzyko lokalnych zagrożeń dla przyrody i jakości życia ludzi.

Na szczęście, podejmowane są interesujące próby jego redukcowania. Po pierwsze, naukowcy szukają zamienników dla litu. Być może będzie to sód, który ma podobne do litu właściwości (oba pierwiastki są metalami alkalicznymi), ale jest go na Ziemi tysiąc razy więcej. Chiński potentat CATL zapowiedział na ten rok premierę samochodowej baterii sodowo-jonowej.

Kuszące solanki

Można także próbować pozyskiwać lit w mniej szkodliwy sposób. Pod koniec kwietnia tego roku firma górnicza Vulcan Energy poinformowała o zdobyciu funduszy na Zero Carbon Lithium Project. Zostanie on zrealizowany w Niemczech, gdzie stanie fabryka litu, która energię (geotermalną) i surowiec będzie pozyskiwała z tego samego źródła – złoża solnego zlokalizowanego na głębokości 4 km pod doliną górnego Renu i zawierającego, jak oszacowano, ok. 5 mln ton litu.

Podobny projekt zostanie zrealizowany w innym zapadlisku tektonicznym – Imperial Valley w południowej Kalifornii. Od dawna wykorzystuje się tam energię geotermalną do produkcji prądu. Teraz z tego samego źródła, znajdującego się w skałach na głębokości 2,5 km, Australijczycy zamierzają tłoczyć gorącą solankę bogatą w chlorek litu i od razu poddawać ją rafinacji. Energii dostarczy też pozyskane ciepło geotermalne. W 2027 r. chcą w ten sposób wyprodukować 68 tys. ton litu rocznie (połowa ubiegłorocznej światowej produkcji).

Chciałoby się powiedzieć „powodzenia”, żałując, że tak mało na globie jest takich miejsc, gdzie z jednego odwiertu mógłby popłynąć lit oraz energia potrzebna do jego przeobrażenia w produkt gotowy do zastosowania w baterii. Kto wie, być może kiedyś nauczymy się pozyskiwać lit wprost z wody morskiej, wykorzystując energię solarną. Niewykluczone jednak, że szybsi okażą się Chińczycy ze swoją baterią na sód.

ANDRZEJ HOŁDYS

REWOLUCYJNY KONSERWATYSTA



Już w kioskach
i na
sklep.polityka.pl

Zapraszamy na profil <https://www.facebook.com/projekt pulsar/>,
a także na polityka.pl/podkasty do wysłuchania rozmów
z cyklu „POLITYKA o historii”

Wspólnota nieczytania

Kultura książki ma się dobrze w Czechach, Francji, nawet w Ukrainie. Polska niezmiennie jest pustynną planetą w galaktyce Gutenberga. Tu lektura przestaje być narzędziem demokratyzacji.



EDWIN BENDYK

Raporty Biblioteki Narodowej o stanie czytelnictwa w Polsce uderzają swoją monotonią. W najnowszym, opublikowanym w kwietniu, czytamy, że „jesienią 2022 roku lekturę co najmniej jednej książki (papierowej lub cyfrowej)

zadeklarowało 34 proc. badanych w wieku co najmniej 15 lat”. Wystarczy jednak zajrzeć do opublikowanego w 2014 r. opracowania „Praktyki kulturalne Polaków”, by przekonać się, że wcześniej nie było dużo lepiej: czytanie było doświadczeniem co najwyżej połowy polskiego społeczeństwa. Nie zmienia się też zasadnicza cecha czytelnictwa: książka jest kobietą. Kontakt choć z jedną książką w mijającym

roku deklarowało w marcu 2022 r. 48 proc. Polek i zaledwie 28 proc. Polaków; prawdziwe czytanie (a więc więcej niż 7 książek rocznie) – odpowiednio 11 i tylko 4 proc., a więc niemal na granicy błędu pomiaru.

Starsi lubią narzekać w Polsce na młodość, to jednak właśnie oni czytają najmniej – po książkę sięga tylko 31 proc. osób powyżej 60. roku życia i zaledwie 23 proc. w wieku ponad 70 lat. Tymczasem czyta aż 72 proc. nastolatków, a do lektury ponad 7 książek rocznie przyznaje się 18 proc. osób w wieku 15–18 lat. Można się domyślać, że młodzieńcza skłonność do przygody z książką wiąże się ze szkołą.

Nałóg powszechny

Słabe wyniki czytelnictwa lubimy tłumaczyć zmianą cywilizacyjną i konkurencją innych form dostępu do treści – publikacje muszą konkurować z Netflixem czy Facebookiem. Jacek Dukaj napisał nawet na ten temat tom „Po piśmie”, dowodząc w nim, że jesteśmy w trakcie procesu nieodwracalnych zmian kulturowych kształtowanych przez rozwój technologii umożliwiających bezpośredni transfer wrażeń. A pismo oraz książka i związany z nimi „myślunek”, czyli sposób rozumienia i myślenia o rzeczywistości, odchodzą nieuchronnie w przeszłość. Nie, nie znikną, ale staną się praktyką elitarną, dominować ma komunikowanie popiśmienne.

Ciekawa teza, ale ciągle można wskazać całkiem okazałą liczbę przykładów społeczeństw, które z uporem trwają przy kulturze pisma i książki. Na przykład Skandynawowie czytają masowo i nałogowo. Można podejrzewać, że ta chęć lektury obejmująca 80–90 proc. Szwedów, Norwegów, Duńczyków wynika tylko z konieczności mierzenia się z długimi zimowymi wieczorami.

Tylko co w takim razie z Czechami, którzy uczynili z czytania książek świecką religię? Czyta ok. 80 proc. spośród nich, pochłaniając średnio ponad 12 książek rocznie. A przeciętna czeska domowa biblioteka liczy 253 tomy. Czesi także ciągle czytają prasę drukowaną – do takiej praktyki przyznaje się 83 proc. osób, po dzienniku sięga 53 proc., po czasopiśmie 76 proc.

Co z Francuzami, którzy czytają 22 książki rocznie, a czytelnictwo utrzymuje się na poziomie prawie 90 proc. społeczeństwa? Jeszcze bardziej zatrważają Francuzi nastolatki – czyta ich 92 proc. i to przeciętnie 29 książek rocznie (osiem dla szkoły, resztę dla przyjemności). Francuzi biją co prawda na alarm, bo czytelnictwo wśród młodych zmalało w ciągu ostatnich dwóch lat o 5 pkt proc. Na pociechę jednak odnotowują, że w 2022 r.

odnotowano rekord, jeśli chodzi o liczbę nowych księgarń – otwarto ich 142.

Ba, nawet mieszkańcy ogarniętej wojną Ukrainy są lepsi od nas. W przeprowadzonym w kwietniu przez Ukraiński Instytut Przyszłości badaniach czytelnictwo książek w czasie wojny zadeklarowało ponad 70 proc. pytanych, 42 proc. przeczytało do pięciu tytułów, 16 proc. między 5 a 10, 9 proc. powyżej 20. Oczywiście można mieć zastrzeżenia do reprezentatywności badań prowadzonych w czasie konfliktu zbrojnego przez internet. Na pomoc przychodzi raport Ukraińskiego Instytutu Książki analizujący czytelnictwo w latach 2018 i 2020. Wtedy czytało ok. 70 proc. mieszkańców Ukrainy, z tego prawie 30 proc. kilka razy w ciągu tygodnia.

Kompetencja bazowa

Wychodzi na to, że teza o śmierci książki na skutek zmiany technologicznej jest co najmniej przedwczesna. W krajach tak różnych, jak Czechy, Ukraina i Francja, kultura czytania ma się nieźle, jeśli nie bardzo dobrze. To raczej Polska jawi się jako jakaś dziwna pustynna planeta w galaktyce Gutenberga.

Tak właśnie patrzy na nas Jiří Trávnick, badacz czeskiego czytelnictwa, autor książki „A Nation of Bookworms?” (Naród moli książkowych). Zestawia on statystykę czeską i polską. Pokazuje, że nie tylko dwukrotnie większy odsetek Czechów ma jakikolwiek kontakt z książką. Zasadnicza różnica polega na tym, że w jego kraju odsetek prawdziwych czytelników jest taki sam (37 proc.) jak w Polsce tych nominalnych.

Najbardziej zdumiewa go, że nie zdołaliśmy w Polsce złamać kulturowego podziału na metropole i prowincję – pozbawioną dostępu do kultury oraz odporną na tak podstawowe praktyki jak lektura książek. I konkluduje, że nie tylko nie ukształtowaliśmy podstawowego kulturowego standardu (jakim dla Czechów jest właśnie czytanie książek), ale nawet nie dorobiliśmy się odpowiednio dużej, proporcjonalnej do liczby ludności, kulturalnej elity rozumianej jako osoby intensywnie czytające (jest ona w Polsce blisko pięciokrotnie mniej liczna niż w Czechach).

Jeśli weźmie się pod uwagę to, co pisze Trávnick, uzasadnione staje się pytanie, jak może funkcjonować społeczeństwo, którego sprawami zajmują się elity w znacznym stopniu pozbawione podstawowych kompetencji kulturowych? Czeski badacz główną przyczynę różnic między naszymi krajami widzi w historii – Czesi już w połowie XIX w. objęci byli systemem powszechnej edukacji i weszli w wiek XX bez analfabetyzmu.

Polska rozprawiała się z nim ostatecznie dopiero po drugiej wojnie światowej. I rzeczywiście, to przesunięcie w fazie budowy nowoczesnego społeczeństwa i jego kultury okazało się największym problemem.

Badania praktyk kulturowych w PRL pokazują, że nigdy nie udało się przełamać bariery oporu wobec książki. W latach 1965, 1976, 1980 czytelnictwo nigdy nie przekroczyło 50 proc. – pokazuje Zbigniew Koziański w artykule „Zróżnicowanie uczestnictwa w kulturze” z opracowania zbiorowego „Strukturalizacja społeczeństwa polskiego”. Owszem, w dekadzie 1965–75 udało się w PRL uzyskać na fali awansu społecznego i urbanizacji niezwykle ciekawy efekt. To był czas szybkiego tworzenia bibliotek domowych. Książki zaczęły wtedy kupować nawet robotnicy niewykwalifikowani. O ile w 1965 r. dystans dzielący inteligencję od robotników mierzony odsetkiem osób posiadających księgozbiory wynosił 50 proc., to dekadę później zmalał o 25 pkt proc. Tyle tylko, że za kupowaniem nie szło czytanie. Okazuje się, że książka w domu była wtedy w mniejszym stopniu oznaką praktyki kulturowej, a w większym symbolem statusu społeczno-materialnego.

Trend budowania prestiżu na książkach załamał się w drugiej połowie lat 70., kiedy oznaka statusu w coraz większym stopniu zaczęły być wzory konsumpcji materialnej. Co gorsza, jak zauważa Koziański, od 1965 r. systematycznie malało zainteresowanie literaturą wyższego poziomu, której czytelnictwo spadło z 22,1 proc. w 1965 r. do 11,1 proc. w 1980 r.

Później przyszedł kapitalizm, wzrost nierówności dochodowych i odbudowa struktury klasowej. Tomasz Szleniak i Arkadiusz Karwacki, socjologowie z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, pokazali, że istnieje związek między poziomem nierówności a m.in. uczestnictwem w kulturze, w tym czytaniem książek. W społeczeństwach o wysokim poziomie nierówności większość ludzi koncentruje się na materialnych oznakach statusu społecznego. W społeczeństwach egalitarnych ludzie zamiast na *mieć* bardziej koncentrują się na *być* i stąd większe zainteresowanie kulturą.

Rozbrat z książką w Polsce to sytuacja najwyraźniej endemiczna, na dodatek wyjątkowa w najbliższym geograficznym otoczeniu. Nie potrafiliśmy sobie z nią poradzić ani w czasie II Rzeczypospolitej, ani w PRL, ani w czasach liberalnej III Rzeczypospolitej. A i osiem lat rządów populistycznej prawicy nie przyniosło

zmiany poza wymianą tytułów w szkolnych kanonach. Czas zatem zmierzyć się z konsekwencjami takiego stanu rzeczy.

Wyłączenie systemowe

Wendy Griswold, socjolożka z Northwestern University badająca czytelnictwo na świecie, twierdzi, że tylko niektóre społeczeństwa wykształciły kultury czytania. Wszystkie jednak, które posługują się piśmem, mają *reading class* – klasę czytającą. Jej istnienie wystarczy, żeby utrzymywała się infrastruktura czytelnicza – rynek wydawniczy, system biblioteczny i presja na programy edukacyjne, by wymagały czytania. Problem w tym, że w przypadku braku powszechnej kultury czytelniczej cała ta infrastruktura służy w istocie utrzymywaniu klasy czytelniczej, w Polsce bardzo wątej, choć sytuację ratuje wielkość populacji – w efekcie nawet małe odsetki czytających zamieniają się na porażające liczby bezwzględne uczestników książkowego rynku.

Utrzymuje się pozór, że jesteśmy społeczeństwem nowoczesnym, choć nigdy nim w istocie nie byliśmy. Robi to inteligencja, warstwa tożsama z *reading class*, ale jednocześnie mająca w Polsce szczególne znaczenie, co pokazuje socjolog i historyk Tomasz Zarycki. Czytanie w Polsce, w przeciwieństwie do Czech czy Francji, jest praktyką, która nie służy społeczno-kulturowemu włączeniu, tylko przeciwnie: selekcji i utrzymaniu klasowej odrębności.

Więcej, wszelkie badania pokazują, że kluczowe dla wyrobienia nawyku czytania książek jest otoczenie rodzinne – to, czy w dzieciństwie rodzice czytali dzieciom, sami czytali przy dzieciach, a w domu była biblioteka. Sama szkoła i system biblioteczny nie wystarczą, by zniwelować deficyty rodzinne. W efekcie prowadzi to do efektu dziedziczenia praktyki będącej podstawą przywileju – przynależności do inteligencji ciągle utrzymującej w Polsce hegemonię kulturową i dominującą w kształtowaniu procesu politycznego.

Czytanie przestaje być w Polsce narzędziem demokratyzacji, przeciwnie – służy refeudalizacji stosunków społecznych zamaskowanej swoistym kultem cargo. Polega on na przekonaniu, że w nowoczesności można wejść na skróty, budując odpowiednią infrastrukturę, ale bez budowy kultury nowoczesności, której głównym filarem jest czytelnictwo. Czy możliwy jest więc nie tylko dalszy rozwój cywilizacyjny oparty na wiedzy, kreatywności i innowacyjności, ale także utrzymanie nowoczesnego systemu politycznego opartego na liberalnej demokracji? ■

Przyspieszenie na dwóch kółkach

ABY ZACHĘCIĆ MIESZKAŃCÓW DO PRZESIADKI NA ROWERY, WARTO ZAINWESTOWAĆ W WYGODNE TRASY ZWANE VELOSTRADAMI. DZIĘKI NIM JAZDA DO PRACY JEDNOŚLADEM BĘDZIE NIE TYLKO ZDROWSZA, ALE TEŻ SZYBSZA NIŻ SAMOCHODEM.

Udogodnienia dla rowerzystów to temat każdej kampanii przed wyborami samorządowymi. Obietnic nie brakuje, z ich realizacją bywa różnie. Gminy koncentrują się na budowie dróg dla rowerów, najczęściej powstających obok chodnika albo wytyczaniu pasów rowerowych, wydzielanych z jezdni. Trudno uniknąć przy tym sporów i konfliktów, bo zarówno piesi, jak i kierowcy narzekają, że los rowerzystów poprawia

przez skrzyżowania, a wówczas – zgodnie z przepisami – rowerzysta powinien zejść z pojazdu i przeprowadzić go przez pasy.

Jednak mimo różnych braków w infrastrukturze ruch rowerowy rośnie, i to w szybkim tempie. Coraz więcej dróg dla rowerów okazuje się wręcz za wąskich, aby bezpiecznie pomieścić wszystkich chętnych. W krajach będących rowerowymi liderami, jak Holandia czy Dania, stawia się coraz częściej na tzw. velostrady jako

w Warszawie, gdzie pożar mostu Łazienkowskiego udało się wykorzystać, aby dodać do niego trasę rowerową. Dzięki niej powstał długi, wygodny i szybki ciąg dla cyklistów – mówi Marcin Hyła, prezes stowarzyszenia Miasta dla Rowerów.

Już wkrótce możemy być świadkami rowerowej rewolucji na Górnym Śląsku. Do tej pory każde z miast Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii (GZM) budowało drogi dla rowerów na swoim obszarze, nie

dróg dla rowerów? – *Nawiązanie do autostrad nie jest przypadkowe. Mają być to szybkie połączenia, o minimum czterech metrach szerokości i odpowiednio wyprofilowanych łukach, odseparowane, bezpieczne i pozwalające na płynną nazwę. Powstaną między innymi na trasach dawnej kolei piaskowej. Budowa velostrady łączącej docelowo Katowice z Mysłowicami zacznie się już w tym roku* – zapowiada Marcin Dworak, pełnomocnik Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii ds. Nowej Mobilności.

Takie właśnie velostrady powinny stać się standardem we wszystkich dużych aglomeracjach, jeśli chcemy zachęcić więcej osób do codziennych podróży rowerem. Stosunkowo łatwo do szybkich połączeń dla rowerzystów wykorzystać bulwary rzek. Tam potrzeba często niewielkich inwestycji, aby stworzyć wygodne trasy, których uczestnicy nie są spowalniani przez światła drogowe.

Inne rozwiązanie to specjalne kładki dla rowerzystów, pozwalające szybko pokonywać na przykład tory kolejowe. Ich budowa jest szybsza i tańsza niż wiaduktów dla samochodów. W teorii rowerzyści powinni też korzystać na budowie czy remontach tras ekspresowych, obok których łatwo tworzyć velostrady. Praktyka jednak bywa inna, co pokazuje przykład przebudowy Trasy Toruńskiej w Warszawie przez Generalną Dyрекcję Dróg Krajowych i Autostrad. Tam co prawda powstała równoległa droga dla rowerzystów, ale trudno nazwać ją wygodną. Cykliści muszą pokonywać wiele serpentyn, lawirując pomiędzy estakadami, bo drogowcy nie chcieli stworzyć dla nich wygodnych rozwiązań.



© GETTY IMAGES

się ich kosztem. Szerokości wielu ulic, zwłaszcza w centrum, nie da się przecież zwiększyć. Także rowerzyści często nie są zadowoleni, bo w Polsce brakuje wciąż jednolitych standardów dotyczących dróg dla cyklistów. Przez wiele lat stosowano na nich niewygodną do jazdy kostkę brukową zamiast asfaltu. Wciąż dochodzi do kuriozalnych sytuacji, gdy na drogach dla rowerów znajdują się słupy latarni czy inne przeszkody stanowiące duże zagrożenie. Brakuje też bezpiecznych przejazdów

trasy w miarę możliwości odseparowane zarówno od pieszych, jak i od samochodów. Na nich rowerzyści nie tylko czują się bezpieczniej, ale też mogą jechać płynniej, a przepustowość takiej trasy znacząco rośnie. To zaś zachęca do przesiadki na ten ekologiczny środek transportu kolejnych mieszkańców. – *Cel jest jasny: rowerem ma być bliżej, szybciej i łatwiej niż samochodem. U nas na razie szybkie trasy są raczej dziełem przypadku niż efektem długofalowej strategii. Tak stało się na przykład*

myśląc o szlakach prowadzących przez całą konurbację. W efekcie jest wiele wygodnych połączeń w obrębie Katowic, Sosnowca czy Tychów, ale brakuje spójnych tras metropolitalnych. Mapa dróg rowerowych w tym regionie wygląda jak niepołączone ze sobą wyspy. To jednak ma się zmienić. GZM przygotowuje program budowy tzw. velostrad. Na razie planowanych jest ich osiem o łącznej długości aż 120 km, mają obejmować 16 gmin. Czym takie velostrady będą się różnić od zwykłych



Górnśląsko
-Zagłębiowska
Metropolia

Górnśląsko-
-Zagłębiowska Metropolia
łączy miejsca, ludzi i wydarzenia

Wspólnie można więcej

41

miast
i gmin

2,3

mln
mieszkańców

2,5

tys. km²
powierzchni

Czas na aktywną mobilność

W Metropolii dążymy do zmiany nawyków mobilności i promujemy rowery jako skuteczny i równorzędny środek komunikacji. Dlatego w GZM powstają velostrady – 120 kilometrów szybkich dróg rowerowych łączących centra miast i gmin oraz Metrorower, czyli system wypożyczalni rowerów GZM, w którym mieszkańcy będą mieli do dyspozycji 7000 rowerów przez 12 miesięcy w roku.

metropoliagzm.pl

Gdzie w Polsce znajdziemy dobre przykłady rozwoju infrastruktury rowerowej? – *Wśród miast liderami są Kraków, Gdańsk i Poznań. Stolica Wielkopolski może pochwalić się najwyższym odsetkiem rowerzystów wśród wszystkich uczestników ruchu. Z kolei Gdańsk to dowód na to, że od ilości ważniejsza jest spójna koncepcja, bo akurat to miasto nie ma wcale wyjątkowo długiej sieci dróg dla rowerzystów. W gronie województw wyróżniłbym Pomorze Zachodnie i Małopolskę. W pozostałych regionach brakuje niestety jasnej strategii. Wiele dróg dla rowerów powstaje przypadkowo, nierzadko bez sensu. Niestety są one dodawane do projektów drogowych tylko po to, by łatwiej zdobyć unijne dofinansowanie* – ocenia Marcin Hyla ze stowarzyszenia Miasta dla Rowerów.

Achodzi przy tym o niemałe pieniądze. W kończącej się perspektywie unijnej 2014–20 (rozliczanej do końca bieżącego roku) Polska dostała aż 458 mln euro na rowerowe inwestycje. Udało się już zaksięgować 315 mln euro. Pod tym względem jesteśmy niekwestionowanym liderem Europy. Jednak do zachodnich standardów rowerowych wciąż nam daleko. Także dlatego, że w przeciwieństwie do wielu krajów unijnych u nas państwo praktycznie w ogóle nie wspiera finansowo rowerzystów. Możemy tylko pomarzyć o takim instrumencie jak dopłaty do zakupu rowerów ze wspomaganiem elektrycznym, z których korzystają na przykład Francuzi, Austriacy, a nawet Węgrzy.

U nas rząd hojnie dotuje kupujących samochody elektryczne – mogą oni dostać prawie 19 tys. zł, a posiadacze Karty Dużej Rodziny nawet 27 tys. zł. Tymczasem dla rowerzystów nie przewidziano ani złotówki. Niewielkie programy oferują tylko niektóre samorządy. Na przykład Gdynia, która dotuje kupujących rowery cargo. Tymczasem właśnie rowery ze wspomaganiem elektrycznym mogą zachęcić

do przesiadki wiele osób, które mają do pokonania większe odległości, nie są w najlepszej formie fizycznej albo zwyczajnie nie chcą przyjechać do pracy spocone i zbyt zmęczone.

Co ciekawe, pod innym względem Polska stała się jednym z europejskich liderów rowerowych. Chodzi o miejskie wypożyczalnie, które w poprzedniej dekadzie pomogły przyspieszyć rowerową rewolucję. Zachęciły one wiele osób do wypróbowania roweru i skłoniły do zakupu własnego pojazdu. W pewnym momencie władze wielu miast uznały,

oraz inicjatywa Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii. Tam, podobnie jak w przypadku budowy dróg rowerowych, do niedawna każda gmina działała osobno. Teraz jednak wysiłki zostaną połączone. – *Nasz system roweru metropolitalnego zastąpi istniejące do tej pory w kilku miastach wypożyczalnie i obejmie zdecydowaną większość gmin należących do Metropolii. W ciągu czterech miesięcy od podpisania umowy z wykonawcą do dyspozycji będzie 1200 rowerów, docelowo ta liczba wzrośnie aż do 7 tys.*

dzisiaj nie chodzi już o to, żeby rower odkrywać. musimy korzystać z niego uczynić jak najłatwiejszym, jak najbardziej naturalnym i równocześnie korzystnym finansowo.



że wręcz nie wypada nie mieć takiej wypożyczalni. Koszt wydawał się niewielki, a korzyści wizerunkowe ogromne. Niestety, ostatnie lata, a zwłaszcza czas pandemii, okazały się trudne dla takich systemów roweru publicznego. Niektóre miasta zaczęły z nich rezygnować, tłumacząc się spadkiem liczby wypożyczeń i trudną sytuacją budżetową. Tak zrobił na przykład Poznań. Wcześniej zlikwidowano krakowski system Wavelo, który nie był w stanie utrzymać się na zasadach komercyjnych, bez miejskiej dotacji.

Z drugiej strony część samorządów kontynuuje działalność swoich wypożyczalni, tak jak np. Wrocław, Łódź czy Warszawa, która właśnie zawarła kolejny kontrakt na najbliższe sześć lat. Miasta wskazują, że po likwidacji pandemicznych obostrzeń liczba użytkowników szybko rośnie. A wielu samorządowców wciąż chce inwestować w takie rowery, o czym świadczy druga już próba stworzenia systemu o nazwie Mevo w Trójmieście i okolicach, opartego głównie na pojazdach elektrycznych,

Chodzi nam o uzupełnienie transportu publicznego. Integracja taryfowa zakłada, że pierwsze 30 minut jazdy będzie bezpłatne dla posiadaczy biletów okresowych (o dłuższej ważności niż dobowe). Rower publiczny idealnie nadaje się do pokonywania tzw. pierwszego czy ostatniego odcinka, czyli docierania do przystanków komunikacji miejskiej czy stacji kolejowych – opisuje Marcin Dworak, pełnomocnik Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii ds. Nowej Mobilności.

Niektórzy chcą testować nieco inne rozwiązania. Zamiast współfinansować wypożyczalnie rowerów przeznaczonych do krótkiej jazdy, planują rozwijać systemy oparte na wynajmie długoterminowym. Taki na przykład jest plan Krakowa. Tam już niedługo ruszy projekt o nazwie LajkBike. W jego ramach mieszkańcy będą mogli tania wynajmować rowery od miasta. Miesięczna opłata za zwykły pojazd wyniesie tylko 29 zł, a za model ze wspomaganiem elektrycznym – 79 zł. Kraków chce w ten sposób przekonać

do regularnej jazdy rowerem osoby wahające się, czy to właściwe dla nich rozwiązanie. Liczy przy tym na to, że wynajmujący będą dbali o pożyczony sprzęt, bo w przeciwnym razie nie zostanie im zwrócona kaucja. Takie rozwiązanie, choć u nas nowatorskie, w wielu krajach europejskich nie są żadną nowością.

Dzisiaj bowiem nie chodzi już o to, żeby rower odkrywać. Musimy pójść o krok dalej i korzystać z roweru uczynić jak najłatwiejszym, jak najbardziej naturalnym i równocześnie opłacalnym. Zarówno pod względem finansowym, jak i czasowym. Hasła zachwalające rower jako rozwiązanie ekologiczne, a przy tym poprawiające stan własnego zdrowia, są oczywiście słuszne. Jednak ich skuteczność pozostaje ograniczona. Każdy dojeżdżający do pracy czy szkoły dokonuje własnej kalkulacji strat i zysków. Jazda rowerem zawsze będzie oznaczać większy wysiłek niż samochodem. Zawsze też będzie zdecydowanie tańsza. Jednak najważniejszym argumentem za wyborem tego środka transportu, zwłaszcza w dużych miastach, może okazać się oszczędność czasu. A to da się osiągnąć, jeśli rowerzyści korzystają z wygodnej, szybkiej i bezpiecznej infrastruktury.

Pora wreszcie zacząć projektować nowe rozwiązania właśnie z myślą o takich celach. Do tego w Polsce droga co prawda daleka, ale przecież jeszcze dwie dekady temu byliśmy na zupełnie innym etapie niż dzisiaj. Rower wciąż kojarzył się z pojazdem dla ubogich, a pierwsze wydzielone odcinki dla cyklistów dopiero powstawały, najczęściej zupełnie przypadkowo i według fatalnych projektów. Być może za kolejne dwadzieścia lat nie będziemy już z zazdrością spoglądać na rozwiązania rowerowych liderów. Musimy tylko zacząć traktować rower nie jako gadżet, dodatek czy obiekt wojny ideologicznej, ale jako pełnoprawny środek transportu. Absolutnie bowiem na to zasługuje.

CEZARY KOWANDA

POSZERZAMY HORYZONTY



Naukowe miesięczniki **POLITYKI**



Majowe numery już w kioskach i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl



LAUREACI NAGRÓD HISTORYCZNYCH POLITYKI 2023 ZA ROK 2022

Werze przedepidemicznej przedstawialiśmy na łamach gazety nominacje do Nagród Historycznych POLITYKI oraz noty jurorów wyjaśniające motywy nominacji. W kolejnym numerze POLITYKI publikowany był już tylko zwięzły komunikat o nagrodach, a niżej podpisanemu przypadała zazwyczaj rola uzasadnienia decyzji Kapituły. Epidemia narzuciła nam konieczność drukowania laudacji – gala Nagród Historycznych odbywała się nie w zamkniętym kręgu zaproszonych gości, lecz publicznie. Wracamy co prawda do normalności, ale zarówno czytelnicy jak i redaktorzy doszli do wniosku, że z innowacji wymuszonej przez pandemię nie należy rezygnować. Oceny i wyroki sądu konkursowego stają się zatem bardziej transparentne. Zaś moja rola, podsumowującego, kurczy się: nie będę przecież powtarzał argumentów z laudacji, które czytelnik znajduje na sąsiedniej stronie. Ograniczę się zatem do kilku refleksji.

Zacznę od stwierdzenia, że coroczne rozpoczęcie pracy jurora jest dla mnie, a dostrzegam to u wszystkich członków Kapituły, początkiem nowej przygody. Przypomina pracę poławiacza pereł czy poszukiwacza złota. Wyczekiwanie: natrafimy na grudki złotego kruszcu? Rok 2022 dostarczył nam wielu radości. Od razu muszę dodać także smutku.

Dlaczego radości? Zgłoszono 144 kandydatury. Po pierwszej selekcji zostało 66, po kolejnej – 47. Ale tu już można było dostrzec gwiazdy, powiedziałbym rój gwiazd, a wśród nich supergwiazdy. Nie, nie wpadam w euforię. Naprawdę rzadko się zdarza, by WSZYSTKIE nagrodzone książki pochodziły z najwyższej półki, a tak jest w roku bieżącym. Więc skąd smutek? Z refleksji, że w każdym innym roku większość nominowanych znalazłaby się na podium. Taki los, taki pech, że zostały wydane w bardzo „tłustym” roku. A regulamin nie pozwala przekładać książki do innego, może chudszego, roku. Paradoks się uwidacznia, zwłaszcza gdy prześledzimy debiuty. Przecież nominacji w kategorii monografii naukowych (Ewa Koźmińska-Frejlak i Bartłomiej Kapica) formalnie są debiutantami książkowymi; w innym niż 2022 r. – nie mam wątpliwości, że zostaliby wyróżnieni nagrodą.



Rok temu wyznałem, iż oczyma duszy widzę jeszcze jedną nagrodę – s p e c j a l n ą. Taką, do której można by zakwalifikować książki wybitne, lecz odstające od kryteriów regulaminowych. I byliśmy w kłopotcie z decyzją, kogo nagrodzić: Andrzeja Friszke (rozmowa Jana Olaszka i Tomasza Siewierskiego) czy Jarosława Kurskiego. Obie – nie nadużywam tego słowa – wyjątkowe! Na szczęście znalazły się dwie pary małżeńskie, które zaofiarowały mecenat nad nagrodą specjalną. Bardzo dziękuję pani **Barbarze Pendzich** i panu **Adamowi Heimrathowi** oraz pani **Barbarze Wójcickiej** i panu **Wojciechowi Znojkwowi** z firmy Sabur. Ulżyło mi, ulżyło nam; nawet nie wiem, na kogo oddałbym głos.

Jeszcze króciutko o trendach, jakie można wyczytać, przeglądając zgłoszone prace. Jeden – to zainteresowanie młodych badaczy schowaną do szafy bądź sponiewieraną tematyką peerelowską i komunistyczną. Zaniechanie skądinąd uzasadnione jako reakcja na politykę historyczną PRL. Ale oto znalazła się spora gromadka badaczy młodego pokolenia, którzy – *sine ira et studio* – chcą ocenić, choćby krytycznie, ważne półwiecze dziejów Polski i nie chcą go przekreślać. Warsztat historyczny laureata naszej nagrody Łukasza Bertrama budzi ogromny szacunek. Chciałbym tu odnotować co najmniej dwa tytuły, które zasługują na uznanie: Elżbiety Kowalczyk wielkie dzieło „Komuniści w Warszawie. Działalność Komitetu Warszawskiego KPRP/KPP 1918–1938” (IPN) oraz Agnieszki Mrozik „Architektki PRL-u. Komunistki, literatura i emancypacja kobiet w powojennej Polsce” (IBL).

Ta ostatnia pozycja jest dla mnie jakby pomostem do innego trendu, który z roku na rok rozrasta i dywersyfikuje się. Uciekam od utartego i niechętnie przyjmowanego terminu feminizm, więc nazwę go: rolą kobiety we wszystkich dziedzinach aktywności społecznej. Nie mam już miejsca na wyliczenie kilkunastu pozycji, jakie wyłowilem, ale jednej nie chcę pominąć, bo mnie wręcz urzekła. To Krzysztofa Umińskiego „Trzy tłumaczki” (Marginesy) – rzecz o Joannie Guze, o Annie Przedpeńskiej-Trzeciakowskiej i o Marii Skibniewskiej. Porywające życiorysy, opisane z maestrią literacką. Jak taką książkę regulaminowo zakwalifikować?... Dziękuję Jurorom, uznanie dla wydawców, laureatom – gratulacje!

MARIAN TURSKI

KATEGORIA PRACE NAUKOWE, MONOGRAFIE

Łukasz Bertram, Bunt, podziemie, władza. Polscy komuniści i ich socjalizacja polityczna do roku 1956,

Wydawnictwo Naukowe Scholar,
Kultura Liberalna, ISP PAN, Warszawa 2022

Praca Łukasza Bertrama zaprzecza aforyzmy, że „socjolog to historyk, któremu nie chce się pracować, a historyk to socjolog, któremu nie chce się myśleć”. Autor jest socjologiem, który myśli, i historykiem, który swoje odsiedział w bibliotekach i archiwach. To połączenie zaowocowało książką wybitną, z pewnością najlepszą, jaka powstała o formacji polskich komunistów okresu



międzywojennego. Pokazuje zróżnicowane motywy zaangażowania do komunizmu i proces socjalizacji młodych ideowców. Ich bunt wyrastał z osobistego doświadczenia nędzy i wykluczenia. Chcieli radykalnej naprawy świata, wzorem była dla nich rewolucja bolszewicka i pierwsze państwo socjalistyczne, choć efekt końcowy miał być lepszy niż za wschodnią granicą. Szczególną rolę w procesie stawania się komunistą odegrała partia, która stała się – trochę na podobieństwo szkół religijnych w krajach muzułmańskich – miejscem socjalizacji, budowania więzi, tożsamości. Natchnieniem był dla nich czekista w skórzanej kurtce, szykował się na przemoc. W tym sensie byli dziećmi swojej epoki, kiedy radykalizm i przemoc były w modzie.

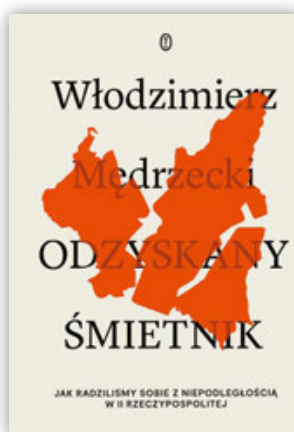
MARCIN ZAREMBA

KATEGORIA PRACE POPULARNONAUKOWE

Włodzimierz Mędrzecki, Odzyskany śmietnik. Jak radziłyśmy sobie z niepodległością w II Rzeczypospolitej,

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022

Przeszłość to obcy kraj – nawet gdy mówimy o przeszłości naszego kraju. „Odzyskany śmietnik...” jest zarazem solidną syntezą historii II Rzeczypospolitej, jak i fascynującym przewodnikiem po kraju, którego już nie ma. Nie ma go, bo w wyniku drugiej wojny światowej utracił blisko połowę terytorium i znaczną część kulturowej różnorodności, która stanowiła jego istotną cechę. Głębokość zmian społeczno-gospodarczych i kulturowych dostrzec



można dopiero, gdy zestawimy naszą współczesność z właściwym obrazem przeszłości. Książka Włodzimierza Mędrzeckiego daje nam taki obraz – zarazem plastyczny, jak i rzetelny. Napisana bogatą i gęstą polszczyzną przedstawia warunki cywilizacyjne, które określały pole możliwości rządów i życie zwykłych obywateli, dramatyczny proces wyłaniania się nowego państwa, zawłóści historii politycznej w demokratycznej i autorytarnej fazie polskiego dwudziestolecia. Podkreśla głębokie wewnętrzne zróżnicowanie kraju: etniczne, regionalne, ekonomiczne i polityczne, uzmysławiając, w jak różnych światach żyli jego mieszkańcy. Pokazuje zwłaszcza realia „Polski lokalnej i drobnotowarowej”, które dziś zbyt często omawiane są pobieżnie, a przecież

żyła w niej znaczna większość obywateli II RP.

DARIUSZ STOLA

DEBIUTY W PRACACH NAUKOWYCH I POPULARNONAUKOWYCH

Jakub Gałęziowski, Niedopowiedziane biografie. Polskie dzieci urodzone z powodu wojny,

Wydawnictwo Krytyki Politycznej,
Warszawa 2022

Odwaga jest słowem, które najpełniej wyjaśnia nagrodzenie tej książki. Była potrzebna



do wyboru tematu, nieznanego i trudnego, dotyczącego dzieci narodzonych z powodu wojny, których narodziny poprzedziła wojenna przemoc seksualna. Były to dzieci, których istnienie pomijano, dzieci wrogów, wojennych zakazanych miłości, z trudną i bolesną tożsamością złożoną z pytań, często bez odpowiedzi. To książka o cierpieniu i o samotności ich matek doświadczonych przemocą albo społecznym tabu, o niełatwych dla nich decyzjach, o trudnej miłości, milczeniu, odrzuceniu. ▶

► Odwaga była potrzebna, żeby pójść w nieznaną przestrzeń badawczą, jej tematyka nie ma bowiem osobnych zespołów w archiwach. Za tą książką stoi wielka praca, która z wielu perspektyw opowiada o tytułowych dzieciach, ich matkach, o Polsce, ale także o innych państwach, o Kościele, o postawach społeczeństwa, niełatwej codzienności. Pokazuje także ludzi, którzy

wbrew społecznemu tabu potrafili dostrzec skrzywdzone kobiety. Opisanie każdej z tych przestrzeni to odwaga stawiania pytań, świadectwo wrażliwości autora, ale także odwaga przyznania, że historyk nie zawsze jest przygotowany do spotkania ze złem i cierpieniem.

BOŻENA SZAYNOK

PAMIĘTNIKI, RELACJE, WSPOMNIENIA

Stanisław Ossowski,
Dzienniki. T. I: 1905–1939;
T. II: 1939–1949;
T. III: 1949–1963,
opracowała Róża Sułek,
Wydawnictwo Naukowe Scholar,
Warszawa 2022

Jeden z pierwszych zapisów Stanisława Ossowskiego, ośmioletniego: „Tatuś wyjechał w sam obiad”. Ostatni powstał, gdy miał 66 lat, półtora miesiąca przed śmiercią. Przez blisko sześćdziesiąt lat prowadził dziennik, zaczął, gdy panował car Mikołaj II, skończył, gdy sekretarzował Władysław Gomułka. W tym czasie wszystko uległo zmianie, on sam jakby w mniejszym stopniu. Już jako student napisał: „Nauka przestała być igraszką do zaspokojenia ciekawości”. Chciał poświęcić się czystej nauce. Do końca życia zachował wobec



niej integralną postawę. Do dziś pozostaje w polskiej socjologii, więcej w polskiej humanistyce, wzorem niedościgłym, klerkiem heroicznym. Nic dziwnego, że w Polsce Ludowej przeszkaźła. W okresie stalinowskim socjologia została uznana za wrogą i burżuazyjną, Ossowskiego odsunięto od nauczania. Socjologiem jednak nie przestał być, prowadził nieformalne seminarium, przyglądał się totalizacji. Charakteryzowała go pasja patrzenia i socjologicznego rozumienia. Potrafił się zatrzymać i zadziwić: a to koniem, który rozwoził mleko

w Cambridge, a to barwną grawitacją w malarstwie Williama Turnera. Słuchał. Można powiedzieć, że polska socjologia narodziła się z ducha muzyki, ponieważ Ossowski regularnie chodził na koncerty muzyki klasycznej. Opracowanie jego dzienników przez Różę Sułek to klasa sama w sobie.

MARCIN ZAREMBA

WYDAWNICTWA ŹRÓDŁOWE

Aurelia Wyleżyńska,
Kroniki wojenne.
T. I: 1939–1942;
T. II: 1943–1944,
pod redakcją Grażyny
Pawlak i Marcina
Urynowicza,
Państwowy Instytut Wydawniczy,
Warszawa 2022

Aurelii Wyleżyńskiej w zupełnie wyjątkowy sposób udało się połączyć to, co osobiste i intymne, z tym, co było zbiorowym doświadczeniem warszawiaków. Bez patosu. Bo ten ją irytował. Często z irytacją i złośliwością. Albo inaczej – z empatią. Zawsze po swojemu.

Jednego dnia Wyleżyńska jest jak reporterka, która oprowadza czytelnika po ulicach zniszczonej Warszawy. Odnotowuje nowe szyldy sklepowe i nowe okupacyjne mody. Zauważa coraz liczniejszych żebraków („ich skargi rozczulają tylko ich samych”),



polsko-niemieckie pary przysiadające na ławkach, antysemityzm. Kolejnego dnia bardziej przypomina socjolożkę, która analizuje mechanizm powstawania pogłosek i plotek. Zastanawia się nad przyszłością kobiet, które podczas wojny były zmuszone nauczyć się samodzielności („Co będzie z takim małżeństwem, gdy on wróci wyczerpany nerwowo, przez długi czas odsunięty od aktywnego życia?”). Dokumentuje procesy społecznej i ekonomicznej degradacji własnej klasy społecznej. Krótkie, nerwowe zdania

i urwane frazy na setkach stron są jak zapis lęku, niepewności, a jednocześnie wyczytać z nich można determinację Wyleżyńskiej, by dostrzec i zapisać jak najwięcej. „Mam poczucie, iż spełniam swą skromną misję” – pisała w marcu 1940 r.

Przeżuwała, że nie doczeka publikacji tekstu. Zginęła podczas powstania, 3 sierpnia 1944 r.

BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA

NAGRODY SPECJALNE

Andrzej Friszke,
Zawód: historyk.
Rozmawiają Jan
Olaszek i Tomasz
Siewierski,
Towarzystwo WIĘŻ,
Warszawa 2022



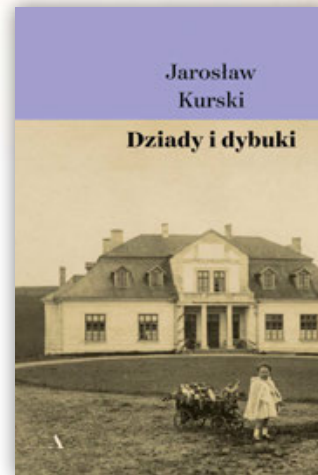
Wyjątkowa opowieść historyka, świadka i uczestnika przełomowych wydarzeń w powojennej Polsce. Andrzej Friszke opowiada czytelnikowi o swojej pracy, pokazuje, co z długiej historii ostatniego stulecia uznał za ważne. Tematyka jego badań dotyczy ludzi nieprzyglądających się biernie światu, opisuje przestrzenie, które tworzyli: rewolucji, wolności, oazy. Dziękując swoim doświadczeniom, mówi słowa ważne nie tylko dla badaczy przeszłości: historyk nie musi oceniać, powinien zrozumieć. Stałym elementem jego pracy są rozmowy, opowiada nam o ludziach, znaczeniu spotkania i umiejętności słuchania.

W wielowarstwowej, emocjonalnej opowieści poznajemy także rodzinną historię bohatera książki, dziesiątki szczegółów znajdujących się poza wielką narracją o PRL-u, zostajemy zaproszeni do opiniotwórczych środowisk i czasopism, „oprowadzeni” po gorących sporach o historię i polityce historycznej. Przejmująca opowieść o życiu osobistym przypomina, że za tytułami naukowymi, osiągnięciami badawczymi jest człowiek.

Zalety tej książki to świetne przygotowanie prowadzących wywiad, szacunek dla ich rozmówcy i czytelnika, odpowiedzialność za treść, którą ich książka zostawi w przestrzeni publicznej na temat niełatwej polskiej historii. To mądra, uczciwa w opowieści, przejmująca książka, która zostawia kawałek światła mądrzejszym.

BOŻENA SZAYNOK

Jarosław Kurski,
Dziady i dybuki.
Opowieść
dygresyjna,
Wydawnictwo AGORA,
Warszawa 2022



Jarosław Kurski, który przez wiele lat rekonstruował dzieje swojej rodziny, odkrył w niej obecność żydowskich dybuków i polskich, słowiańskich dziadów. Ta rekonstrukcja była niezwykła, a zastosowane metody multiinstrumentalne.

Książka łączy w sobie wspomnienia, reportaż, w tym terenowy, dziennikarstwo śledcze, klasyczną monografistykę historyczną. Powstała opowieść uwodzi szczerością, odwagą, otwartością, silną emocją i osobistym tonem. A także tytułowymi dygresjami, biegnącymi w różne miejsca i różne czasy.

Autor został zapytany, kim się dzisiaj czuje. Stwierdza, że według nazistowskich rasistów, a także ortodoksyjnych rabinów byłby uznany za Żyda, jako że matka miała korzenie żydowskie. Powiada jednak, że jest Polakiem, który otwarcie mówi o swych żydowskich parantelach. „Bo polskość jest z natury hybrydowa. Co zresztą stanowi o jej bogactwie i atrakcyjności”.

WIESŁAW WŁADYKA

POLITYKA po raz ósmy podejmuje współpracę z Literackim Festiwalem w Sopocie, który odbędzie się między 17 a 20 sierpnia. Miłośnicy książek historycznych będą mogli spotkać się z wybranymi autorami książek nominowanych do tegorocznej Nagrody.

Nominowało Jury w składzie:

dr hab. **BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA**, prof. dr hab. **DARIUSZ STOLA**, dr hab. **BOŻENA SZAYNOK**,
red. **MARIAN TURSKI**, prof. dr hab. **WIESŁAW WŁADYKA**, dr hab. **MARCIN ZAREMBA**.

Mecenasami Nagród Historycznych POLITYKI są:

zaKS
sprzyjamy wyobraźni

Dantex

BUR
Systemy automatyki



Toruński pomnik przystrojony w narodowe barwy podczas Euro 2012 r. Na sąsiedniej stronie: marmurowe popiersie Kopernika wykonane na zamówienie Jabłonowskiego w 1766 r. przez rzeźbiarza Wojciecha Rojowskiego.

KRZYSZTOF MIKULSKI

Polak czy Niemiec?

Skąd wziął się spór o narodowość Kopernika i na jakie argumenty walczone – przypominamy w 550. rocznicę jego urodzin i 480. rocznicę śmierci.

Uczony żył w XV–XVI w., kiedy normy przynależności narodowej bardzo różniły się od tych przyjmowanych współcześnie. O zaliczeniu kogoś do „narodu” decydowały względy polityczne – zamieszkiwanie w danym państwie, wierność jego władcy, w mniejszym zakresie wyznawana religia, a w jeszcze mniejszym używany na co dzień język.

Dopiero przemiany zapoczątkowane w XVI w. (w kwestiach religijnych, reformacja) i na przełomie XVIII/XIX w. (naród w rozumieniu etnicznym i językowym, a nie wyłącznie politycznym) przyniosły nowe rozumienie przynależności narodowej, które legło u podstaw idei państw narodowych.

Należy więc postawić pytanie – jak Mikołaj Kopernik sam się identyfikował i czy określił swoją etniczną przynależność? Jedyłą ojczyzną, do której bezpośrednio odniósł się w swoim najważniejszym dziele „De revolutionibus” – było jego miasto rodzinne Toruń. Na karcie tytułowej norymberskiego wydania książki opisano jego autora jako: „Nicolai Copernici Torinensis” (Mikołaj Kopernik torunianin).

Nie oznacza to jednak, że brakuje innych, pośrednich dowodów na samoidentyfikację uczonego. Astronom był wiernym poddanym kolejnych królów polskich z dynastii Jagiellonów (za jego życia rządząli Kazimierz IV, Jan Olbracht, Aleksander I i Zygmunt I Stary),

co zgodnie z panującymi wówczas normami prawnymi i obyczajowymi czyniło go Polakiem. Astronom dał dowód przywiązania do ojczyzny, pisząc w Olsztynie 16 listopada 1520 r. list do króla Zygmunta I. Trwała właśnie wojna polsko-krzyżacka, w październiku wojska zakonu wtargnęły na środkową Warmię i dotarły do Lidzbarka, a Kopernik w listopadzie został cywilnym dowódcą zamku w Olsztynie. Zadeklarował w imieniu własnym i innych członków kapituły warmińskiej: „Najjaśniejszy Władco i Panie, Panie Najłaskawszy. Pragniemy polecić Waszemu Świętemu Majestatowi nasze najpokorniejsze służby. Wczoraj wieczorem wrogowie Waszego Królewskiego Majestatu zagarnęli Dobre Miasto (Gutstadt), wprowadzie nieźle zabezpieczone murami, lecz mające niedostateczną załogę. Z tego powodu słusznie niepokoiimy się, bowiem sami także nie jesteśmy dostatecznie zabezpieczeni przeciw takiemu atakowi i obawiamy się, że wrogowie tak już bliscy wkrótce także nas okrążą. (...) Dlatego pokornie błagamy Wasz Święty Majestat, aby raczył jak najspieszniej przybyć nam z pomocą i skutecznie wesprzeć. (...) Pragniemy bowiem czynić to, co przystoi ludziom szlachetnym i uczciwym oraz bez reszty oddanym Waszemu Majestatowi, nawet jeśli przyszło nam zginąć. Pod tegoż Majestatu opiekę się uciekając całość naszego mienia i nas samych polecamy i powierzamy”.

Żeby deklaracji tej przydać odrobinę pikanterii, dodać trzeba, że list nigdy nie dotarł do króla, a zachował się do naszych

czasów dzięki temu, że przejęli go krzyżacy i umieścili w swoim archiwum.

Skąd więc wziął się spór o narodowość Kopernika? O ile w środowisku uczonych już w XVI i XVII w. Kopernik stał się jednym z autorytetów, o tyle do opinii publicznej wiedza o nim przenikała powoli. Dopiero wiek XVIII za sprawą upowszechniania czasopism i tworzenia pierwszych encyklopedii uczynił z astronoma ikonę. Bohatera reprezentującego postęp w nauce i kulturze. Francuscy encyklopedyści traktowali go jako symbol nowoczesnego świata, stawiając obok Kolumba i Erazma z Rotterdamu.

To wówczas pojawił się problem z określeniem miejsca jego pochodzenia. Prusy Królewskie z Toruniem, przyłączone do Rzeczypospolitej jeszcze przed narodzinami astronoma, mylono na Zachodzie z Prusami Książęcymi, zakonnymi, z których powstało Królestwo Pruskie. Stąd np. w wypowiedziach francuskich filozofów XVIII w. Kopernik raz był mieszkańcem krańców Rzeczypospolitej, a raz Prusakiem, czyli w konsekwencji Niemcem. Wolter w listach do Fryderyka II wprost sformułował tezę o konieczności włączenia Torunia do Prus, a jego najwybitniejszego syna do obszaru kultury niemieckiej. Fryderyk II chciał uczcić pamięć Kopernika we Fromborku wystawieniem symbolicznego nagrobka.

Idea upamiętnienia astronoma szybko dotarła do Polski. Jako pierwszy zrealizował ją książę Józef Aleksander Jabłonowski, jeden z najwybitniejszych erudytych czasów saskich. Z jego inicjatywy popiersie Kopernika wykonał w 1766 r. rzeźbiarz krakowski Wojciech Rojowski. Pomnik miał stanąć w Toruniu na Rynku Staro Miasta. „Był on jednak tak zły (z samego tylko krakowskiego kamienia), popiersie Kopernika tak bez kunsztu i gustu wykonane oraz napis tak dziwaczny, że Rada miasta Torunia nie uważała za stosowne wystawić go na widok publiczny” – jak uzasadnili przedstawiciele tej rady.

Jabłonowski nie omieszkiał podkreślić w inskrypcji pomnikowej polskości astronoma. Dedykował pomnik „Polakowi w Prusach urodzonemu” i „filozofowi polskiemu”. Ten najstarszy na świecie pomnik astronoma ostatecznie w 1809 r. z inicjatywy Stanisława Staszica, członka rezydującej czasowo w Toruniu Rady Stanu Księstwa Warszawskiego, został ustawiony w kościele Świętych Janów, gdzie stoi do dzisiaj.

Stanisław Staszic podjął starania o wystawienie Kopernikowi bardziej godnego monumentu w Toruniu. W tym celu zarządzono ogólnokrajową zbiórkę pieniędzy. Klęska Napoleona, upadek Księstwa Warszawskiego i powrót Torunia pod panowanie pruskie przekreśliły ten plan. Kilkanaście lat później Staszic zrealizował swój pomysł... w Warszawie. 11 maja 1830 r. stanął przed dzisiejszym Pałacem Staszica pomnik Kopernika wykonany przez duńskiego rzeźbiarza Bertela Thorvaldsena. W pomnikowych inskrypcjach podkreślono, że wystawili go „Mikołajowi Kopernikowi Rodacy” i wdzięczna Ojczyzna („grata Patria”).

W XIX w. coraz większe znaczenie w określaniu przynależności narodowej zaczęły odgrywać względy formalne – pochodzenie przodków, używany na co dzień język. Spór o narodowość Kopernika został przeniesiony na ten dość grząski grunt. Podstawowym argumentem, mającym przemawiać za polskością astronoma i jego przodków, było nazwisko. Polscy biografowie Kopernika dowodzili, że wywodziło się ono od pospolitej rośliny

– kopru. Dość wcześnie skojarzono też z Kopernikami nazwę miejscową – wieś Koperniki koło Nysy. We wszystkich biografjach astronoma powstałych przed 2015 r. Koperniki były traktowane jako „niewątpliwe” gniazdo rodzinne Koperników.

Tymczasem autor pierwszej niemieckiej, w pełni naukowej, biografii Kopernika Leopold Prowe wskazał, że słowa Kopernik i Koperniki mogły pochodzić od spolszczonej wersji łacińskiego (*cuprum*) i niemieckiego (*Kupfer*) określenia miedzi. Miedź występowała w postaci rudy na terenie Śląska. Towarzyszyła bogatym złożom złota i srebra, które znajdowały się w południowej części tego regionu. W takim rozumieniu kopernicy to górnicy wydobywający rudę miedzi lub rzemieślnicy zajmujący się wytopem tego metalu. Wieś Koperniki to tzw. osada służebna, zamieszkała przez owych koperników, którzy mieli pierwotnie za zadanie wytapianie miedzi – zapewne na potrzeby najbliższego grodu w Nysie. Taką etymologię nazwiska Kopernik przyjęli też z czasem polscy językoznawcy. Warto zaznaczyć, że ojciec Kopernika zajmował się handlem miedzią.

Znacznie więc poprawniejsze jest wiązanie powstania nazwiska przodków Kopernika z uprawianym przez nich zawodem niż z konkretną osadą, która też wzięła nazwę od głównego zajęcia jej mieszkańców.

Nie zmienia to faktu, że samo określenie „kopernik” jest pochodzenia słowiańskiego, podobnie jak wiele innych, analogicznych określeń zawodów (rzemieślnik, miecznik, łucznik, ogrodnik, sukiennik itp.). Powstało na Śląsku na bazie używanej tu lokalnej nazwy miedzi – koper, zapożyczonej czy to z języka niemieckiego, czy z łaciny.

Aby pogłębić związki Koperników z Królestwem Polskim i tym samym polską etnicznością, szybko przeprowadzono

domniemanych przodków astronoma ze Śląska do Krakowa. Już w 1830 r. Adrian Krzyżanowski, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, odnalazł w aktach krakowskich wpis z 1396 r. dokumentujący uzyskanie obywatelstwa miasta Krakowa przez niejakiego Mikołaja Kopernika (Nicolausa Koppirniga). Z innych źródeł wynikało, że ów Kopernik był kamieniarzem, a więc stosunkowo ubogim rzemieślnikiem. Są to jedyne wzmianki o tym człowieku, którego szybko uznano za pradiada astronoma.

Jego synem miał być kupiec Jan Kopernik, który pojawił się w Krakowie w 1433 r. jako plenipotent wrocławianina Jana Banka.

Tenże Jan miał być ojcem Mikołaja, ojca astronoma. Tak ustalona genealogia powtarzana była przez kolejnych historyków (Ignacy Polkowski, Ludwik Birkenmajer, Jeremi Wasiutyński, Karol Górski). Przebywanie Koperników przez trzy pokolenia w Krakowie historycy ci uznali za wystarczająco długi okres, by rodzinie przypisać zdecydowanie polską orientację etniczną i tym samym narodową. Jednak diabeł tkwi w szczegółach. Nie ma dowodów ani nawet poszlak na tak zarysowane związki rodzinne. Ubogi kamieniarz nie mógł liczyć w tym czasie na awans do bogatej warstwy kupieckiej, raczej niemożliwy był też tak wysoki awans społeczny jego potomków. Jan Kopernik pojawił się dwa razy w Krakowie jako czeladnik reprezentujący interesy bogatego pryncypała z Wrocławia ▶



► już w 1429 r., kiedy to wystąpił co prawda tylko z imienia jako knawe (czeladnik) i jako diener (sługa) Jana Banka. Zapiski te świadczą o młodym wieku Kopernika i jego pochodzeniu ze Śląska. Udało mu się osiąść w Krakowie. W 1434 r. został młodszym współnikiem bardzo bogatego kupca krakowskiego Jana Sweidniczera, a w 1437 r. uzyskał obywatelstwo krakowskie. Zapewne w tym samym roku albo rok wcześniej ożenił się (dopiero!) z córką krakowskiego ławnika Piotra Bastgerta. Już te fakty uniemożliwiają uznanie Jana za dziada astronoma.

Mikołaj, ojciec astronoma, pojawił się w źródłach jako początkujący zapewne, ale już samodzielny kupiec w 1447 r. Musiał mieć w tym czasie co najmniej 20 lat lub więcej. Nie mógł więc być synem Jana, który ożenił się ok. 1437 r. Jan i Mikołaj Kopernikowie mogli natomiast być kuzynami i pochodzić z Nysy. Taką tezę stawiam w swojej książce „Mikołaj Kopernik. Środowisko społeczne, pochodzenie i młodość”. W tym miejscu wskazać można tylko, że związki Koperników z Krakowem istniały, miasto to było ważnym etapem w budowaniu ich pozycji społecznej, ale kilkupokoleniową genealogię „krakowskich” Koperników należy przemieścić do kategorii legend.

Wybitny historyk nauki i biograf Kopernika Ludwik Antoni Birkenmajer starał się wykazać też polskość, a przynajmniej śląskość rodziny matki Kopernika – Watzenrodów. Osoby posługujące się takim nazwiskiem spotykamy na Śląsku w XIII–XIV w. w Ziębicach i we Wrocławiu. Brak jednak jakichkolwiek dowodów na powinowactwo śląskich i toruńskich Watzenrodów. Być może obie rodziny pochodziły od wspólnego przodka? Birkenmajer skojarzył jednak nazwisko Watzenrode z niemieckim nazwiskiem panów z Pszenna (niem. Weitzenrode), pochodzących z rycerskiego rodu Wierzbnow. Starał się w ten sposób wykazać etnicznie polskie (śląskie) pochodzenie przodków Kopernika z obu stron: ojca i matki.

Genealogia i tym razem zaprowadziła na manowce. Błędne okazało się też wywodzenie babki Kopernika ze strony matki ze szlacheckiej rodziny Modlibogów, uwiecznione na starej tablicy genealogicznej prezentującej przodków astronoma, którą można podziwiać w Domu Kopernika w Toruniu. Zgodnie z moimi ustaleniami wszyscy przodkowie Kopernika ze strony matki pochodzili z rodzin kupieckich osiadłych od kilku co najmniej pokoleń w Toruniu. Większość z tych rodzin przybyła do Torunia z Westfalii (głównie z dwóch miast: Soest i Dortmundu). Również z Westfalii pochodzili zapewne sami Watzenrodowie. Przyjęli oni nazwisko od miejscowości Wazerath (w średniowieczu określanej jako Watzenrode) położonej w pobliżu granicy belgijsko-niemieckiej.

Najbardziej wysublimowanym obszarem sporu o narodowość był język, którego astronom używał na co dzień, czy szerzej – języki, którymi potrafił się w sposób płynny posługiwać. Ten aspekt tożsamości Kopernika był bardzo chętnie podnoszony przez historyków niemieckich, próbujących dezawuować deklaracje Mikołaja dotyczące wierności królowi i Królestwu

Polskiemu. Wśród argumentów wskazywano: przynależność Kopernika do nacji (związku studentów) niemieckiej na uniwersytecie w Bolonii, pisanie nazwiska przez dwa „p” (Copernicus), wreszcie kilka zachowanych listów astronoma w języku niemieckim. Oczywiście podstawowym językiem naukowych wypowiedzi Kopernika pozostawała łacina, ale historycy starali się przeniknąć głębiej – w jakim języku dyskutował Kopernik z poddanymi, uczestnikami zjazdów stanów pruskich itp.

Polscy historycy odpierali te argumenty: do nacji niemieckiej (stowarzyszenia studentów) na uniwersytecie w Bolonii należeli też Czesi i inni Polacy, którzy z niemieckością nie mieli nic wspólnego, a na uniwersytecie w Padwie astronom przystąpił do nacji polskiej. Listy w języku niemieckim Kopernik pisał m.in. do księcia Albrechta Hohenzollerna, gdyż ten bardzo słabo znał łacinę. Brak listów Kopernika w języku

polskim wynikał z faktu, że językiem urzędowym w Królestwie Polskim była nadal łacina.

Marian Biskup, kolejny z biografów Kopernika, wskazał, że ten „zapisując w »Locationes« [»Lokacjach łąnow opuszczonych« – przyp. red.] imiona i nazwiska chłopów polskich (...) najczęściej trafnie odtwarzał fonetyczne znamiona polskiej mowy”, czyli – znał język polski. Janusz Małek sugerował, że Kopernik używał języka polskiego w debatach z uczestnikami sejmików pruskich, którzy nie znali niemieckiego, a nawet tłumaczył wystąpienia kasztelana gdańskiego Jana Balińskiego na sejmiku w Elblągu

w 1530 r. z polskiego na niemiecki. Można więc przyjąć, że Kopernik znał biegle niemiecki, polski i łacinę, a może też włoski, z którym musiał stykać się podczas wieloletnich studiów w Italii.

Mikołaj Kopernik żył w skomplikowanej mozaice etnicznej ówczesnych Prus Królewskich i Królestwa Polskiego.

W swoim życiu stykał się z ludźmi mówiącymi po niemiecku, polsku i po łacinie. Jego przodkowie ze strony matki pochodzili z terenów Rzeszy, ze strony ojca – ze Śląska. Nosił nazwisko pochodzenia słowiańskiego, ale jego rodzina była wpleciona w sieć powiązań kupieckich między Śląskiem, Krakowem i Toruniem, gdzie dominowali kupcy hanzeatyccy z rodzin etnicznie germańskich. Z drugiej strony jedyną jego świadomością polityczną była przynależność do Królestwa Polskiego – był wiernym poddanym monarchów polsko-litewskich.

Z dzisiejszego punktu widzenia jest przede wszystkim uczonego wielkiego formatu. Urodził się i zmarł w Polsce – zarówno w sensie historycznym, jak też współczesnym. Można przyjąć, że po wiekach etnicznej poniewierki znowu jest u siebie.

KRZYSZTOF MIKULSKI

Więcej w Pomocniku Historycznym „Kopernik nieznanym” do kupienia od 17 maja w dobrych punktach sprzedaży i na stronie sklep.polityka.pl



Manifestacja narodowa w Warszawie w 1873 r., podczas której nałożono wieniec na skronie pomnikowego Kopernika, rysunek Ksawerego Pilatiego, XIX w.



80. rocznica wybuchu powstania w getcie warszawskim



Już w kioskach
i na
sklep.polityka.pl

Zapraszamy na profil <https://www.facebook.com/projektpulsar/>,
a także na polityka.pl/podkasty do wysłuchania rozmów
z cyklu „POLITYKA o historii”



na ekranie

Nienawiść po rumuńsku 5/6

Prześwietlenie (R.M.N.), reż. Cristian Mungiu, prod. Rumunia, Francja, Belgia, 122 min

W drugiej połowie XX w. w zachodniej percepcji dominował stereotyp, w myśl którego Europa Środkowa należała kulturowo do Wschodu i była bliższa Rosji. Po rozszerzeniu Unii kwestia przynależności naszego regionu do wspólnoty opartej na tradycji rzymskiej i oświecenia stała się faktem, ale trudno powiedzieć, by Europa wyszła z tego procesu wzmocniona i odnowiona. W nowo przyjętych państwach kierunek „coraz ściślejszej unii” wzbudził agresywny eurosceptycyzm wspierany odradzającym się prawicowym populizmem, a jego owocem stały się coraz częściej tu manifestowane: ksenofobia, rozděty nacjonalizm i rasizm. O takiej właśnie jawnej faszyzacji małej transylwańskiej wspólnoty opowiada nowy film Cristiana Mungiu, laureata Złotej Palmy w Cannes. Jako że Polska też jest krajem niechętnym okiem przyglądającym się emigrantom o ciemnym kolorze skóry, dlatego oglądaniu go towarzyszyć może przykre niestety wrażenie *déjà vu*. Mungiu dokonuje w „Prześwietleniu” bolesnej wiwisekcji społecznego napięcia podszytego lękiem o swój stan posiadania

lokalsów, mieszanek etnicznych Węgrów, Rumunów i Niemców. Niedawno pozbywszy się Romów, poczuli zagrożenie ze strony szukających tu dla siebie okazji na lepsze życie cudzoziemców ze Sri Lanki. Miejscowi, zapomniawszy, że sami mają mocno splecione, wielonarodowe pochodzenie i jeżdżą na Zachód na saksy, chcą wygnać przybyszów. Mungiu pokazuje cały ten cyrk samonapędzającej się wrogości opartej na zabobonach, umysłowej ciemności i strachu z dużym dystansem, a zarazem w szerszej perspektywie, koncentrując się głównie na psychice i emocjach trójki bohaterów połączonych skomplikowanymi relacjami i rodzinno-uczuciowymi. Wszystko dzieje się w czasie świąt Bożego Narodzenia. „Nie można mieć nadziei na wyliczenie, dopóki nie nazwie się choroby i nie będzie się chętnym do rozmowy, aby zrozumieć, dlaczego tak się dzieje” – tłumaczy reżyser motyw wykreślenia filmu. Pozbawiony retuszu dramat z klasycznym trójkątem miłosnym w tle dla wielu może się okazać ciekawym odkryciem, ale wątpliwym pocieszeniem.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

na scenie

Skąd jestem 4/6

Lena Laguszonkowa, **Mój sztandar zasikał kotek. Kroniki z Donbasu**, reż. Aleksandra Popławska, TR Warszawa

Pod tym intrygującym tytułem kryją się trzy dramaty (obok tytułowego także „Pipidowa” i „Matka Gorkiego”) Leny Laguszonkowej, urodzonej i wychowanej w Stanicy Ługańskiej na Donbasie, portretujące życie na ukraińsko-rosyjskim pograniczu od końcówki ZSRR, przez pomarańczową rewolucję, rosyjską agresję z 2014 r., aż po zeszlóroczny najazd Rosji i trwającą wojnę. Dziś Laguszonkowa mieszka w Bydgoszczy i jest wystawiana w Europie. Główna bohaterka Lena (**Anita Szepelska**) jest typową zbuntowaną nastolatką, z poczuciem niepasowania do otoczenia, napastowaną przez starszych sąsiadów i marzącą o ucieczce z „pipidowy” do Kijowa, do Moskwy, do Cannes. Potem studentką w Ługańsku i Kijowie, szukającą nie tylko swojego miejsca, ale przede wszystkim tożsamości – społecznej, narodowej, seksualnej. Pod tym względem spektakl z TR Warszawa wpisuje się w nurt wyznaczony w naszym teatrze przez adaptacje autobiograficznych książek Didiera Eribona i Édouarda Louisa. Różnicę robi tragiczny, wojenny kontekst, ale też fakt, że w centrum tej historii stoją kobiety i przemoc dotykająca całą społeczność jest pokazywana z ich perspektywy. Mocne są zwłaszcza sceny z nauczycielką ukraińskiego Zinaidą (Magdalena Kuta) i finałowa, z matką Leny (Agnieszka Żulewska). Kiepsko za to wypadł pomysł zrównoważenia małego realizmu wschodnią mistyką spod znaku szepcuch, a także wracające jak namolny refren sceny tańców.

ANETA KYZIOŁ



Razem na dno 4/6

Silos (Silo), twórca serii: Graham Yost,
10 odc., Apple TV+

Na pierwszy rzut oka „Silos” mocno przypomina „Snowpiercera”, tyle że schronieniem dla ocalałych z kataklizmu, który zniszczył planetę, nie jest tu przemierzający pustkowią pociąg, lecz licząca dziesiątki pięter konstrukcja sięgająca w głąb ziemi. Ludzie żyją w niej od pokoleń, kierując się restrykcyjnymi regułami, kontrolującymi nie tylko pracę, lecz także życie prywatne mieszkańców, a także zakazującymi posiadania jakichkolwiek relikwów przeszłości i bezwzględnie karzącymi jakiegokolwiek próby buntu. Jednak coraz więcej ludzi – w tym szeryf Holston (David Oyelowo) i mechaniczka Juliette (Rebecca Ferguson) – jest przekonanych, że poza murami Silosu istnieje życie, a władza ukrywa przed nimi prawdę o zagładzie Ziemi. Kolejną ponurą wizję przyszłości, w której zdziesiątkowana ludzkość rządzona jest przez totalitarną władzę, łatwo zbyć wzruszeniem ramion. Zwłaszcza że bazujący



na powieściowym cyklu Hugh Howeya scenariusz Grahama Yosta – przed laty współtwórcy hollywoodzkich przebojów, takich jak „Speed: Niebezpieczna prędkość”, oraz paru udanych seriali – bezpiecznie korzysta ze sprawdzonych elementów dystopijnej fikcji i nie zapowiada narracyjnej rewolucji, o ile można to ocenić po pierwszych dostępnych w streamingu epizodach. Lecz jednocześnie „Silos” to seans wciągający, choć

mocno podlany goryczą. Bardzo skutecznie stopniuje napięcie, powoli odsłaniając kolejne sekrety, a reszta jest zasługą przekonującej scenografii i świetnych aktorów.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Amerykanka w Londynie 4/6

Dyplomata (The Diplomat), twórczyni serii: Debora Cahn,
8 odc., Netflix

Gwiazda „The Americans”, świetnego, sześciosezonowego thrillera szpiegowskiego osadzonego w czasach zimnej wojny, **Keri Russell** z hukiem wraca do serialowego świata w politycznym komediodramacie „Dyplomata”. I znów znajduje się w centrum globalnej polityki, tym razem współczesnej – grana przez nią świeżo powołana ambasador USA w Londynie stara się zażegnać międzynarodowy konflikt i za wszelką cenę uniknąć powtórki z Iraku. Nie jest łatwo, bo po tajemniczym ataku na brytyjski lotniskowiec w Zatoce Perskiej, podczas którego zginęło ponad 40 marynarzy, opinia publiczna, premier Wielkiej Brytanii i jastrzębie z Białego Domu żądają odpowiednio silnej reakcji, zwłaszcza że w pobliżu widziano irański okręt. Ale widmo kolejnej wojny to niejedyny problem ambasador Wylar. Zagrożeniem jest także jej mąż Hal (**Rufus Sewell**), urodzony dyplomata, z powodu brawury i gwiazdorzenia odsunięty od pełnienia obowiązków i z trudem godzący się z rolą ozdoby swojej żony. Sceny spotkań i rokowań na szczytach władzy – kręcone m.in. we wnętrzach amerykańskiej ambasady w Londynie, w biurach brytyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych w Westminsterze i podmiejskich posiadłościach grających z angielskim wdziękiem rezydencji amerykańskiej ambasador czy brytyjskiego ministra spraw zagranicznych (David Gyasi) – przetykane są żywiołowymi kłótniami małżonków, z bójką w ogrodzie włącznie. Polityka w „Dyplomacie” ma bardzo ludzką twarz, są romanse, przyjaźnie, dramaty, knucie, zdrady i nagie kąpiele w stawach. Nie jest to wszystko może szczególnie mądre, ale za to bardzo wciągające.



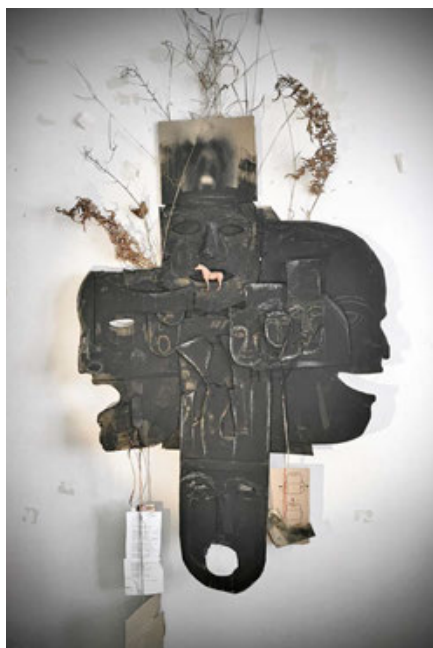
AK

w galerii

Na granicy światów 4/6

Tomasz Hołuj, Ofensywa papierowa,
Galeria Pastula, Poręby Kupieńskie,
do 16 czerwca

Długa jest lista twórców, którzy udanie łączyli tworzenie sztuki z sukcesami na innych polach kreacji: w teatrze, filmie, muzyce, a nawet literaturze. Hołuj jest w tym gronie postacią szczególną, a jego życiorys jest równie interesujący jak jego prace. Zaczynał od malarstwa, ukończył liceum plastyczne, a następnie studia na krakowskiej ASP u samego Jerzego Nowosielskiego. Pisywał (i publikował) wiersze, ale ostatecznie pochłonęła go muzyka. Współtworzył legendarną formację Osjan, z którą dał, jako perkusista, ponad tysiąc koncertów. Później przez długie lata był członkiem



nie mniej ważnego zespołu, czyli tria Tomasza Stańki. Wiele podróżował po świecie, był wieloletnim przewodniczącym Związku Buddystów Zen. Ostatecznie jednak, na emigracji w Szwecji, powrócił do sztuki, wypracowując własny, ciekawy styl artystyczny, budowany w opozycji do mainstreamowych mód i zdystansowany wobec mechanizmów rynku sztuki. Jego prace balansują na granicy między figuratywnością a abstrakcją, malarstwem a instalacją, trwałością a efemerycznością, doświadczeniem duchowym a intelektualnym. Czy można znaleźć jakieś połączenia między jego sztuką a muzyką? Być może jest to balansowanie między tradycją a nowoczesnością, złożona struktura formalna, nieoczywistość, nakładanie się na siebie kolejnych warstw przekazu. Sam artysta niechętnie mówi o swoich malarskich intencjach, zatem poza domysłami pozostaje nam samodzielna zabawa w szukanie sensów. Ale to całkiem przyjemne zajęcie.

PIOTR SARZYŃSKI

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Żywotność u kresu 5/6

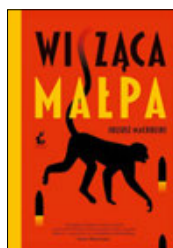
Inga Iwasiów, **Późne życie**, Wydawnictwo Drzazgi, Okoniny 2023, s. 295

Nadmorska miejscowość nad Bałtykiem, budowa wielkiego H'ote-liska i symptomy końca. W takiej scenerii obserwujemy bohaterów powieści Ingi Iwasiów składającej się z wielu głosów, które opowiadają swoją historię. A wszystkie, co zauważamy dopiero po pewnym czasie, łączą się i zahaczają, tworzą polifonię. Sprzęty i internet przestają działać, meduzy na brzegu i inne zjawiska przyrody zdają się zapowiadać kres, w tle jest i wojna w Ukrainie, i pandemia, ale poczucie końca należy jeszcze do innego porządku. Nie wiemy, co zmusza bohaterów do porzucenia dotychczasowego życia, naglej zmiany. Być może bohaterowie Iwasiów realizują rozmaite fantazje, które miewamy wszyscy. W tych opowieściach pojawiają się obrazy, które zostają w pamięci: figura mężczyzny z chłopcem, kobieta zagrzebująca się w liściach,



rozmowy ze śmieciarzem – bo każdy jest przecież „autorem” swoich śmieci, jak uzmysławia sobie jedna z bohaterek. Piękno obrazów jest często tutaj dwuznaczne, tak jak ślady samolotów na niebie, z których każdy mógł nieść bombę. Rytm tej opowieści jest niespokojny, rwany, taki jak nasze łęki czy niewypowiedziane tęsknoty, pragnienia: „Mnie czasem dopada taki obraz, nie wiem, skąd to się bierze. Mocny, wdziera się w nozdrza, w oczy, w płuca. Taki obraz kobiet, jedna przy drugiej, idziemy zagonem, jakieś prace robimy, czuję pragnienie, głód i gorąco” – mówi jedna z bohaterek. W przeżywanym końcu jest u Iwasiów jednocześnie coś niesłychanie żywotnego. Kiedy nagle nadchodzi kres – chce się brnąć dalej w piasku, iść i żyć. Siła życia jest w tej powieści bardzo odczuwalna i zaraźliwa.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Soc-retro 4/6

Juliusz Machulski, **Wisząca małpa**, Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2023, s. 478

Znany reżyser swój pierwszy kryminał zadedykował „Mamie, która zawsze chciała, żebym pisał powieści”. Mama (Halina Machulska) może się cieszyć. „Wisząca małpa” balansuje błyskotliwie na skraju gatunków i zawiera aluzje do klasyki. Schemat jak z dzieł Agathy Christie o Herkulesie Poirot: dom na odludziu, po pierwszej ofierze pojawiają się kolejne, wszystko musi

być rozwiązane na miejscu, w jeden dzień. W pewnym momencie wręcz są wymienione tytuły „I nie było już nikogo” oraz „Zabójstwo przy Rue Morgue” Edgara Allana Poeo (z powodu tytułowej małpy). Jednak, choć jest to kryminał retro, nie cofa się do czasów Christie, Poeo ani nawet „Vabanku”, lecz do lata 1961 r., śródowiska partyjnych notabli, funkcjonariuszy SB i agentów zachodnich wywiadów, a treść wielu rozdziałów stanowią podsłuchy. Parę miesięcy temu poleciał w kosmos Jurij Gagarin, tej nocy powstaje mur berliński, a do pośredniego sprawstwa obu wydarzeń, a także powstania warszawskiego, przynajmniej się kolejno goście poniemieckiej willi. Narratorem jest młody kierowca, ambitny kinoman mieszkający z babcią, który sam zgłosił się do pracy w SB. Miał swoje powody, które na końcu się ujawnią (to z kolei chwyt z „Zabójstwa Rogera Ackroyda”). Rozwiązanie jest karkołomne, ale to przecież tylko zabawa. A że bohaterowi przypominają się „Twist and Shout” Beatlesów na parę lat przed tym, jak to wykonali – to już mało istotny detal.

DOROTA SZWARCMAN



Paranoja jest goła 4/6

Łukasz Krukowski, **Mam przecucie**, Cyranka, Warszawa 2023, s. 166

Mam przecucie” Łukasza Krukowskiego to powieść o współczesnych prorokach, którzy czekają na koniec świata. Jednak nie są zapatrzeni w stare księgi czy przepowiednie – uważnie obserwują kursy kryptowalut, giełdę oraz zakłady sportowe. Wszędzie wietrzą spisek, ale czy mają rację i świat rzeczywiście wkrótce się zatrzyma? Krukowski uważnie opisuje rozwijającą się paranoję u dwudziesto-letniego studenta filozofii, Artura. Przybliży czytelnikom wszystkie stadia rozwoju tego stanu, ale jednocześnie czuć w tym pewien niedosyt. Na rozwinięcie na pewno zasługuje relacja głównego bohatera z koleżanką ze studiów, Alicją – widać między nimi pewną chemię, ale wątek jest urwany. W powieści wszystko dzieje się zbyt dynamicznie. Brakuje trochę miejsca na kontemplację i głębszą analizę niektórych wydarzeń. Bardzo dobry jest natomiast retrospekcyjny opis relacji Artura z jego ojcem, który wprowadził go w świat pieniędzy i kolejnych zakładów. Autor stworzył ciekawą dystopię – takiej historii o polskich preppersach prawdopodobnie jeszcze nie było. Jego proza wyróżnia się szczególnie opisami paranoi: „Mam dreszcze w każdym neutralnym położeniu waha-dła, jednak ono na szczęście nigdy nie przestaje drgać – ani w moim ciele, ani w człowieku wewnętrznym”. Krukowski sprawnie połączył rozpadający się świat w głowie bohatera z klaustrofobicznym ujęciem metropolii. Dzięki temu czytelnik może przyjąć perspektywę bliską Arturowi – wszystko działa na niekorzyść jednostki, nawet coraz wyższe wieżowce. „Mam przecucie” pełne jest niepokojów, ale czytelnicy mogą podejść do tej książki bez obaw.

BARTŁOMIEJ PASIAK

komiksy miesiąca

Puls tamtych dni

Latem 1955 r. ulice Warszawy zatętniły życiem: Festiwal Młodzieży na dwa tygodnie zamienił poszarzałe miasto w roztańczoną metropolię, a na ulice wyszli młodzi ludzie, niby gotowi budować globalny socjalizm, lecz przede wszystkim marzący o tym, by dotknąć wielkiego świata. We wspomniałem „Festiwalu” (Kultura Gniewu, 5/6) Jacek Świdziński, czerpiąc ze wspomnień uczestników i bazując na bogatej dokumentacji fotograficznej, zdołał przypomnieć nie tylko tę propagandową fasadę, lecz przede wszystkim zajrzeć za kuliszy wydarzenia. Losy kilku postaci – przodowników pracy, klientów salonu fryzjerskiego, zagubionego niemieckiego turysty, ulicznika kradnącego pamiątkowe znaczki – układa w uniwersalną opowieść o nadziei i skrywanych pragnieniach, lecz również o resentymencie, zadawanych urazach, fizycznej i symbolicznej przemocy. To komiks kipiący emocjami,



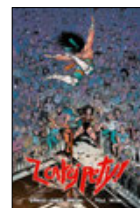
pulsujący jazzowym rytmem, miejscami nieodparcie zabawny, lecz jednocześnie pełen goryczy i smutku: jak Warszawa tamtych dni, gdy kolory transparentów nie były w stanie zasłonić wojennych ran.

Choć Grzegorz Rosiński kilka lat temu wycofał się z tworzenia nowych komiksów o Thorgalu, wymyślony przez niego i przez scenarzystę Jeana Van Hamme'a świat wciąż się rozrasta. Teraz dołączyła do niego nowa seria: „Thorgal Saga”, a każdy jej tom ma być osobną opowieścią oddaną w ręce różnych artystów. Cykl otwiera album „Żegnaj, Aaricio” (przeł. Wojciech Birek, Story House Egmont, 3/6), w którym sędziwy Thorgal, opłakując śmierć ukochanej żony, decyduje się na podróż w przeszłość, nieświadomy, że to pułapka zastawiona na niego przez węży Nidhogga, żądnego zemsty za upokorzenia sprzed lat. Autor Robin Recht jest cenionym twórcą komiksowej fantastyki (w Polsce ukazał się m.in. cykl „Elryk” oraz świetna adaptacja „Conana”), ale jego wersja Thorgala to fantasy tyleż solidna, co zbyt



zachowawcza i podporządkowana dobrze znanym regułom.

Zywności nie brakuje za to „Z całej pety” (przeł. Marcei Szpak, Nagle Comics, 4/6), komiksowej odzie Daniela Warrena Johnsona do wrestlingu – szczególnie w japońskim wydaniu – i popkultury. Główna bohaterka, Lona Steelrose, ambitna młoda wrestlerka, dostaje niecodzienną propozycję: tajemniczy nekromanta obiecuje wskrześlić jej matkę, zapaśniczkę zabita podczas walki na ringu. Warunek? Lona musi zwyciężyć w turnieju, w którym wrestling to nie telewizyjna ustawka, lecz prawdziwa walka do krwi ostatniej. Album Johnsona to oszałamiająca wizualnie parada atrakcji, inspirowana nie tylko zawodowymi zapasami, lecz także mangą, gramami wideo i postapokaliptycznymi wizjami w rodzaju „Mad Maxa: Na drodze gniewu”. Lecz fabuła zapożyczona z kina akcji kryje zarazem całkiem poruszającą historię trudnych rodzinnych relacji, tęsknoty i życia z przygniatającym poczuciem winy. Dla wielu czytelników może okazać się zaskoczeniem.



JAKUB DEMIAŃCZUK

na płycie

Vitamina B 4/6

Vito Bambino, Pracownia, Def Jam

Na scenie popowej Vito Bambino (prywatnie Mariusz Dopieralski) był dotąd często wymarzoną, zapraszany przez wszystkich wokalem gościem: charakterystyczny tembr, nienaganna technika, a jednocześnie naturalność. „Pracownia” to jego drugie autorskie wydawnictwo, po mniej udanym solowym debiucie „Poczekalnia”, ale też bardzo cenionych nagraniach z Bitaminą. Związani z tą formacją Amar Ziemiński i producent Moo Latte pojawiają się tutaj jako kluczowi muzycy współpracownicy. A całość wykorzystuje tę utraconą już pozycję Vito w rodzimym show-biznesie i przyciąga gwiazdorskimi rewidzami: Sanah, Dawida Podsiadły czy Malika Montany. Najmocniej wśród gości błyszczą jednak Ewa Bem we wspólnej opowieści o przemijaniu „Futurismo”: „Cóż za przypadek przepiękny, że żyjemy!”. Bo i cała muzyka Dopieralskiego jest najciekawsza, kiedy konfrontuje popową lekkość z sentymentalizmem lub załamującym się optymizmem. „Jeśli możesz pomóż – nie proś mnie o zdjęcie/Będę miał na nim uśmiech z żelbetonu, a nikt takiego nie chce” – śpiewa w „Widzimisie”. Nie przeżyła tylko serii niezbyt śmiesznych przerywników „Telenieekspres” z Maciejem Orłosiem w roli głównej – płyta i bez nich zasługiwała na podtytuł „Album dopracowany”.

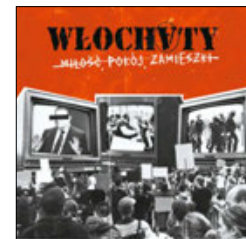


BARTEK CHACIŃSKI

Nie rezygnuj 4/6

Włochaty, Miłość, pokój, zamieszki, Mystic Production

Szceciński zespół legenda, z którym na koncercie w 1989 r. zadebiutowała publicznie Kasia Nosowska, wciąż pozostaje wierny formule anarchopunkowej, co jeszcze kilka lat temu wytykano jako przejaw rockowego skansenu, ale dziś... No właśnie. Piosenki o zabiłaniu planety („Szukamy wody na Marsie/Marnując jej zasoby na Ziemi”), medialnej manipulacji („Ministerstwo dezinformacji/Departament ogłupiania/Zerowanie na ludzkich lękach”), opresyjnym systemie, gdzie „jesteśmy jak w imadle czekając kiedy dokręca śrubę”, okazują się nader aktualne. No i hasła odnoszące się do wolności, potrzeby buntu, walki z tyranią nie unoszą się w semantycznej abstrakcji, ale dotyczą realnych społecznych doświadczeń tu i teraz. Piosenka „Nie rezygnuj” nakłania do aktywizmu („dopóki walczysz, jesteś zwycięzcą”) bez naiwności, ale z wiarą w sens działania, zaś jej tytuł można odnieść nie tylko do politycznych znaczeń tekstów Włochatego, ale – symbolicznie – także do samej estetyki muzycznej, bo w końcu przecież „Punk's Not Dead”. Nie wydaje się zatem, by fanów raziły powinowactwa z punkową czy hardcore'ową klasyką (Conflict, Bad Brains). Liczy się przesłanie i energia dźwięków, których na tej płycie nie brakuje.



MIROSLAW PĘCZAK

Seriale historyczne, o których zgodność z prawdą spiera się dziś świat, najwięcej mówią o współczesności.

Pophistoria

ANETA KYZIOŁ

C

hcę, by ten serial był reprezentacją czarnych kobiet – ogłasza w zapowiedzi serialu „Królowa Kleopatra” Jada Pinkett Smith, narratorka i producentka wykonawcza serii, która

właśnie miała premierę w Netflixie. Najsłynniejszą władczynią Egiptu w hollywoodzkich filmach grały m.in. Elizabeth Taylor czy Monica Bellucci, a w tym fabularyzowanym dokumencie wcieliła się w nią czarna Adele James. Ta decyzja obsadowa wywołała poruszenie do tego stopnia, że egipski prawnik Mahmoud al-Semary oskarżył Netflix o szerzenie treści „sprzecznych z wartościami muzułmańskimi, zwłaszcza egipskimi” i promocję „afrocentryzmu, który zagraża istnieniu egipskiej tożsamości”. Domaga się, by prokuratura generalna wszczęła kroki w celu „zachowania egipskiej narodowej i kulturalnej tożsamości, i skonsolidowania ducha przynależności do ojczyzny”.

Efekt tego wzburzenia jest jak na razie głównie marketingowy – o filmie Pinkett Smith jest głośno. Ale też edukacyjny, bo przy okazji media przypominają historię Kleopatry: zmarłej samobójczą śmiercią w sierpniu 30 r. p.n.e., po 21 latach rządów, ostatniej władczyni Egiptu, urodzonej w Aleksandrii dziedziczki grecko-macedońskiej dynastii Ptolemeuszy. Cytowana przez

„Time” prof. Rebecca Futo Kennedy, historyczka starożytności z Denison University, tłumaczy, że spór o kolor skóry władczyni jest anachroniczny i odzwierciedla dzisiejsze napięcia. Klasyfikacje rasowe to produkt XVII- i XVIII-wiecznej zachodniej nauki i ideologii, i jako takie są nieadekwatne do opisu antyku. Zgodnie z wiedzą historyczną dynastia Ptolemeuszy została założona, gdy Aleksander Wielki podbił Egipt. Faraonowie żenili się między sobą, ale są przesłanki, by uważać, że babka Kleopatry nie pochodziła z rodu grecko-macedońskiego, źródła sugerują, że mogła być Egipcjanką, co w tamtym czasie mogło oznaczać rozmaite geny i odcienie.

W „Variety” krytykom odpowiedziała reżyserka serialu Tina Gharavi: „Kleopatra była oddalona od swoich przodków Ptolemeuszy o osiem pokoleń. Tym samym prawdopodobieństwo, że była biała, wydaje się raczej znikome. Po 300 latach z pewnością możemy śmiało powiedzieć, że Kleopatra była Egipcjanką. Nie była Greczynką czy Macedonką bardziej niż Rita Wilson lub Jennifer Aniston, które mają greckie korzenie. (...) Być może nie chodzi o to, że wyreżyserowałam serial, w którym Kleopatra ukazana jest jako Czarna, ale o to, że poprosiłam Egipcjan, aby zobaczyli siebie jako Afrykanów. I właśnie za to są na mnie wściekli. Nie mam z tym problemu”.



Po lewej: **Adele James jako królowa Kleopatra w fabularyzowanym dokumencie.**

Czy pozew w sprawie koloru skóry postaci sprzed 2 tys. lat ma szanse w sądzie? W 2004 r. greccy prawnicy grozili sądem twórcom filmu „Aleksander” w reż. Olivera Stone’a za sugestię, że Aleksander Wielki był biseksualny. Żądali wyświetlania przed filmem planszy z informacją, że jest to niezgodne z wiedzą historyczną, sąd jednak pozew oddalił.

Historia w kolorach

Dziś filmów i seriali historycznych przybywa w lawinowym tempie, tym bardziej że historią stała się już całkiem niedawna współczesność, lata 80. czy 90. XX w. Aż do niedawna dzieje ludzkości były relacjonowane z perspektywy białocentrycznej, męskiej i heteroseksualnej, w najnowszych produkcjach do głosu dochodzą kobiety i mniejszości. Co wywołuje napięcia i konserwatywną kontrofensywę, a przede wszystkim daje szansę na poszerzenie perspektywy. I czasem bywa przy tym także świetną rozrywką.

Kolor skóry wzbudza największe emocje. „Anna Boleyn”, kostiumowy miniserial brytyjskiej Channel 5 sprzed dwóch lat, w którym tytułową bohaterkę, drugą z sześciu żon Henryka VIII, gra czarna Jodie Turner-Smith, jeszcze przed premierą był bombardowany negatywnymi opiniami i ocenami w serwisach internetowych. Tymczasem kolor skóry aktorki jest tutaj sugestywną

metaforą wyobcowania królowej – kobiety z ambicjami politycznymi. W kluczowym dialogu, w którym wyrzuca mężowi, że obiecał jej wpływ oraz możliwość realizacji ambicji, i w odpowiedzi słyszy, że ona obiecała mu syna, odbijał się finał Euro 2020, z masowym rasistowskim hejtem, jaki spotkał czarnych piłkarzy drużyny angielskiej po tym, gdy nie wyszły im rzuty karne. Jasno pokazał, do kogo należy kraj, a kto jest w nim tolerowany warunkowo.

Wyzwaniem rzuconym konserwatystom jest też wybitnie rozrywkowa – i hitowa – produkcja Netflixa o rodzie Bridgertonów. Serialowa ekranizacja romansidel Julii Quinn, z akcją osadzoną w Londynie epoki regencji, tym się m.in. różni od opowiadających o tym samym okresie powieści Jane Austen, że zaludnia angielską socjetę i dwór królewski postaciami o różnych odcieniach skóry i etnicznych korzeniach. W pierwszym sezonie w główny przedmiot pożądania bohaterek i widzów, księcia Simona, wcielił się czarny Regé-Jean Page. Jednak najwięcej kontrowersji wzbudza czarna królowa Charlotta (Golda Rosheuvel), bohaterka stworzona przez showrunnerkę serii Shondę Rhimes i jedyna postać w serialu mająca historyczny pierwowzór. Właśnie w Netflixie wylądował sezon, który opowiada jej historię od początku, przy okazji tłumacząc fenomen kolorowego dworu i pokazując krętą i niewolną od rasistowskich upokorzeń drogę, jaka do niego prowadziła: „Królowa Charlotta: Opowieść ze świata Bridgertonów”.

Rhimes wykorzystała i twórczo rozwinęła hipotezę, jakoby żyjąca w latach 1744–1818 żona Jerzego III Szalonego i babka królowej Wiktorii, pochodząca z niewielkiego księstwa na północy Niemiec i wywodząca się z portugalskiej rodziny królewskiej, miała w sobie domieszkę krwi Maurów. Zwolennikiem tej teorii jest historyk Mario de Valdes y Cocom, który także uważa, że na portretach w urodzie Charlotty można się dopatrzeć afrykańskich cech. Sam serial otwierają słowa lady Whistledown, tajemniczej redaktorki plotkarskiego pisemka elektryzującego arystokratyczne sfery: „To nie lekcja historii, lecz fikcja inspirowana faktami. Wszystkie odstępstwa autorki tych słów są zamierzone. Przyjemnej lektury!”

„Wielkiej” (HBO Max), kolejnego serialu dziejącego się na mocno zmodyfikowanym (nie tylko rasowo) w stosunku do rzeczywistości dworze, tym razem carskim, nie poprzedza żadna plansza, za to tytuł uzupełnia gwiazdka i dopisek „Historia okazjonalnie prawdziwa”. Showrunner Tony McNamara opowiada dzieje carycy Katarzyny (Elle Fanning) w stylu turbosatiry, z dialogami, które dosadnością, sarkazmem i odwołaniami do popkultury dorównują mistrzowskim wymianom w „Sukcesji”. W jego wersji historii Rosji car Piotr III z ulgą (oraz dzięki pomocy nauczyciela medytacji Dymitrija Kwana) odkrywa, że bardziej niż następcy Piotra Wielkiego podoba mu się rola męża i ojca. Nie obywa się przy tym bez zamachów stanu i terapii małżeńskiej, ale ostatecznie car wspiera swoją ambitną żonę w jej misji cywilizowania Rosji w duchu ideałów oświecenia, okazjonalnie wymagającej zamordowania jakiegoś przeciwnika. Kiedy ukazujący się Katarzynie Wolter z dezaprobatą kręci głową, car uspokaja: „Rosja, stara maciora leżąca w błocie i na ogół zadowolona. Ale jeśli ktoś ją może zmienić, to ty”. A jego ciotka Elżbieta dopowiada: „To jest Rosja, mamy nadzieję na najlepsze, spodziewamy się najgorszego, ale ani jednym, ani drugim zbyttno się nie przejmujemy”. W prawdziwej Rosji produkcja się nie przebiła.

Pod osłoną planszy

Czasem jednak wydarzenia historyczne są tak zaskakujące, a ich bohaterowie tak niestandardowi, że twórcy produkcji na nich bazujących wręcz podkreślają, że niewiele musieli zmienić. To przypadek pokazywanego właśnie w HBO Max miniserialu „Hydraulicy z Białego Domu”, którego pięć odcinków poprzedza napis: ►

► „Bazuje na prawdziwej historii. Żadne nazwiska nie zostały zmienione w celu ochrony niewinnych, bo prawie każdy został uznany winnym”. Afera Watergate, która pogrążyła prezydenturę Richarda Nixona, była wielokrotnie przenoszona na ekrany, obecne dzieło w centrum stawia tytułowych hydraulików, czyli agentów wynajętych do zatkania wycieku tajnych dokumentów do opinii publicznej, a gdy ta misja nie wypaliła, do założenia podsłuchów w sztabie wyborczym Partii Demokratycznej. W wykonaniu Woody’ego Harrelsona i Justina Theroux, niekompetentni i narcystyczni, przypominają gang Olsena. Pokazywany równoległe z „Hydraulikami” i opowiadający tę samą historię z innej jeszcze perspektywy serial „Gaslit” (Canalplus.com) przywołuje zapomnianą postać Marthy Mitchell (Julia Roberts), żony szefa kampanii wyborczej Nixona. Celebrytki i whistleblowerki, która przyczyniła się do ujawnienia taśm Watergate, za co zapłaciła ogromną cenę.

Równie zaskakujący jest rozgrywający się w pierwszej połowie XIX w. na angielskiej prowincji serial „Gentelman Jack”, oparty m.in. na szyfrowanych dziennikach Anne Lister, „pierwszej nowoczesnej lesbijki”. Nosiła się po męsku, chodziła w czarnym surducie i cylindrze, twardą ręką zarządzała odziedziczonym po wujostwie majątkiem, w tym kopalnią węgla, w wolnych



India Ria Amarteifio jako młoda królowa Charlotta i Corey Mylchreest jako król George w „Królowej Charlotte: Opowieści ze świata Bridgertonów”.

chwilach zdobywała górskie szczyty i brała udział w sekcjach zwłok. Romansowała z kobietami, ale jako głęboko wierzącej katoliczce nie wystarczały jej związki partnerskie, naciskała na ślub, który w końcu wzięła podczas prywatnej uroczystości z mieszkającą po sąsiedzku Ann Walker. Zamieszkały razem, połączyły majątki i wspólnie podróżowały. Prawdziwe życie też potrafi być zaskakujące.

Do widzów zaskoczonych rozwojem historycznej akcji na ekranie dołączył właśnie John Major. Były premier Wielkiej Brytanii obejrzał odcinek najnowszego sezonu „The Crown”, w którym jego serialowa wersja knuje z księciem Karolem obalenie królowej, po czym dał wyraz oburzeniu na łamach „Mail On Sunday”. „Wszystkie rozmowy jeden na jeden, które widzicie w serialu, są czystą fikcją. Zostały stworzone po to, by zapewnić dramatyczny efekt i by osiągnąć cele marketingowe, bez względu na prawdę. Ludzie powinni to bojkotować. (...) To są złośliwe bzdury” – ostrzegł zbyt łatwowiernych widzów, gotowych wziąć fabularną fikcję za prawdę. Z tego samego paragrafu oburzyła się też, tym razem wyraz na łamach „Timesa”, brytyjska gwiazda Judi Dench. Pojawił się więc postulat publikacji stosownej planszy przed odcinkami.

Jednak Netflix się nie ugiął, co najwyżej ukłonił, dodając tylko w trailerze informację, że serial jest fikcją opartą na faktach.

Wyświetlanie podobnych napisów jest formą ochrony twórców przed pozwami o zniesławienie. Informacja „Ta seria jest dramatyzacją pewnych faktów i wydarzeń” poprzedza np. osadzony w latach 80. serial o gwiazdach NBA „Lakers: Dynastia zwycięzców” (HBO Max). Jednak były trener Lakersów Jerry West i jego prawnicy uznali, że napis nie zdejmuje z twórców odpowiedzialności za to, w jakim świetle pokazują swoich bohaterów. West zażądał od korporacji przeprosin za „fałszywe i okrutnie złośliwe” przedstawienie go jako „niekontrolującego się, odurzonego gniewoholika” (*out-of-control, intoxicated rage-aholic*) i wprowadzenia korekty. HBO w odpowiedzi przypomniało, że serial „nie jest dokumentem i nie został jako taki przedstawiony”.

A – jak pisał na początku roku „New York Times” – eksperci od pozwów o zniesławienie i hollywoodzkie studia uważnie śledzą rozwój wydarzeń w sprawie pozwu złożonego przeciwko Netflixowi przez Lindę Fairstein. Prokuratorka została sportretowana w serialu z 2019 r. „Jak nas widzą”, gdzie ukrywa dowody i zachęca policję do ostrego przesłuchiwanie podejrzanych, dążąc do szybkiego skazania pięciu czarnych i latynoskich nastolatków za gwałt na białej kobiecie uprawiającej jogging w Central Parku w 1989 r. Po latach wszyscy zostali oczyszczeni z zarzutów. A Fairstein po premierze serialu była narażona na ataki w mediach społecznościowych, wydawca zrezygnował z publikacji jej książki i musiała odejść z funkcji w kilku radach nadzorczych. Pozwała Netflix, argumentując, że jej portret jest „rażąco i złośliwie niedokładny”, a twórczyni serialu Ava DuVernay się z nią nie konsultowała. Prawnicy Netflixu odpowiadali, że scenariusz jest chroniony na mocy pierwszej poprawki jako „artystyczna dramatyzacja kontrowersyjnych i spornych wydarzeń historycznych”. Sędzia federalny orzekł jednak, że roszczenia Fairstein o zniesławienie w pięciu scenach w serialu są wiarygodne, i sprawa trafiła do sądu okręgowego.

Droga fantazji

Spory, choć o innym charakterze, wywołał także głośny „Czarnobyl” autorstwa Craiga Mazina. W sposób niezwykle sugestywny, choć czasem odbiegający od rzeczywistości, przywoływał wydarzenia związane z katastrofą elektrowni jądrowej w Czarnobylu w kwietniu 1986 r., czym wzbudził współczesną dyskusję na temat bezpieczeństwa energetyki atomowej. Ale zamiarem twórców nie było straszenie, cel był ambitniejszy. Craig Mazin tłumaczył go po premierze w 2019 r. w Deadline.com, robiąc aluzje do rządów Donalda Trumpa i kariery postprawdy: „»Czarnobyl« w swojej istocie jest o tym, co się dzieje, kiedy ludzie wybierają ignorowanie prawdy... celebrowanie kłamstwa. Na Zachodzie przywykliśmy uważać, że to dotyczy tylko Sowietów. Że kłamią, i to prawda, robią to. Ale myślę, że już widać, że sami, w USA, też nie jesteśmy odporni na kłamstwo”. A w Collider.com dodawał: „To ostrzeżenie, żeby się bać kłamstw i narracji, tak lubianych przez ludzi gawęd”. Serial miał prowokować do demaskowania kłamstw, także scenarzyści, a przykład dawał on sam, dekonstruując własny serial w kolejnych odcinkach „The Chernobyl Podcast”.

Filmy i seriale historyczne, osadzone w dalszej bądź bliższej historii, nie są i nie powinny być traktowane jako skarbnica wiedzy. Od tego są dokumenty, a podstawową funkcją fabuły jest rozrywka. Jednak z powodzeniem mogą być wstępem do własnego researchu historycznego. W tym sensie nawet fantazje kostiumowe w typie „Bridgertonów” mogą prowadzić do wiedzy o historii i jej mechanizmach. O tym, kto ją pisał, kto w niej jest obecny, a kto musi o to walczyć albo o tym fantazjować. I dlaczego.

ANETA KYZIOŁ

Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna
Kuby Wojewódzkiego

Doda, której grozi pięć lat więzienia za defraudację funduszy na produkcję filmową, nie przyznaje się do winy, czego najlepszym dowodem jest fakt, że przepisała dwa mieszkania na swoją mamę. Sprawiedliwość może jest ślepa, ale lepiej jej nie pokazywać adresu.

Podobno ma powstać film o Magdzie Gessler, a w rolę tytułową wcieli się Katarzyna Figura. Okazuje się, że dwóch potencjalnych producentów nie wie o sobie nawzajem, a prawa do scenariusza budzą wątpliwości prawne. Gatunkowo wyczuwam farsę.

Robert i Ania Lewandowscy zostali ambasadorami polskiej marki rowerowej Storm. Sprytny ruch. Producenta dużo łączy z ostatnim filmem o Robercie. Szczególnie przymiotnik: nieznanu.

Roxi Węgiel została skrytykowana za podobno nieodpowiedni strój podczas egzaminów maturalnych. W sieci rozpętała się burza. Głos zabrali prezydent Duda oraz piosenkarka Doda. Albo odwrotnie.

Na fali euforii związanej z koronacją Karola na króla Karola głos zabrano sumieniem narodu, czyli Paulina Smaszcz. Uznała, że Kamila „obrzydliwie weszła”. Do chwili zamykania tego numeru POLITYKI Pałac Buckingham milczy.

Tygodnik „Nie” ma nowego naczelnego, Waldemara Kuchannego, który deklaruje: „Dalej będziemy gazetą antyklerykalną i antyrządową. (...) Chcemy być godnymi bękartami Jerzego Urbana”. Przypomina mi się sytuacja, jak Paweł Kukiz robił rezerwację stolika: Pana godność? Nie mam.

Serwis Wirtualnedia.pl ustalił fachowo, ile na swych przepowiedniach na YouTube zarabia jasnowidz Krzysztof Jackowski. „Nie umiem dokładnie powiedzieć, jaka

to może być kwota” – ujawnia fachowiec. Niestety nie sprecyzował netto czy brutto.

Żona Modesta Amaro, Agnieszka, wrzuciła na swój profil filmik, w którym jej dzieci bawią się żywą rybą. W sieci larum. Niepotrzebnie. Wszystko się zgadza. Modest i Agnieszka to turbokatolicy, a ryba to znak pierwszych chrześcijan. I tak bawimy się w to od 2 tys. lat.

Ekipa Holding uruchomiła firmę Essa z byłym menedżerem Coca-Coli. Targaną zmianami personalnymi Ekipę Cola może



© PAWEŁ WODZYSKI/DDTV/NEAST NEWS

poprowadzić w dobrym kierunku: że skład przez lata może być taki sam.

Mamy sensację światową. Media podsłuchały rozmowę Roberta Lewandowskiego z Lionelem Messim: „Czy w Barcelonie wszystko w porządku? Tak, jest dobrze. Mieszkasz w Castelldefels? Tak”. Jak słyhać, liczy się nie tylko gol, ale i dobra asysta.

Bartek Jędrzejak z „Dzień Dobry TVN” wyznał, że pracę w programie przypłacił depresją, nerwicą, zaburzeniami lękowymi, dwoma latami leczenia i trzema psychoterapiami. Przypomnę, że Bartek jest prezenterem pogody. Musi mieć naprawdę burzliwe zajęcia.

W nowej reklamie Credit Agricole Bank Polska obok Dawida Podsiadły wystąpił Hubert Urbański. Promując lokatę z oprocentowaniem, pyta o właściwą nazwę kapturki. Lokaty bankowe coś łączy z użytkownikami papuci. Znikomy procent.

Radosław Majdan wypowiedział się o swej byłej żonie Dorocie Rabczewskiej. Twierdzi, że jest nieszczęśliwa i że od 15 lat jest jego stalkerką. Ładne i dyskretne wyznaczenie miłości. Własnej.

Medialna pyskówka pomiędzy twórcami kabaretu Paraniernormalni. Robert Motyka zarzucił Igorowi Kwiatkowskiemu, że zostawił go na lodzie, a Igor Kwiatkowski prosił Roberta, żeby go zostawił w spokoju. I co? Może być śmiesznie bez przebiegania się za kobietę.

„Cezary Kucharski to bardzo mały człowiek, bez horyzontów” – komentuje Tomasz Zawiślak, przyjaciel Roberta Lewandowskiego. „Chciał zrobić z Roberta twarz kabanosów”. Kabanosy mają w sobie coś z byłych kolegów. Są ze składników klasy pierwszej i klasy drugiej.

Współwłaściciel Wirtualnej Polski Michał Brański chce kupić klub piłkarski Lechia Gdańsk, który po 15 latach spada z Ekstraklasy. Świetny ruch. Michał ma doświadczenie w obniżaniu poziomu.

Elżbieta Romanowska poprowadzi program „Nasz nowy dom”. Elżbieta zagrała u Saramonowicza strażniczkę przyrody, u Hoffmana gwałconą dojarzkę, u Pasikowskiego barmankę. Może u Miszczaka zagrać prowadzącą.

Mam bardzo polski życiorys

W moim przekonaniu ważne jest, żeby wyborów życiowych dokonywać, a niekoniecznie je nagłaśniać – mówi aktor i reżyser Olaf Lubaszenko.

Olaf Lubaszenko, właśc. Olaf Sergiusz Linde (na fot. w teatrze Capitol) – aktor filmowy i teatralny, reżyser i producent, prezenter telewizyjny, także wokalista i konferansjer. Studiował socjologię na UW. Grał m.in. w „Krollu”, „Krótkim filmie o miłości”, „Marcowych migdałach”, „Psach”, „Kilerze”, „Piłkarskim pokerze”. Wyreżyserował m.in. „Sztos” i „Chłopaki nie płaczą”. Odtwórca głównej roli we wchodzącym właśnie do kin polsko-czeskim filmie „Bliscy”.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: – **Nie byłeś gotowy na rozmowę. Odkładałeś to spotkanie.**

OLAF LUBASZENKO: – Są chwile w życiu nas wszystkich, kiedy żegnamy najbliższych. Nawet kiedy odchodzi schorowana, starsza osoba – chyba nigdy nie jest się na to przygotowanym. A już na pewno nie w pełni. Mama miała ciężki udar. Spodziewaliśmy się najgorszego, a i tak stało się to bardzo szybko. Można powiedzieć, że śmierć spodziewana również przychodzi nagle. Przez ponad miesiąc, jaki upłynął od jej odejścia, bardziej niż dotychczas rozumiałem sens żałoby. Nie mówię o zwyczaju czy nakazie religijnym. Chodzi o czas, w którym możemy w duszy, w sercu, w emocjach, jakoś poukładać to sobie.

Pożegnać się.

W szpitalu żegnałem się z nią codziennie. Proces żałoby nie jest jednak zamknięty. On trwa i pewnie jeszcze długo będzie ze mną. Przypominają się wtedy

wszystkie rzeczy, których nie zdążyliśmy zrobić. Dla tej osoby, z tą osobą. Dociera do nas, że można było się zachować w sposób bardziej czuły, wyrozumiały, empatyczny. I to chyba najbardziej dojmujące doświadczenie.

Nauczyłeś się sobie wybaczać?

Wszyscy terapeuci mówią o tym, że to jedna z podstawowych umiejętności, a nauka wybaczenia sobie jest procesem długotrwałym. W standardowych, nieekstremalnych czy wręcz patologicznych relacjach, tym, co budzi w nas poczucie winy, najczęściej jest deficyt czasu. Zawsze jesteście kilka kroków spóźnieni. Mówiło się, że policja bywa kilka kroków za przestępcami. W tym wypadku my jesteśmy policją, a przestępcą jest życie, które nam ucieka.

Jak zapamiętałeś matkę?

Była najbardziej niezwykłą osobą, jaką znałem. Szła zawsze własną drogą. Za to ją

najbardziej podziwiałem, ale też sądzę, że to stanowiło największy ciężar, jaki musiała nieść. Nie przystawała do schematów tak dalece, że jako aktorka nigdy nie osiągnęła spełnienia w takim stopniu, na jaki zasługiwała. Bez względu na okoliczności miała zwyczaj mówić, co myśli. Jej niepokorność, duma, przekonanie, że jej wybory artystyczne są słuszne, budziły szacunek, choć niektórych niewątpliwie uwierały i zamykały przed nią drzwi. To zresztą trochę znak czasu. W gonitwie, pod presją ekonomiczną, promowane bywają drogi szybsze i łatwiejsze kosztem tych, które rodzą się w dyskusji, ucierają w twórczym sporze wyrazistych osobowości. Ale moja mama w miarę upływu lat łagodniała.

Ty też taki jesteś?

Z biegiem lat wypracowałem zupełnie inne mechanizmy. Uwierzyłem, że świat można zrozumieć. Ludzi, którzy posiadają odmienne zdanie, inne motywacje

i potrzeby, należy akceptować. Ktoś może uznać, że to książkowa definicja człowieka bez właściwości albo oportunisty. Nie wydaje mi się. Próbuję tak poukładać sobie relacje ze światem, żeby się nie kurwić – o ile to nie za mocne słowo do POLITYKI. Czyli funkcjonować, zachowując swój system wartości, nie krzywdząc przy tym nikogo.

Asia Łamtiugina, twoja mama, miała częściowo rosyjskie pochodzenie. Jej ojciec był Rosjaninem, a matka i cała rodzina pochodziła z warszawskiej Pragi. Czy to w ogóle miało dla ciebie jakieś znaczenie?

To chyba nie jest dobry czas na takie tematy. A może właśnie jest... W domu było dużo płyt bardów, m.in. Wysockiego, Okudźawy, uwielbiałem też romanse Wertyńskiego. I tyle z tej rosyjskości jest we mnie. Nigdy nie popadłem w pułapkę radykalnego światopoglądu. Nie byłem rusofilem ani rusofobem. Chociaż teraz pod wpływem wojny to się bardzo zmieniło – nie ma już miejsca na geopolityczny symetryzm, relatywizowanie argumentów i szukanie psychoanalitycznych usprawiedliwień. Teraz trzeba stać po stronie tych, którzy zostali brutalnie zaatakowani. Tylko i aż tyle. I powtarzam to publicznie od 24 lutego 2022 r.

Zostałeś ochrzczony w cerkwi, długi czas myślałeś, że ojciec twojego ojca był oficerem Armii Czerwonej, co w końcu okazało się nieprawdą. Jaki to miało wpływ na twoje poczucie tożsamości, czy kiedykolwiek myślałeś o sobie w kategoriach „prawosławny”, „z pochodzenia Rosjanin”?

Nikt z mojej rodziny nie był prawosławny. Chrzest w cerkwi to robota niani, która była niezwykle zaangażowaną wyznawczynią prawosławia i jakoś namówiła moich rodziców. Z oczywistych względów nie uczestniczyłem w tamtym procesie decyzyjnym. (*śmiech*) W stanie wojennym – i tuż po nim – odwiedziłem parę razy w Warszawie metropolitę Bazylego, który udzielał mi chrztu we Wrocławiu. Mama odezwała się do niego, bo zarabiała wtedy grosze, a mówiąc wprost – biedowaliśmy. Pamiętam, że kilkakrotnie wspomógł nas, nosiłem do domu żywnościowe rarytasy, które dostawał od wiernych z Podlasia. Wspominam go z sympatią.

Zawsze czułeś się Polakiem.

Chciałem być jak wszyscy chłopcy w moim wieku. Zmusić mnie do czegoś, ale się nie dało. Ukształtowała mnie popkultura lat 70., miłość do piłki nożnej, która przyszła bardzo wcześnie, i pasja do kolarstwa – to drugie to doświadczenie kilku pokoleń chłopców zafascynowanych

Wyścigiem Pokoju, których palce znały ślady gry w kapsle. Chociaż w moich żyłach płynie środkowoeuropejska mieszanka kilku krwi, jestem Polakiem bardzo polskim i mam bardzo polski zyciorys. Chodziłem na religię, nosiłem oporniki w liceum, byłem na pogrzebach Grzegorza Przemyka i księdza Popiełuszki. Nic nadzwyczajnego.

My, Polacy, znamy się na Rosji?

Te relacje rozgrywają się m.in. na poziomie instynktownym. Żywimy niechęć, mamy silne i uzasadnione obawy w stosunku do Rosjan. Wydarzenia po 24 lutego ubiegłego roku jeszcze to pogłębiły. Miną dziesięciolecia, zanim to się zmieni. Nie wiadomo zresztą, w którą stronę. W Rosjanach jest poczucie zawiedzionych nadziei, polegających na tym, że my, bliski dotąd sojusznik i brat w słowiańskości, wybraliśmy ścieżkę zachodnią. Przynajmniej od 1989 r. ta zadra w nich krwawi.

Jest coś takiego jak rosyjska dusza?

Nie wiem i w obecnej sytuacji nie bardzo chcę wiedzieć. Z pewnością istnieje natomiast coś takiego jak rosyjska doktryna polityczna nastawiona na ekspansję, podbój, agresję. Ale czy dusza? Znowu się odwołam do socjologii. Są ludzie, którzy od pokoleń żyją w jakimś miejscu, przypisani do danego regionu na mapie. Zarówno przez tradycję, wychowanie, jak i sumę wspomnień czy traum, wszystko to się składa na ich środkowoeuropejskie doświadczenie. Przyjmijmy, że granica polsko-czeska ma metr szerokości. Tak ją sobie wyobraźmy. To jak zaklasyfikować mieszkańców pięć metrów w prawo i pięć metrów w lewo od tej granicy? Czy ci po prawej są obdarzeni innym poczuciem humoru, bo mają duszę polską, a ci po lewej śmieją się z zupełnie innych dowcipów, bo mają duszę czeską? Można te odległości dowolnie rozszerzać albo zwężać, jednak te podziały, etykiety i kategoryzacje zawsze będą grubym uproszczeniem, spłyceniem tematu. Przecież co jakiś czas przychodzi jedna wojna, druga, trzecia, wszystko zostaje zmiecione, zburzone, a potem odbudowane, wymieszane ze sobą. Ten proces nazywamy historią. I gdzie jest ta dusza? Można jej szukać chyba tylko w kulturze.

W kulturze toczy się spór. Np. dla optymistów polska dusza jest anielska, a dla innych wymaga korekty i większego krytycyzmu.

Ona jest piękna, choć bardzo poroniona, przytłoczona, przerażona impulsami zmian. A zmianę można oceniać w perspektywie 30–40 lat. Naszym problemem jest jakość dyskursu społecznego, który każdą wyrazistą formę

wypowiedzi odbiera jako atak na jednych albo na drugich. Powstają gigantyczne konflikty podsycane przez urazy z przeszłości, chętnie wykorzystywane przez polityków. W końcu może zrozumiemy – my, wyborcy – że skrajną naiwnością jest wierzyć, że politykom zależy na ponadpartyjnym porozumieniu lub na szukaniu życiodajnych konsensów. Im zależy niemal zawsze na podziale. I chciałbym mocno podkreślić, że mój pogląd nie ma nic wspólnego z cieszącym się zasłużenie złą sławą symetryzmem. Takie są po prostu i niestety reguły tej gry. Przyjęliśmy ten system, bo lepszego nie wynaleziono. Polega on na tym, że zyskują wyraziste przeciwieństwa. A nie ci, którzy w sposób rozsądny, koncyliacyjny łączą się w dobrej sprawie – ten model sprawdza się niezwykle rzadko. Być może jednak będziemy tego świadkami przy nadchodzących wyborach.

Optymista z ciebie.

Niekoniecznie. Musimy się pogodzić z tym, że jeśli nie ulegnie zmianie cała konstrukcja pod nazwą demokracja parlamentarna, to te mechanizmy będą hulać jak wiatr po ulicy „Miłość” w piosence Perfectu. Tej o Ewce.

„Nie powinno się patrzeć, jak się robi parówki i politykę. Od środka to dość śmierzcząca sprawa”. Wynotowałem sobie taki cytat z wywiadu rzeki z tobą. Powiedziałeś to kilka lat temu. Zmieniłeś zdanie?

Od tego czasu jakość wędlin drastycznie się pogorszyła. Znaleźć dobrą szynkę, że o kiełbasie nie wspomnę, to duża sztuka. Ale szukajmy, szukajmy. Nie ustawajmy w trudzie. Kra nad nami zamarza, ale jeszcze płynie.

Zraziłeś się do polityki, bo władze nie pozwoliły ci zostać dyrektorem teatru w Częstochowie?

Paradoks polega na tym, że to nie były te władze, które rządzą obecnie Polską. W Częstochowie natomiast udało się wzniecić optymizm zespołu i życzyć teatrowi, żeby miał wspaniałego lidera, który przeprowadzi go przez trudne czasy.

A tak po ludzku, o co poszło?

W skrócie: wszystko rozbiło się o przepisy mówiące o tym, że osoba stojąca na czele samorządowej instytucji kultury nie może prowadzić działalności gospodarczej. Przez trzy miesiące intensywnie pracowałem, wspólnie z zespołem zaczęliśmy mozolnie budować coś wartościowego, a potem pojawiały się kolejne opinie prawne, aż w końcu nadeszła pewność, że z tej sytuacji już nie ma dobrego wyjścia. Pozostały dobre wspomnienia, relacje z pięknymi ludźmi teatru i nie tylko. ►

► **Pis jest dobrą władzą dla ludzi kultury?**

Dla mnie osobiście jest to pytanie czysto teoretyczne, bo nie miałem z nimi do czynienia. Od siedmiu lat telewizja publiczna nie bywa moim pracodawcą. Przez pewien czas po 2015 r. dostawałem stamtąd propozycje, ale wszystkie odrzuciłem i po jakichś dwóch latach przestano mi je składać. Taki jest mój wybór. Bardzo ważę słowa nie ze względu na władzę, której miałbym się obawiać, tylko z uwagi na wszystkich, którzy dokonali innego wyboru. Inne jest moje położenie, czy też moich rówieśników albo starszych kolegów i koleżanek, a inna jest życiowa pozycja 23-latkę wchodzącego do zawodu. Nie zamierzam kogokolwiek stygmatyzować ani oceniać. Gryzę się w język, bo nie chcę, aby powstało wrażenie, że się swoją postawą przechwalam i nią afiszuję. W moim przekonaniu ważne jest, żeby wyborów życiowych dokonywać, a niekoniecznie je nagłaśniać. Wtedy bowiem zmienia się radykalnie kontekst. Rodzi się mianowicie podejrzenie, graniczące niemal z pewnością, że te decyzje nie były powodowane wyłącznie wewnętrznym przekonaniem oraz wyznawanymi wartościami. Lecz również pragnieniem, aby ten wybór został zauważony. A to zmienia reguły gry, narzuca inny porządek oceny sytuacji.

I dlatego nie ma ciebie na barykadach?

Apele, protesty oczywiście podpisywałem, chyba nie mam jednak temperamentu bojownika. Wy tłumaczenie jest zresztą dosyć prozaiczne. W ciągu kilku minionych lat przeszedłem dwie operacje. Wracam do formy, jednak z chodzeniem długo było u mnie umiarkowanie. W czasie pandemii wymieniono mi kolano na tytanowe. Potem jeszcze jedna operacja, nawet trudniejsza niż pierwsza. Ale wiesz, tak sobie myślę, że już niedługo to się zmieni. Czuję, że na początku czerwca będę już w pełni dysponowany. A kiedy zamknę oczy, widzę nawet dokładną datę – to będzie czwarty czerwca. *(śmiech)*

Jak patrzysz na to, co się dzieje w naszym kraju, przypominają ci się filmy Barei?

Najlepiej to widać, gdy się ogląda „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz” i „Misia”. Komedie, które według mnie można nazwać gogolowskimi w duchu moralitetami. Pytanie nie brzmi, ile osób widzi te podobieństwa, a które pytasz, tylko ile osób widzi i to im nie przeszkadza. A ile w ogóle tego nie zauważa. My możemy wymieniać się spostrzeżeniami, a i tak nie przebijemy memów z Sekcji Gimnastycznej. Tylko że ten obieg odbywa się w zamkniętej bańce. Powiedziałbym, że to nawet całkiem spora bania. Problemem jest to,

dłaczego druga strona tego nie widzi albo widzi to doskonale i nic z tym nie robi.

Jak brzmi odpowiedź?

Bo można wygodnie żyć. Czerpać nie-duże i średnie profity, bo te największe to dość wąski krąg uprzywilejowanych grup. Mieć za to łatwiejszą drogę kariery, znaleźć prace w wodociągach albo leśnictwie. Nie wiem, co jeszcze, bo w tamtej bańce nie bywam.

Skoro wspominałeś o swoim zdrowiu: co sądzisz o „Wielorybie”?

Już sam fakt, że założyłeś, że ten film obejrzałem, jest potencjalnie niezbyt grzeczny. Ale ponieważ wiesz, że wybaczałem ci straszne rzeczy, które pisałeś o „Chłopaki nie płaczą”, więc i to ci wybaczam.

Dziękuję. Dlaczego go nie obejrzałeś?

Trochę się obawiałem, że to może być zbyt mocne przeżycie. Czasami się natykam na swoje zdjęcia sprzed 15 lat i rany otwierają się momentalnie. To nie zostało przeze mnie przepracowane. Nie bardzo chyba potrafię o tym mówić. Kiedy przypominam sobie tamtego siebie, człowieka z prawie stoma kilogramami nadwagi, trudno mi zachować spokój. Moje życie, tak jak każdej innej osoby dotkniętej tak znaczną otyłością, było wtedy nieustannym dramatem. Zupełne przeciwieństwo znanego wszystkim archetypu wesołego, rumianego grubasa, co to lubi sobie dużo zjeść i pośmiać się – figury pielęgnowanej przez literaturę, malarstwo i kino. Swoją drogą ciekawe, skąd to przekłamanie się wzięło. Nie sądzę, aby to był przypadek.

Odreagowanie wstydu?

Uśmiechem, żartami, towarzyską atrakcyjnością ludzie otyli często przykrywają smutek i lęk.

Jak ty sobie radzisz z chorobą?

Do dziś towarzyszy mi niepokój, że ona może kiedyś powrócić w pełnej okazałości. Wiesz, co było najbardziej niesamowite w tej historii? Że zdarzały się okresy, kiedy wydawało mi się, że nic się nie zmienia. Po kilku miesiącach wchodzi na wagę w gabinecie lekarskim i słyszę, że przybyło mi 30 kg. Pamiętam ten szok. A sposobem na zagłuszenie przerażenia, który niestety bardzo często wybieramy, jest jeszcze więcej tego, co nas zabija. W tym wypadku więcej jedzenia, picia, słodczy, papierosów, internetu.

Ze stresu?

Drogi Januszu, każdy człowiek wrzucony w bardzo młodym wieku w dorosłą rzeczywistość płaci za to cenę. Czasami ogromną. Pierwszą rolę zagrałem, jak miałem 12,5 roku. I to był stres. Drugą, jak miałem 14, trzecią, jak skończyłem 16. A od 18. roku życia grałem non stop. Wyprowadziłem się

z domu. Mieszkalem w łódzkich hotelach, potem w wynajętych mieszkaniach. Prowadziłem niezdrowy tryb życia, jak moi dużo starsi koledzy, z którymi spędzałem czas. Siły, żeby to znosić, starczyło mi na 15 lat. W międzyczasie zacząłem reżyserować filmy – kolejny element ryzyka. Ty jako doświadczony krytyk filmowy zapewne nieraz wyobrażałeś sobie, ile obaw towarzyszy młodemu artyście niepewnemu swojej wartości. Ja pierwszą recenzją dostałem pałą w łeb. „Gazeta Wyborcza” napisała, że wszystko jest złe, a debiutowałem z wrednych pobudek. Poczuliem się jak krętacz, oszust, pieczeniarka i nie wiadomo kto jeszcze. Dla równowagi po trzech dniach na tych samych kolumnach ukazała się druga recenzja, nad wyraz pochlebna, ale rana została już zadana i – jak to mówią w melodramatach – nie zagoiła się nigdy.

Wajda ostrzegał wrażliwych twórców, co ich czeka. Artysta powinien mieć duszę poety i skórę słonia.

W sensie ścisłym odpowiedzialność jest oczywiście moja, bo w zbyt krótkim czasie podjąłem się zbyt wielu trudnych zadań. Ale przecież nie mam pretensji o złe recenzje – takie są reguły gry i to jest oczywiste. Zawsze jednak będę głośno artykułował sprzeciw wobec tych, w których pracy dziennikarskiej zatarta została granica między krytyką a bardzo brzydkim słowem na „h”. Spokojnie, mam na myśli hejt. *(śmiech)* Jeśli ktoś dla „klików” czy wyświetleń gotów jest wyzbyć się empatii, taktu, jeśli wyszukaną ironię zastępuje prostactką szydera, to budzi mój najszczerzy sprzeciw. A złe recenzje niech sobie będą.

I stąd depresja?

Pewnie też. Do tego trzeba dołożyć przepracowanie, brak właściwych wzorców w najbliższym otoczeniu. Coraz mniejsze możliwości regeneracji spowodowane coraz większymi obciążeniami psychicznymi i fizycznymi. Nastąpiła kumulacja. Mało kto jest na tyle silny, by mając 35 lat, powiedział: stop, wyłączam się na dwa lata, żeby odpocząć. Większość pracuje na maksa, dopóki nie pęknie jakaś kość albo serce.

Przybierając na wadze, nie zdręczałeś się, że nie zagrasz już pewnych ról?

Ja się bałem, że nie zagram już żadnych ról, że w takiej formie nikt mnie nie będzie chciał zatrudniać. Nie wrywałem się, żeby się pokazywać. Zawody oparte na pokazywaniu się ludziom to pułapka. Jak jesteś w bardzo złym stanie i wiesz, że powinieneś na dłużej zniknąć, by dojść do siebie, to cię na to nie stać. W czasie całej mojej zawodowej działalności ani razu nie znalazłem się w takim punkcie, że mogłem sobie pozwolić na rok przerwy.

Potoczne wyobrażenie jest takie, że artyści zarabiają dużo.

To się rzeczywiście zmieniło. Ale w okresie mojej największej aktywności stawki były jeszcze stosunkowo niewysokie. Będąc w depresji, nie ma się też głowy do kontroli wydatków, do rachunków, kalkulacji, oszczędzania. Nie raz i nie dwa zdarzyło mi się nie zapłacić jakiejś raty. Pojawiały się kary, zobowiązania, które trzeba było regulować. Zimno mi się robi na myśl o tamtych czasach. Nie sądziłem, że będziemy się dzisiaj wspominać.

Wciąż jednej rzeczy nie rozumiem.

Byłeś sportowcem, juniorem Legii, kapitanem drużyny reprezentacji artystów w piłce nożnej. I nie nauczyłeś się dbać o zdrowie, kondycję fizyczną?

Nie chodzi o wiedzę, tylko o siłę wewnętrzną, o nienaruszalny imperatyw, którego mi zabrakło. Zniknęła determinacja, samodyscyplina. W ich miejsce pojawiły się smutek, samotność i pustka. Oraz lęk, który im towarzyszy. Ten lęk dotyczy wszystkiego. Że zmienia się ciało, że nie ma po co wychodzić z domu. Te opowieści o niemożliwości podniesienia się z łóżka są jak najbardziej prawdziwe. A ty mi mówisz o trenowaniu.

Samą wolą się tego nie naprawi.

Podstawą jest farmakologia pod kontrolą specjalisty. Żeby wyjść z depresji, trzeba mieć odpowiednio dobrane leki. Drugim filarem jest terapia. Bez oparcia w najbliższych też będzie ciężko. Wszystko musi zagrać naraz. Efekty nie przychodzą od razu. To proces długotrwały. Zdarzają się załamania, momenty, w których się włącza bieg wsteczny, odechciewa się wszystkiego. Żeby się zmotywować, potrzebne jest właśnie wsparcie bliskich. Janusz, nie wyobrażasz sobie, ile razy usłyszałem od przyjaciół, znajomych i całkiem obcych: „weź się w garść”. Na drugim miejscu jest pełne troski: „coś ty z siebie zrobił”, a najniższe miejsce na podium zajmuje moje ulubione, bezpretensjonalne: „ale się spasz”. Usłyszałem to nawet, wchodząc na scenę, ktoś z widzów zareagował spontanicznie, dodając na przedzie swojski wzmacniacz na „k”... I po tej inwokacji musiałem jednak spróbować pobyc przez dwie godziny Janem Sebastianem Bachem w Lipsku.

Myślisz jeszcze o reżyserowaniu filmów?

Odpowiem nie wprost – marzy mi się, aby namówić ekipę do dyskrekcji i zrobić

film pod pseudonimem. Ciekawe, jakie byłyby recenzje i oceny widzów. *(śmiech)* Tylko czy dzisiaj można utrzymać coś w tajemnicy?

Trzymam kciuki. Na koniec chciałem zapytać o tę postać, którą grałeś w filmie „Kiler-ów 2-óch”. Podpowiem, bo pewnie nie pamiętasz: „aktor, co to jest reżyserem”.

Był taki moment, w którym wydawało mi się, że przede wszystkim jestem reżyserem filmowym. Ale koszty tej pracy są naprawdę duże. Jednym z elementów powrotu do żywych i do życia było dla mnie odbudowywanie siebie w teatrze. Do dziś traktuję to jako swego rodzaju terapię. Kiedyś każdy występ wiązał się z ogromnym stresem. Drżały mi ręce, paraliżowała mnie niepewność, niezależnie, czy grałem w przedstawieniu setny czy drugi raz. Teraz, po zmianie wewnętrznych „ustawień”, wreszcie mogę czerpać z teatru radość. Na scenie oczywiście zawsze towarzyszy mi niezbędna dawka mobilizującego napięcia, jednak w końcu mogę powiedzieć z przekonaniem, że teatr daje mi wytchnienie, jest moim azylem.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI
Pełna wersja rozmowy na polityka.pl

WARTO WIEDZIEĆ & WARTO POZNAĆ

PROMOCJA

POLITYKA
SALON NR 114
WNETRZA | ARCHITEKTURA | SZTUKA | STYL ŻYCIA

SZLACHTNE RZEMIOSŁO

TARGI ANTYKWARYCZNE
NA CO PODOBAĆ
W EUROPIE

VINTAGE IS THE NEW BLACK
MIESZKANIA, W KTÓRYCH
ŁĄCZĄ SIĘ EPOKI

ZIELONE MIASTA
OGRÓDY NA DACHACH
I DOLNY DLA DRZEWEK

*Do kupienia w dobrych kioskach
i na sklep.polityka.pl*

Wokół Słońca. Nasze miejsce w kosmosie.

Ilustracje: **Aina Bestard**
Opracowanie tekstu: **Dr. Antonio Hales**
Opieka merytoryczna: **Dr. Milena Ratajczak**
Tłumaczenie: **Karolina Jaszecka**

Ziemia jest małym punkcikiem krążącym wokół Słońca, ogromnej gwiazdy znajdującej się w centrum naszego układu planetarnego. Grawitacja Słońca przyciąga siedem siostrzanych planet Ziemi. Każda z nich jest inna: Wenus to gorąca pustynia, Marsa pokrywa rdzawoczerwony pył, wokół Jowisza kłębią się chmury, niezwykle pierścienie otaczają Saturna. Uran jest ogromną kulą lodową, podobnie jak niebieskozielony gigantyczny Neptun. Pozwólcie się zabrać w fascynującą podróż po cudownych i nieznanach zakątkach Układu Słonecznego.





Na Netflixie pojawił się **film na podstawie „Fanfika” Natalii Osińskiej**, pomostu między współcześnie światową i klasycznie polską powieścią młodzieżową.

Fanfik z życia

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

Tytuł powieści Natalii Osińskiej „Fanfik” z 2016 r. jest wieloznaczny. To określenie literackiej twórczości fanowskiej, dłuższych i krótszych form pisanych przez miłośniczki i miłośników danego dzieła czy popkulturowego uniwersum. Są stare, jak stare są opowieści, ale prawdziwy boom przeżyły z nastaniem internetu. Dlaczego ludzie piszą fanfiki? Bo coś im się nie podoba. Dlaczego autorka zeswatała Asię i Czesia, a nie Asię i Basię? Ja bym zupełnie inaczej poprowadził ten wątek! Im gorzej napisana jest książka, tym więcej fanfików powstaje na jej podstawie (widać to doskonale na przykładzie „Harry’ego Pottera”, gdzie każdy lapsus autorki doczekał się fanowskiej „poprawki”).

Podobną niezgodą jest podszyta powieść Osińskiej. Co należało poprawić? Formułę powieści dla młodzieży, których autorzy niezbyt nadążają za współczesnością. Sposób, w jaki w fikcji przedstawiane są osoby LGBT+ – jako umęczone i nieszczęśliwe. I wreszcie – polską rzeczywistość.

Co czyta młodzież

To ciekawe, ile domniemyanych matek ma „Fanfik”. W poznańskim „Czasie Kultury” Klara Cykorz wskazała na podobieństwa sytuacji wyjściowej z powieścią „Ten obcy” Ireny Jurgielewiczowej. Wydawca kolejnych tomów („Slash”, „Fluff”) w haśle reklamowym zwraca się do młodych odbiorców: „Wasi dziadkowie mieli Sie-sicką, rodzice – Musierowicz, dla Was jest Osińska”. Trop musierowiczowski jest bardzo silny. Raz – że Osińska również pochodzi z Poznania (ukończyła filologię polską na Uniwersytecie im. Mickiewicza)

i mieszka, cytuję, „praktycznie na Jeżycach”. Dwa – że w stylistyce podobnej do kolejnych tomów Jeżycjady utrzymana jest okładka „Fanfika”. Na potencjalną czytelniczkę patrzy zakapturzona postać o niebieskich oczach i z blond grzywką, tyle że zamiast piegami (jak Gabriela Borejko) pokryta jest gwiazdowym pyłem – i zrazu niewidzialnymi, widocznymi dopiero pod światło pigułkami.

Czytelniczki Małgorzaty Musierowicz dzielą się na dwa rodzaje: wierne i zawiązane. Te pierwsze wciąż znajdują w cyklu bezpieczną odskocznnię od rzeczywistości; te drugie nie mogą pojąć, jak autorka takich dziarskich (a przy tym ciepłych) powieści jak „Szósta klepka” i „Opium w rosole” mogła wziąć rozwód z prawdziwym światem, okopując się w przedziwnej inteligencji i twierdzy, do której nie wpuszcza się współczesności (wyśrubowanej heteronormy Jeżycjady nie jest w stanie spełnić nawet przeciętny cisheteryk). Niektórzy te konserwatywne ciągotki zauważyli znacznie wcześniej – Kinga Dunin opisywała je w tekstach krytycznych na początku lat 90. (po czym

przedziwnym przypadkiem w „Nerwusie i Nutrii” pojawił się portret wrednej feministki), a później weszła nawet w bezpośrednią polemikę powieściami „Tabu” i „Obciach”, pisząc o rzeczach, o których w dusznych poznańskich kamienicach się milczy.

Metoda pisarska Osińskiej wyglądała natomiast nieco inaczej – zanurzyła się w wirtualny świat opowieści pisanych przez młodych i dla młodych, tytułowych fanfików, dających wolność ekspresji, eksploracji marzeń i tworzących (niemal) bezpieczną przestrzeń do wyrażania swojej tożsamości (z czego korzystała zwłaszcza społeczność LGBT+) i użyła tego jako bazy dla literatury. Cykorz widziała w tym „wsluchanie w głosy czytelników, potraktowanie ich uwag i marzeń serio” – coś, co nie zawsze się trafia u podążających za różnymi modami twórców obyczajówek i melodramatów.

Siła dystansu

Warto podkreślić, że mimo tych wszystkich prowadzących w przeszłość tropów śledzonych przez starsze czytelniczki i krytyczki, „Fanfik” jest zupełnie samodzielnym tworem, ale znaczące jest imię postaci z okładki. Nawiązujące do bohaterów „Dziewczyny i chłopaka” Hanny Ożogowskiej, klasycznej powieści o rodzeństwie włoczożnym w role genderowe i heczy, jaka wynika z ich zamiany. Oczywiście pod warstwą młodzieżowych awanturek pisarka okazywała się baczna obserwatorką rzeczywistości, jako kobieta mogła zaś pozwolić sobie na ciepły dystans wobec „chłopactwa”, gloryfikowanego u Niziurskiego i innych pisarzy płci męskiej. Podobny dystans ma Osińska, świadoma, że przebywa nie na swoim terytorium. Podchodzi do swoich bohaterów z empatią, ale daje im przestrzeń na łobuzowanie, testowanie granic, zmaganie się ze światem na własnych zasadach. I robi to zanzurzona w obu światach – staroświeckich powieści i nowoczesnego nurtu young adult.

Takich rozkroków jest więcej – powieść zrodziła się jako baśń i nieco tych dekoracji zostało w finalnej wersji, nie ucieka jednak od prawdziwego świata, wręcz przeciwnie, jest on tam obecny (nawet jako wydarzenia „historyczne”, takie jak Czarny Protest); rzeczywistość jednak nie okazuje się narzędziem do dręczenia bohaterów. Fanfiki i inna amatorska twórczość (taka jak opowiadki z serwisu Wattpad) znajdują swoich odbiorców dzięki odpowiednim tagom, czyli etykietkom; w ten sposób czytelniczki odnajdują nie tylko ulubione postaci i tematykę, ale

nawet sposób prowadzenia opowieści. Nawiązują do nich tytuły kolejnych odsłon trylogii Osińskiej – „slash” oznacza łączenie postaci (zwykle męskich) w pary; „fluff” to rodzaj prozy, w której nie dzieje się nic złego. Oczywiście podobnie jak „fanfik” użyte są przewrotnie; książki Osińskiej wymykają się etykietkom i najlepiej je traktować w taki sposób. „Fanfik” był zresztą promowany jako „po prostu” książka dla młodzieży o dojrzewaniu, co w obecnym klimacie politycznym okazało się pomocne w czasie organizowania spotkań z nastolatkami w szkołach.

Po siedmiu latach od premiery „Fanfika”, gdy na ekrany wchodzi netflixowa adaptacja, trudno nie zauważyć, że świat przeszedł zupełną przemianę. Samo wypełnienie luki tematycznej nie robi już takiego wrażenia – tryumfy święci dziś przecież Alice Oseman (POLITYKA 27/22), która pisze dla młodzieży, bo sama jest młodą osobą; piszącą bez dystansu, wręcz przeciwnie, prowadząc bohaterki, które odkrywają swoją tożsamość razem z twórczynią. Największą popularność przyniósł jej komiks „Heartstopper”, miłosna historia dwóch nastoletnich chłopaków.

Jak powieści Osińskiej odbierze „pokolenie Oseman”? Bo można mieć wrażenie, że były one pewną efemerydą, spóźnionym tryumfem „polskiej szkoły literatury młodzieżowej”. Dziś półki z bestsellerami okupują dosłowne fanfiki – takie jak „The Love Hypothesis” Ali Hazelwood (wydana ze znaczkami „Hit z TikToka”), wariacja na temat romansu postaci podebranych z nowych „Gwiezdznych Wojen”. Rzeczy zagraniczne lub zagranicę naśladowane. To literatura czysto użytkowa, ma sprawić frajdę czytelnikom; można mieć słuszne pretensje do jej jakości („Rodzina Monet”, POLITYKA 12), ale trudno nie zauważyć – śledząc choćby komentarze na Wattpadzie – że same odbiorczynie mają dystans do tych produktów i traktują ją jako coś, co kiedyś nazywało się „wstydliwą przyjemnością”.

Prawdziwa euforia

W takim odmienionym świecie zjawia się więc ekranizacja „Fanfika” – to, co kiedyś trzeba było wyjaśniać, jest już znane. Widać to w fabule, która słusznie odchodzi od wyważania otwartych już drzwi. Film wyróżnia się na tle innych produkcji dla młodzieży, które zwykle dość homogenizują dekoracje (jaskrawym przykładem jest netflixowy „Sex Ed”, w którym Wielka Brytania wygląda jak USA); tu cały czas widać Polskę, ale nie nachalnie, w detalach. W „ESD” z 1986 r., ekranizacji książki „Kwiat kalafiora” i „Ida sierpniowa”

Musierowicz, którą odświeżyłem sobie przy tej okazji, stroje bohaterki okazały się bardziej odklejone od rzeczywistości niż garderoba „Fanfika”.

Marta Karwowska, reżyserka filmu, widzi w nim dość uniwersalną historię: „O dorastaniu, pierwszej miłości, ale też o strachu przed bliskością, byciem w relacjach i wychodzeniu z miejsca, które jest dla nas niewygodne. To film o zmianie i o odwadze, której to wymaga”. W 2021 r., gdy ruszały prace nad filmem, portale obiegrała wiadomość o castingu do „Fanfika” – do głównej roli szukano bowiem osoby niebinarnej lub zaczynającej transycję FTM, co wzbudziło pewną sensację; choć obsadzanie odpowiedniej osoby aktorskiej jest dziś cywilizacyjnym standardem („W nowym kinie”, POLITYKA 9/22).

Karwowska podkreśla, że ważny był talent: – *Castingi trwały kilka miesięcy, udało nam się wybrać zespół, który świetnie się uzupełnia i ma chemię. Alin Szewczyk przyniósł autentyczność i uczciwość – a poza tym jest po prostu niezwykle zdolnym aktorem, hojnym, wrażliwym i w kontakcie z partnerem.*

Tylko część obsady miała za sobą szkoły aktorskie, ale dzięki kilku miesiącom prób aktorskich pracy z ciałem, emocjami i improwizacji, młodzi aktorzy na plan weszli po prostu dobrze przygotowani. Galeria szkolnych znajomych z prostych archetypów zmienia się w znacznie pogłębione postaci, jednak bez tanich rozwiązań znanych z innych produkcji młodzieżowych. Dorośli są tłem, ale znaczącym. – *Myszę, że „Fanfik” to trochę taki obraz tego, jak moglibyśmy ze sobą rozmawiać, jak opiekować się samymi sobą i brać za siebie odpowiedzialność, a przede wszystkim jak traktować siebie i innych –* opowiada reżyserka filmu. I widać to właśnie w postaciach rodziców zmagających się z problemami dzieci. Dzięki temu, że film nie robi tabu z emocji i seksualności, ale unika fetyszowania tych problemów i przeżyć, może spełniać funkcję edukacyjną. – *„Fanfik” normalizuje to wszystko, co i tak przeżywamy, tylko dopiero uczymy się, że nie trzeba tego chować, że można otwarcie rozmawiać –* mówi Karwowska.

Film w ciekawy sposób rozgrywa rozszczepienie rzeczywistości, pokazując baśniową krainę fanfików. Najpiękniejsza zaś scena odtwarza okładkę książki – prawdziwy moment euforii. Oto bohater w bluzie z kapturem idzie w zwolnionym tempie przez deszcz złotego konfetti; dokonuje się transformacja podobna tej, którą pokazał Christopher Reeve, gdy samą kontrolą postury z Clarka Kenta zmienił się w Supermana. ■

Nie mamy innego kraju

Instytucje państwowe są podkopywane. To najgroźniejszy rodzaj przemocy, bo jej sprawcą jest bliski, który powinien troszczyć się o nasze bezpieczeństwo – mówi o swoim kraju izraelska pisarka **Zeruya Shalev**, której nowa, znakomita powieść „Los” właśnie się ukazała po polsku.

JUSTYNA SOBOLEWSKA: – W powieściach opisuje pani związki miłosne i właśnie w ten sposób w prasie niemieckiej interpretowała pani ostatnie wydarzenia polityczne: jako tragiczny związek miłosny między premierem Beniaminem Netanjahu i Państwem Izrael. Państwo, które kochał, zawiodło go, oskarżając o korupcję?

ZERUYA SHALEV: – Tak, to fascynujące obserwować, jak modele dotyczące związków i rodziny okazują się sprawdzać także w przypadku polityki. Jeszcze kilka lat temu Netanjahu był jednym z największych miłośników państwa, któremu poświęcił całe życie, jednak w chwili, gdy to państwo zaczęło go podejrzewać, z oddanego partnera przeistoczył się w przemocowego męża. Z jego punktu widzenia państwo go zdradziło i jak całkiem wielu zdradzanych mężczyzn, niestety, reaguje przemocą. Od lat atakuje instytucje państwowe, takie jak policja i system sądowniczy, podburza społeczeństwo, wciąga państwo w zbędne kampanie wyborcze, a gdy na koniec zwycięża, buduje niebezpieczną koalicję ze skrajnymi elementami, obwieszcza reformę systemu sądownictwa, która w praktyce jest przewrotem, świadomie szkodzi gospodarce i bezpieczeństwu państwa.

Przez Izrael niedawno przeszły gigantyczne demonstracje, brała pani w nich udział...

Tak, to było przebudzenie patriotyczne ludzi, którzy z czasem mniej identyfikowali się z państwem z powodu znużenia, krytycznego podejścia lub niechęci do izraelskiej polityki, ludzi, którzy woleli żyć raczej życiem osobistym, ale przebudzili się w chwili, gdy zrozumieli skalę zagrożenia. I wtedy obudziła się także miłość do państwa mimo jego wad, poczucie, że trzeba go strzec. I przekonanie, że to, co osiągnęliśmy tutaj w ciągu 75 lat, to niemal cud. I że nie mamy innego kraju, tak jak śpiewa się na protestach.

Czy dla pisarki to przejście do aktywizmu było naturalne?

Rzeczywiście dwa razy przemawiałam na demonstracjach w Tel Awiwie i Hajfie.



© CORINNA KERN/LAIFORUM

Zeruya Shalev (ur. 1959 r.) – najgłośniejsza i najczęściej tłumaczona współczesna pisarka izraelska. Międzynarodowy sukces przyniosło jej „Życie miłosne”, które przełożono na ponad 20 języków. Powieść „Mąż i żona” nagrodzona została niemiecką Corine – Internationaler Buchpreis. Oprócz tego autorka otrzymała trzykrotnie izraelską nagrodę ACUM, francuskie Prix Amphip oraz Prix Femina, a także Welt-Literaturpreis za całokształt twórczości. Trylogię rozpoczętą „Życiem miłosnym” zamyka powieść „Po rozstaniu”. Kolejne powieści to: „Co nam zostało”, „Ból”, a teraz w Wydawnictwie W.A.B. ukazał się „Los” w przekładzie Magdaleny Sommer.

U mnie także doszło do takiego przebudzenia. Do tej pory byłam zaangażowana przede wszystkim w działalność ruchu „Kobiety czynią pokój” (hebr. Naszim Osot Szalom), poza tym nieczęsto wyrażałam publicznie poglądy polityczne. Nie mam temperamentu działaczki, wołałam skupiać się na swojej twórczości i nie mieszałam jej z polityką. Chyba że jest to coś, co jest organicznie związane z samą opowiadaną historią, jak w powieści „Los”, kiedy postać Rachel przeżywa osobiście wydarzenia dotyczące początków państwa.

Ale w chwili, gdy zobaczyłam w transmisji na żywo ministra sądownictwa zapowiadającego „reformę”, wszystko się zmieniło. Było dla mnie jasne, że każdy powinien zrobić wszystko, co tylko może, by to powstrzymać. To jest coś poza różnicami poglądów politycznych, lewicą czy

prawicą. To zmiana zasad, zmiana reguł gry. To próba kontrolowania systemu wymiaru sprawiedliwości przez polityków. Wszystko to po to, by ocalić Netanjahu przed groźbą sądu.

Czy nie obawia się pani ograniczenia wolności słowa?

Kwestia wolności słowa naturalnie unosi się w powietrzu. Na razie się o tę wolność nie obawiam, ale to jasne, że jeżeli zaistnieją warunki dyktatury, wszystko może się zmienić. Trzeba być czujnym. To jeden z powodów, dla których tak wielu ludzi wychodzi na ulice.

Przeżyła pani zamach w 2004 r., w każdej rodzinie znajdzie się ktoś, kto był ranny lub zabity. To poranione społeczeństwo jest zdolne do solidarności? Czy to było widać podczas demonstracji?

To jest zjawisko, które najbardziej mnie cieszy i dodaje mi otuchy od kilkudziesięciu lat. Ten protest, demonstracje, przebudzona solidarność. Obyśmy tylko potrafili ją zachować. Oby udało nam się zjednoczyć pod parasolem liberalnych wartości i pozostawić na marginesie ludzi o skrajnych poglądach, skorumpowanych i fanatyków.

Pisała pani o tym, że prywatna wojna premiera może zagrozić bezpieczeństwu Państwa Izrael. Wrogowie zewnętrzni cieszą się z konfliktu wewnętrznego. A historia pokazuje, jak kruchy jest to kraj. Jak pani widzi przyszłość?

Bardzo się tego obawiam. Zaledwie w tym jednym tygodniu wystrzelono z Gazy ponad 100 rakiet na osady położone na południu, w reakcji na to izraelska armia przeprowadziła atak. Najmniejsza zapalka może doprowadzić do pożaru na kilku frontach. I to w czasie, gdy Iran jest coraz bliżej nas, naszej północnej granicy, poprzez Syrię. Izrael jest zagrożony z wielu stron, a Bibi wie o tym najlepiej. Dlatego jestem tak bardzo zła na niego. Jak śmie narażać nas w ten sposób?

Wierzę jednak, że dzięki tym imponującym protestom nie dojdzie do zamachu stanu. Mam nadzieję, że izraelska polityka zmieni oblicze, kiedy Netanjahu zejdzie ze sceny. Mam nadzieję, że powstanie duży oboz centrowo-liberalny, koalicja, która spróbuje uleczyć nasze rany poprzez stworzenie szerokiego wspólnego mianownika. Obyśmy tylko po drodze nie musieli przeżyć kolejnej wojny.

Polaryzacja społeczeństwa to też podziały w rodzinie. Opisuje pani w „Losie” ten paradoks, że dzieci państwowców, budowniczych państwa, ateistów, stają się religijnymi ortodokсами. Znajdują w religii pocieszenie. Rodzicom trudno się z tym pogodzić, a przecież chyba nie da się projektować przyszłości swoich dzieci?

Atara, jedna z bohaterek powieści, w końcu zaczyna to rozumieć. Jak absurdalne jest złudzenie, że możemy planować i kontrolować rozmaite rzeczy w życiu naszych najbliższych albo że możemy ich uszczęśliwić. Nie warto podejmować tego desperackiego wysiłku, lecz jest to jedna z tych prawd, które docierają do nas często dopiero pod koniec życia. To nie jest tak, że nie mamy wpływu na nasze dzieci, jesteśmy przecież głęboko w nich zakorzenieni, lecz nasz wpływ nie zawsze działa w kierunkach, jakich byśmy sobie życzyli.

Rachel i Atara, dwie główne bohaterki powieści, są połączone historią z przeszłości. W pani książkach przeszłość

promieniuje, jest najważniejsza, co zrobić, żeby nie być jej więźniem?

Chciałabym wiedzieć. Odczuwam to promieniowanie ze względu na moją osobowość, staram się z tym walczyć, z biegiem lat się to poprawia, lecz zbyt wolno.

Rachel przez całe życie rozpamiętuje historię z czasów młodości – śmierć swoich towarzyszy. Kim byli ci zapomniani bojownicy, których później państwo nie uznało i nie uczciło ich pamięci?

Byli to bojownicy organizacji podziemnej LECHI, która została powołana w 1940 r. aby walczyć z władzami brytyjskimi w Ziemi Izraela. Była to niewielka i radykalna grupa, jej członkowie z jednej strony wyznawali ideologię rewizjonistyczną, z drugiej antyimperialistyczną i wierzyli, że wrogiem nie są Arabowie, lecz Brytyjczycy. Ze względu na te nieakceptowane poglądy, szczególnie postulat stosowania terroru wobec Brytyjczyków, byli poddani ostracyzmowi. Także po powstaniu państwa traktowano ich podejrzliwie i przez wiele lat dyskryminowano. Rachel doświadczała tego bólu przez całe życie.

„Żyłam, bo większość moich towarzyszy zginęła” – mówi Rachel. Czy historia jej wczesnej miłości ma coś wspólnego z historią pani matki – o utraconej pierwszej miłości, której matka nie mogła odżałować?

Oboje moi rodzice przeżyli swoje wielkie miłości, zanim się poznali, i oboje często o tym opowiadali mi i mojemu bratu. Te ich wczesne uczucia były bardzo obecne w naszym domu, gdy byłam dzieckiem. Bardziej od ich wzajemnej miłości, dzięki której przyszłiśmy na świat. To prawdopodobnie jeden z powodów, dlaczego zajmuję się w moich książkach badaniem historii miłości. Miłość była zawsze dla mnie odległą opowieścią, czymś zasłyszonym, słowami wymawianymi smutnym głosem, wspomnieniami, których nie można było zapomnieć.

Przygląda się pani w powieści różnym związkom miłosnym, również relacjom z dziećmi – Atarze wydaje się, że jest blisko ze swoją córką, ale córki nie ma przy niej, kiedy tego potrzebuje, kiedy jest w żalobie. Wtedy pojawia się wsparcie od niemal obcej Rachel.

Bez wątplenia nieobecność córki to dotkliwy cios dla Atary. To naturalnie prowadzi nas do trudnych pytań na temat macierzyństwa. Na przykład na czym polega zdrowe macierzyństwo, jaka jest odpowiednia bliskość. Może właściwie

to w reakcji córki Atary jest coś zdrowego, coś, co świadczy o umiejętności dbania o siebie? Rachel co prawda jest osobą prawie obcą, lecz obie kobiety łączą wielkie siły, podziemne jak korzenie, które naturalnie wiążą się z przeszłością, ale mogą wpływać także na przyszłość. Rachel i Atara mogą dać sobie nawzajem zrozumienie, a ze zrozumieniem może nadejść też naprawa. Jak to się mówi u nas w nawiązaniu do znanej żydowskiej opowieści – dopóki pali się świeca, można jeszcze wszystko naprawić.

W tej powieści pojawiają się nie tylko cytaty biblijne, jak zwykle w pani książkach, ale i opowieści chasydów. Rachel nie lubi tych przypowieści, a czym one są dla pani?

Mój stosunek do opowieści chasydów zmieniał się z biegiem lat. Ojciec zwykł czytać nam na głos przed snem niektóre opowiadania Nachmana z Bracławia, obok opowiadań Kafki, „Odyssey” i innych rzeczy. Pamiętam, że się ich wtedy bałam. Dzisiaj mają dla mnie wielki urok.

„Los” jest powieścią o utracie i poczuciu winy. Atara dochodzi do momentu, który jest jakimś pogodzeniem się z życiem: „nagle rozumie, że nigdy nie miała niczego”.

Czy los to zgoda na brak?

Zdolność do pogodzenia się z rzeczywistością to chyba warunek konieczny do osiągnięcia szczęścia, a przynajmniej spokoju ducha. Wydaje się, że po tylu latach wyczerpujących i desperackich starań zapanowania nad losami swych bliskich, po przeżyciu wielkiej straty, gdy została niemal przygnieciona głazami poczucia winy, Atara udaje się wreszcie znaleźć drogę do innej perspektywy. Poddaje się losowi, i to jest w znacznym stopniu wyzwalające.

W pani powieściach rodzina jest krucha, teraz widać, że i państwo, i demokracja takie są. I że potrzebują porozumienia obu stron, tak jak w rodzinie...

Zdecydowanie tak, i w ten sposób wracamy także do początku naszej rozmowy. Do wzorów rodzinnych i partnerskich, które można odnieść także do tego, co dzieje się tutaj. Myślę, że pilnie jest nam potrzebna terapia rodzinna. Instytucje państwowe są podkopane, zagrożona jest demokracja, cierpi na tym gospodarka i bezpieczeństwo. Można powiedzieć, że przeżyliśmy doświadczenie przemocy w rodzinie. Jak wiadomo, to najgroźniejszy rodzaj przemocy, bo jest tak mylący – jej sprawcą jest rodzic lub inny bliski, który powinien troszczyć się o nasze bezpieczeństwo. ■



Ucieczka w chmurę

Spotkałam matki w chmurze. Pod zieleniakiem. Zatrzymuję się po warzywa, obok jest kawiarnia. Wzbudza mój podziw: nie zbankrutowała. Ratuja ją pracownicy pobliskiej ambasady Grecji pijący tu kawę. Byłam kilka razy w życiu w Grecji i wiem, że byle bełtów Greczynka nie pija, a picie kawy po grecku to rytuał połączony z czynnościami typu zapatrzanie się w horyzont, na którym „migają światła rozmaitych możliwości” i przesuwanie palcami koralików komboloi. Może w Grecji wystarczy pomięścić sobie koraliki, by się odstresować. W Najjaśniejszej jest już tak strasznie, że matki z dziećmi przenoszą się w chmury. Taka Wielka Emigracja, ale nie wewnętrzna, nie do paryskiego Hotelu Lambert czy na Greenpoint, tylko w ojczyzny cyfrowe.

Przywitałam się z poznanymi właśnie tu, pod zieleniakiem, matkami ze „szkoły w chmurze”. Przejeżdżne. W stolicy na parę dni. Czekają na otwarcie kawiarni. Miały w niej spędzić kilka godzin, jedna przyjechała spod Wrocławia, druga z Krosna. Opowiedziały mi o emigracji dzieci do nauki w chmurze. Ale panie też w tej chmurze? My dzieci przywieźliśmy. Tzn. że ta chmura jest w Warszawie? Na stadionie Legii. Ogólnopolska matura dla dzieci z chmury odbywała się na stadionie piłkarskim Legii. Wieczorem opowiadałam o spotkaniu mojemu synowi: na Legii są matury. „To chyba najcichsze spotkanie na tym stadionie” – puenteje Kuba.

Obcy ludzie często opowiadają mi sami z siebie swoje życie. Po prostu te historie czekają w ludziach na wyrzucenie, a ja się napataczam jak przydrożny śmietnik. Jedna córka jest lyżwiarką. To się stało dla niej ważniejsze niż szkoła. Na początku byłam przerażona, gdy córka mi powiedziała, że woli lyżwy niż naukę. A ojciec, pytam? On nie ogarnia spraw szkolnych. Jakie lyżwy? Figurowe. Może córka nauczy się spadać z wysoka bez stłuczeń.

Druga mama mówi, że jej syn uciekł w chmurę, bo zaczął szkołę w pandemii. Dwa lata życia tej klasie odebrali, oni nawet nie mieli okazji się poznać, zaprzyjaźnić. Syn w tej pandemii, no, przestał wychodzić. Łzy. Widzę, że zaraz matka będzie musiała makijaż zrobiony o czwartej rano poprawiać. W chmurze nauczycielki bardziej się starają. Uczeń na konsultacje się umawia, nie ma znęcania się nad klasą. Wcześniej, w podstawówce, pan od historii, wariat, całą klasę postanowił udupić, dał mojemu dwójkę, a wiem, że syn był przygotowany na tip-top, bo ze wszystkiego go przepytaliśmy. To pani jest historyczką? Nie, ja tylko matką jestem.

Dziesięć tysięcy dzieci zdawało w tym roku maturę w chmurze. Tak bardzo źle czuły się w polskiej szkole, że z niej uciekły. Takie jest młodzięzy chowanie.

+

W Polsce piętnuje się tych, którzy obnażają przemoc, a nie jej sprawców.

+

Pogrzeb dziecka zamordowanego lub dziecka, które wołało umrzeć, niż żyć w świecie zgotowanym przez dorosłych, to w tym kraju okazja do machania wzorem „normalnej” rodziny. Nie ma żadnej „normalnej szkoły”, panie Czarnek, i nigdzie na tej planecie nie ma „normalnej” rodziny, ale za to współcześni faszole fotografujący się na tle nowo pobudowanych strzelnic, na mszach, z pistoletami za paskiem, tłustujący o jałmużnie trzystu złotych wyprawki szkolnej konsekwentnie odmawiają przyznania się, że system, który tworzą, nie działa. Niszczy słabszych. Mażonka prezydenta, prezes Kaczyński czy minister edukacji nie fotografują się podczas wizyt w poradniach czy w oddziałach psychiatrycznych dla dzieci. Lepsze są schodki smoleńskie.

Takie miejsca cierpienia jak MOPS-y są poza błyskiem konferencji premiera. Jeśli je filmują, to w obcojęzycznych telewizjach. Gdy Wojciech Smarzowski robi filmy typu „Dom zły”, to recenzenci piszą, że jest ojkofohem. Gdy środowiska feministyczne nawołują, żeby dotować Niebieską Linie, to okazuje się, że są „niedopchanymi histeryczkami”. Gdy strajkują pracownicy socjalni, to ich protestów nie pokazuje się w telewizyjnych „Wiadomościach”, bo tam sukcesy: nowe lotnisko w Radomiu, a inflacja tak spadła, że nawet mocna guma do majtek jej nie podtrzyma.

Zamiast modlić się na mszy, zamiast odwiedzać jeden wybrany oddział OIOM-u w Legnicy, marszałek Witek powinna zakasać rękawy i uruchamiać miliony dotacji na ratunek polskich narodzonych dzieci oblewanych wrzątkiem przez prawdziwych Polaków. Zamiast fotografować się z przeorem na Jasnej Górze, prezes Kaczyński powinien kazać szoferowi zawieźć ich do lokalnego MOPS-u w Częstochowie.

Nigdzie polskie dzieci nie są bezpieczne, bo wszędzie hierarchia ustawiona jest tak, żeby przemoc mogła się swobodnie tlić. Tylko w 2021 r. w Polsce na własne życie próbowało targnąć się 1491 dzieci. O tym od lat mówi konsekwentnie lewica, ale lewaków nikt nie słucha. Lewicę państwowe media zaś cytują wyłącznie wokół gównoburz o schabowe z kalafiora.

W Polsce jest przyzwolenie na przemoc. Piętnuje się tych, którzy ją obnażają, a nie jej sprawców. Beata Szydło jeździła po Podhalu, chwalać góralki, że tam u nich w Zakopanem mało zgłoszeń przemocą jest. Jedyny pomysł, jaki partia ma w tej sprawie, to odpowiedź przemocą na przemoc. Premier proponuje karę śmierci. Ucieka w chmurę?

AGATA PASSENT

Dulscy versus
Rodzinka

Z książki „Życ w rodzinie i przetrwać” Johna Cleese’a i Robina Skynner’a na pewno warto zapamiętać tytuł. Pod tym hasłem każdemu rozwija się w głowie panorama jego własnych batalii stoczonych na rodzinnym froncie. Szarże i uniki, sztandary i piki, hymny („tyle dla ciebie zrobiłam, a ty taki niewdzięcznik...”), są też obowiązkowe bagno, gdzie grzeźnie rozpedzona husaria zjednoczonych emocji.

Metafora walk to jedna z opcji opisywania skomplikowanego organizmu zwanego rodziną. Lawirowanie wśród modeli zachowania, w których wyrastamy, i tych, do których musimy się przyzwyczaić, płacąc w ten sposób za wejście w związek, przypomina czasem balet Teatru Bolszoi. Drobisz pod dyktando, ale jak zepsujesz przedstawienie, to po karierze i kazamaty.

Twórcy od dawna używają sobie na hipokrytach wychwalających rodzinne cnoty. „Moralność pani Dulskiej” Gabrieli Zapolskiej to klasyczna wizja mieszczańskiego piekła, do którego pretensjonalna baba zsyła małżonka pantoflarza, chutliwego syna, sprytnie córki i dziewczynę, która przyjechała do miasta dorobić się dzięki własnej pracy, a zamiast tego wraca na wieś z niesłubnym potomkiem pracodawców. Chociaż można na to patrzeć inaczej – Dulska to jedyna przytomna osoba w rodzinie i nie ma co jej potępiać. „Nie wiedzieć o niczym. To tak jakoś miło. Ja wołam nie wiedzieć”, mówi Mela, córka Dulskiej. Z tą maksymą przejdzie pewnie przez życie, cyzelując sztukę uników i przemilczeń.

Gdyby dziś powstała sztuka o Dulskich 2023 pod roboczym tytułem „Rodzinka” (to zdrobnienie ma moc alergenu), panna służąca stałaby się panią do sprzątania, a obok rodziców i potomstwa wystąpiliby terapeutka i ksiądz. W nowoczesnym dekorum ostałyby się toksyczne relacje, które od czasów Zapolskiej niewiele się zmieniły. W rodzinach nadal króluje milczenie. On milczy, bo nikt go nie nauczył wyrażać emocji. Zapija je, idzie w pracoholizm lub niezbyt ekscytujący pozamałżeński seks. Albo jest porządny, za to zniecka wypada mu dysk. To ciało czyni wyrzuty, że odłączył się od kłębiących się w nim uczuć. Ona różnych rzeczy chce, ale przecież nie będzie się prosić, więc milczy, obrażona. Milczy dzień, dwa, trzy, aż robią się z tego Ciche Dni. Ma wprawę, bo dziewczynki tresuje się na grzeczne i skromne, każdemu by od tego wysadziło korki.

Niektóre z postaci „rodzinkowych” weszły do klasyki, prym wśród upierdliwców wiecie wredna teściowa, ciekawska ciotka, głuchy jak pień wuj, który pewnie zresztą tylko udaje, żeby dali mu spokój. To ulubieni bohaterowie literaccy zeszłych wieków. Chętnie opisuje się też domowych tyranów, ojca satrapę czy przemęczoną matkę, która nie znajduje spełnienia w niczym innym poza dogadaniem Rodzince tak, że jej aktywność staje rodziny ością w gardle. Nowe teksty i filmy biorą na tapet

świeżo nazwane patologie, takie jak bierna agresja, czyli zamaskowane wyrażanie złości, *ghosting* – zrywanie relacji bez zakomunikowania tego drugiej osobie, *gaslighting*, czyli manipulacyjne wmawianie winy.

Film „Rój” w reżyserii Bartka Bali opowiada o losach rodziny, która mieszka od dziesięciu lat na wyspie. Odcięta od społeczeństwa ustala własne normy, które ustanawia ojciec. Dwoje dzieci dorasta w poczuciu pierwotnej odpowiedzialności, wiedzą, że aby przeżyć, muszą same zadbać o jedzenie, dach nad głową, ubrania. Tymczasem matka coraz częściej myśli o tym, żeby wrócić do cywilizacji. Kiedy zachodzi w trzecią ciążę, zaczyna planować ucieczkę. Na początku stara się szukać porozumienia, próbuje rozmawiać o swoich potrzebach, ale kiedy nie przynosi to rezultatu, zamyka się w sobie. Gęsta atmosfera filmu współgra z surowymi kadrami. Niedopowiedzenie, tajemnica i pasywna agresja wiszą w powietrzu. Piosenkę do filmu nagrały Katarzyna Nosowska i Natalia Szroeder. Śpiewają w niej: „wrzaskiem przebij na wskrosz”. Ale krzyk zamiera.

Jest w „Roju” scena, gdy bohaterka, grana fantastycznie przez Romę Gąsiorowską, uderza się w brzuch. Partner patrzy na nią zmęczony. Samookaleczenie, bicie się i inne formy fizycznego karania samej siebie to próby rozładowania napięcia emocjonalnego, złagodzenia bólu psychicznego lub zakomunikowania cierpienia. To wyraz bezsilności, która prowadzi czasem nawet do prób samobójczych.

We francuskim serialu pt. „Christmas Flow”, pozornie skrojonym na nowe „Notting Hill”, na romans pary mają wpływ wzory rodzinne. Ta, z której pochodzi dziewczyna, wojująca feministka, z pozoru wygląda na nieudaną. Rozwiedziona matka, która wiąże się z zagląającym do kieliszka sąsiadem, babcia nieprzebiegająca w słowach, krzykliwa siostra. Tymczasem w domu, z którego wychodzi chłopak, jest niby wszystko jak należy – stateczny ojciec, gospodarna matka, brat, który wyszedł na ludzi, bo został dentystą. I tylko ten młody mężczyzna, zakała rodziny, jest raperem, obwiesza się złotymi łańcuchami i twierdzi, że wszystkie kobiety to „k...”. Kiedy feministka i mizogin na pokaz, zdumieni wzajemnym przyciąganiem, narzekają na swoje rodziny, raper rzuca: „U was przynajmniej się rozmawia”. Bo w jego rodzinie tylko się wymaga, na miłość trzeba zasłużyć, spełniając kolejne oczekiwania, za darmo nic nie ma.

Na szczęście coraz więcej mamy słów na określenie stanów. Głupio byłoby ich nie używać, a rodzinne patologie kwitować zdaniem rozpoczynającym „Annę Kareninę” Tołstoja: „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK



Pięć króciaków

Kulturcia i Sztusia

Na placu Szembeka była sobie budka. To znaczy, najpierw były topole, trawniki i libacje na skwerku. Potem nastąpiła re-witalizacja. Topole wycięli. Plac wyłożyli szarym kamieniem. Latem kamień się nagrzewał, chodzić już się nie dało, ale przynajmniej pojawiła się szansa, że pobijemy miejski rekord ciepła.

No więc na placu była fontanna i budka. W budce mieściła się dzielnicowa informacja kulturalna. W informacji stało akwarium. W akwarium mieszkały dwie rybki. Lubiliśmy je odwiedzać, wracając z dzieckiem ze szkoły. Nazywaliśmy je Kulturcia i Sztusia. Pływały apatycznie. Po pewnym czasie jednej rybce coś wyrosło. Wkrótce w akwarium pływała już tylko jedna rybka. Nadal ją odwiedzaliśmy. Aż pewnego popołudnia nie zastaliśmy żadnej rybki. Po pewnym czasie zniknęło także akwarium.

Minęło wiele lat, a my wciąż nie wiemy, która padła pierwsza: Kulturcia czy Sztusia?

Robot

Osoba uczy w szkole. O tej osobie mógłbym wiele opowiadać, ale nie opowiem. Mowa jest srebrem, a dane osobowe złotem. Nie ma powodu, żebym państwa obsypywał złotem danych osobowych. Osoba uczy w szkole i już. A do szkoły przychodzą pomoce naukowe.

– Rząd przysłał nam robota w częściach – powiedziała osoba pewnego razu.

– Pewnie czyjś szwagier ma hurtownię robotów w częściach – odparłem cynicznie. Osoba wzruszyła ramionami. Osoba nie jest cyniczna.

– To się nazywa Projekt Narodowy Robot Przyszłości czy coś. Mogło być znacznie gorzej – powiedziała osoba. – Innej szkole przysłali bydłęce oczy w formalinie. I to w lipcu. Przez miesiąc leżały w sekretariacie. Zresztą mogli nic nie przysłać, a zaoszczędzone pieniądze wydać na zakup nieruchomości.

Najwyraźniej władza pokochała roboty. Każda władza kocha roboty. Niedawno sam minister spotkał się z robotem. Podobno dobrze im się rozmawiało. Osiągnęli daleko idącą zbieżność poglądów w kwestii Karty Nauczyciela. No i dlatego osobie przyszło uczyć podstaw robotyki.

Dzieci były zadowolone. Wierzyły, że na koniec roku zbudują robota równie fajnego jak ten, który sprzedaje słone przekąski w Carrefourze. Identyfikacyjnie, tylko większego i silniejszego, żeby mógł spuścić łomot temu frajerowi z Carrefoura i odebrać mu wszystkie słone przekąski.

Minęło trochę czasu. Znowu spotkałem się z osobą uczącą. Zapytałem, jak robot. Osoba westchnęła. Okazało się, że składanie robota jest żmudne. Na pierwszych zajęciach trzeba połączyć diodę z komputerem. Dziewczynkom się udało. Dioda mrugała. Chłopcom się nie udało. Dioda nie chciała mrugać. Wtyczka była wetknięta w niewłaściwe gniazdko. Wetknięta tak mocno, że nikt nie potrafił jej wydobyć. Osoba musiała wezwać Pana Technicznego z flachcęgami.

– Ogólnie biorąc, dziewczynki czytają instrukcje – podsumowała osoba – a chłopcy od razu chcą wtykać.

Po pewnym czasie przypomniałem osobie te słowa.

– Ale wiesz, na koniec to jednak chłopcom lepiej poszło z robotem – przyznała.

– Przecież nie czytali!

– Nie czytali, to fakt, ale za to nie przejmowali się błędami. W ogóle byli jacyś bardziej pewni siebie. Zresztą – ucieła – takie uogólnienia są bez sensu.

Kamieniołom

Pan Z. był działaczem stowarzyszenia architektów. Znał mnóstwo historii, z których jedną pamiętam. Otóż w latach 60. XX w. telewizja polska pokazała spektakl Teatru Sensacji Kobra. Była to historia architekta, który postanowił zabić żonę. W tym celu zaplanował wspólny wypad do Kazimierza Dolnego, gdzie znajdował się dom pracy twórczej architektów. Następnie zaprosił ofiarę na szczyt miejscowego kamieniołomu. To nie wzbudziło podejrzeń. Kamieniołom był wtedy i pozostaje do dziś ulubionym miejscem spacerów. Na szczycie urwiska zbrodniarz zaproponował pamiątkowe zdjęcie.

– Cofnij się, żebym cię widział – poprosił, patrząc w wizer. – Jeszcze trochę, jeszcze tro...

Kiedy zbrodnia się dokonała, pan Z. spojrzął na zegarek.

– Ciekawe, kto będzie pierwszy – rzekł, gdyż znał życie.

Nie musiał długo czekać. Po kilku minutach zadzwonił telefon. Był to inż. B. Domagał się stanowczego protestu stowarzyszenia przeciw publicznemu skalowaniu polskiego środowiska architektonicznego.

Często wspominamy tę historię podczas spacerów nad kamieniołomem. Trzeba jednak podkreślić, że wiele się zmieniło. Na przykład wynaleziono selfie.

Napięta sytuacja

Po śmierci ojca jeszcze przez kilka lat odbierałem telefony od telemarketerów, którzy chcieli mi sprzedać jakieś towary lub usługi. Któregoś dnia straciłem cierpliwość. (Nie jestem dziś z tego dumny).

– Pan Piotr? – spytał głos.

– Tak – potwierdziłem.

– Czy jest pan zainteresowany naszą nową ofertą?

– Nie – odpowiedziałem.

– Dlaczego?

– Bo umarłem.

Przez chwilę panowała cisza, potem głos się rozżościł.

– Jak można sobie robić takie żarty. I to jeszcze w obecnej napiętej sytuacji!

Na lustrze

W windzie hotelu w Krakowie było napisane: „Zostań dłużej. Zyskaj więcej. Żyj pełnią życia. *Obowiązują warunki i zasady”. Po namyśle sądzę, że to najbardziej optymistyczne motto, jakie przeczytałem tej wiosny.

MARCIN WICHA

Sprawa prof. Engelking: alarm dla nauki polskiej

Zapowiedź poddania szykanom placówek naukowych zatrudniających pracowników solidaryzujących się z postpowowaną badaczką Holokaustu powinna uruchomić wszystkie sygnały alarmowe. Jej spełnienie domknęłoby bowiem system partyjno-ideologicznej kontroli nad nauką polską. Oznaczałoby przywrócenie cenzury represyjnej, skierowanej przeciw badaczom dokonującym odkryć i ustaleń sprzecznych z doktryną rządzącej partii, tym razem nie komunistyczno-marksistowską, lecz nacjonalistyczno-klerykałną.

Perfidia tej metody polega na narzuceniu odpowiedzialności zbiorowej, gdyż retorsje mają dotknąć całej instytucji, w której pracuje badaczka czy badacz prowadzący działalność nieakceptowaną przez aparat partyjno-rządowy i propagandowy, a także solidaryzujących się z nimi. To już wprost przypomina praktyki PRL, kiedy poddawano szykanom osoby podpisujące się pod listami w obronie innych szycanowanych. Praktyka taka wzmaga i tak już odczuwaną w środowisku presję wywieraną przez zastraszonych pracowników naukowych na koleżanki i kolegów protestujących przeciw tej praktyce.

Niestety, część środowiska weszła już przed laty na ścieżkę oportunistu i koniunkturalizmu, szukając zbliżenia do partyjno-rządowych decydentów i dysponentów publicznych środków, argumentując to „dobrem nauki” i własnych placówek naukowych. Nie jest pod tym względem wyjątkiem – te same mechanizmy działają od kilku lat w środowisku artystycznym czy sportowym. Są więc symptomami nie tylko autokratyzacji, lecz także totalizacji zideologizowanego państwa, którego funkcjonariusze usiłują kontrolować i podporządkować sobie każdą dziedzinę życia publicznego.

Choć powinny wyc wszystkie syreny alarmowe, słabo słyszalne są głosy naukowych gremiów, organizacji i stowarzyszeń. Efekt mrozący i paraliżujący daje znać o sobie. Kilka tysięcy naukowców i innych osób podpisanych pod listem biorącym w obronę prof. Barbary Engelking to ważny sygnał protestu, ale wysłany przez indywidualnych obywateli. Oficjalni reprezentanci środowiska nie wyrażają sprzeciwu tak dobitnie i donośnie, jak wymaga tego ciężar gróźb pod jego adresem kierowanych.



Wnioski stąd płynące mają charakter polityczny oraz systemowy. Te pierwsze prowadzą do postulatu odsunięcia od władzy i niedopuszczania do niej osób i ugrupowań uważających politykę naukową państwa za instrument realizacji partyjnego projektu ideologiczno-doktrynalnego, zmierzającego do urabiania społeczeństwa oraz wymiany jego elit na podzielające ideologiczną wizję rządzących.

Druga kategoria wniosków płynących z zamachu ministra Czarnka na swobodę działalności naukowej dotyczącej systemu finansowania, kontrolowania, nadzorowania, oceny badań naukowych. Obecny system wyrodził się w konglomerat biurokratycznych patologii. Ewaluacje, parametryzacje, sloty, sylabusy, rami kwalifikacji i inne zmyły nękały środowisko naukowe, jednocześnie tworząc dogodny warunki dla resortowych i partyjnych decydentów, mogących w tym gąszczu przevorsowywać swoją politykę.

Do tego dochodzą osławione punktoza i grantozna. Ta pierwsza prowadzi do arbitralnego awansowania lub degradowania przez ministra wydawnictw i publikacji, zgodnie z ideologicznymi

i środowiskowymi sympatiami (nacjonalistyczno-klerykałnymi) lub antypatiami (liberalno-lewicowymi).

Grantozna zaś ukazała swoją zdegenerowaną postać w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju, będącym przepompownią publicznych środków do prywatnych kieszeni, zamaskowanych fikcyjnymi sztydami rzekomych innowatorów naukowych.

A zwieńczeniem tego patologicznego systemu są rozmaite instytuty, centra badawcze, kolegia, akademie, muzea, ośrodki o szumnych nazwach, powołane przez pisowską

władzę (według ustaleń posłanki Izabeli Leszczyny, od 2015 r. powstało ich 45), z zamiarem opracowywania i szerzenia jej wizji świata, społeczeństwa, historii, alternatywnej do ustaleń naukowców z dotychczasowych placówek. Pozostaje mieć nadzieję, że po wyborach obecna opozycja dostanie szansę likwidacji tych placówek i całej biurokratyczno-ideologicznej czapy nad nauką polską oraz że z tej szansy skorzysta.

JANUSZ A. MAJCHEREK, PROFESOR FILOZOFII I DOKTOR SOCJOLOGII

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6
02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Sojska, Mariusz Janicki,
Wiesław Władysław
Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO
Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca),
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03
Łukasz Lipiński (wydania cyfrowe)

BIURO REKLAMY

tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37
e-mail: reklama@polityka.pl

Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),
Julian Sobiech (reklama cyfrowa)

PROJEKTY SPECJALNE tel. 22 451-61-93

OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ
MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl
Infolinia: tel. 67 210 86 30,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Kaliszuk-Radzko,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA

www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: tel. 22 336-79-16,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BGZ BNP Paribas S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.
Kontakt: Maciej Domagała,
tel. 22 451-61-25,
e-mail: m.domagala@polityka.pl

DRUK Quad

www.izbaprasyl.pl

PBC

PRINTED IN POLAND



Ogród w doniczce

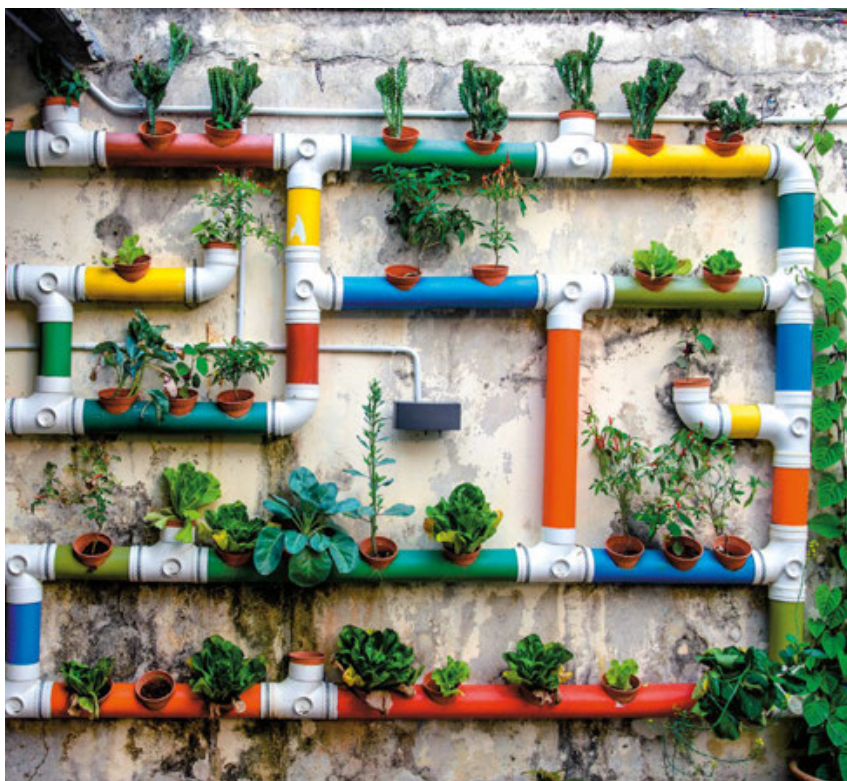
Spala kalorie, poprawia nastrój i formę, a w dodatku ma znakomite efekty uboczne: pomidory, rukolę, bazylię. Właśnie zaczął się sezon na urban gardening – miejskie ogrodnictwo.

W chwili, gdy czytacie Państwo ten numer POLITYKI, przeminęli tak zwani zimni ogrodnicy i zimna Zośka – to ludowe określenie majowych dni z nagłym spadkiem temperatury, a nawet poranymi przymrozkami, które wypadają w okolicach imiennin Pankracego, Serwacego, Bonifacego oraz, a jakże, Zofii. Ten kwartet to największy postrach wielkoobszarowych ogrodników, ale i tych, którzy uprawiają warzywa i owoce w przybłokowych ogródkach, na balkonach i parapetach. Można więc już spokojnie zabierać się do uprawiania sportu i roślin w jednym.

Warto, bo analitycy policzyli, że podczas schylania się, kucania, wstawania, rozciągania, jakiego wymaga domowy – lub działkowy – ogródek, można spalić ok. 330 kcal w jedną tylko godzinę. To tyle samo co podczas spokojnej jazdy rowerem, aqua aerobiku, a więcej niż w trakcie chodu z kijkami, czyli nordic walkingu. Niektórzy nawet robią rozgrzewkę przed przystąpieniem do czynności ogrodniczych, aby zminimalizować zakwasy i ryzyko urazów. Co ważne – same rośliny wymagają na ćwiczących regularną aktywność, bo bez podlewania, przycinania, nawożenia schną i giną. Aby zacząć, nie trzeba rzucić się z motyką na słońce albo jak w tym przypadku – hektar działki.

Początkujący ogrodnicy nie muszą spędzać godzin nad sadzonkami, obkupować się w narzędzia, rękawice, humusy (pożywkę dla roślin, nie tę dla ludzi) ani obkuwać z tego, które rośliny kiedy jak sadzić i na którą stronę świata wystawiać sadzonki. Wystarczy nabyć nasiona dowolnych ziół – bo te uprawia się najłatwiej – trochę ziemi i doniczkę, chociaż nawet i tę można zrobić z tego, co mamy w domu. W sieci łatwo znaleźć patenty, jak wyhodować nowe rośliny z kuchennych resztek, takich jak pesteczki truskawek i pomidorów (wydłubane z owoców), cytryn, a nawet awokado (nieestety w naszym klimacie nie owocują). „Odrosnąć” można też ananasa... Tutaj jednak mówimy już o krzyżowce miejskiego ogrodnictwa z innymi trendami, jak zero waste. Taki domowy crossfit.

Działkowanie parapetowe i balkonowe to już rozmiar midi – tutaj rośnie też wydatek kaloryczny, potencjalne plony oraz liczba myków polecanych przez doświadczonych miejskich ogrodników. Nawozy ze skórek bananów, fusów kawowych, woda z gotowania jajek, ich skorupki – to tylko kilka sposobów, żeby zapewnić sobie dobry zbiór minipomidorków. A obliczenie, ile pieniędzy zaoszczędziliśmy na inflacyjnych zakupach, to ćwiczenie dla umysłu – kolejna korzyść.



T R E N D

Ambitni lub doświadczeni ogrodnicy mogą iść na całość, czyli zadekować się w jednej z 966 tys. działek pracowniczych, zgrupowanych w Rodzinnych Ogródkach Działkowych (RODOS), których z kolei jest pięć tysięcy. Popyt na nie rośnie od pandemii, a między wąskimi drózkami działeczek mijają się ogrodnicy wszystkich pokoleń – o czym z przyjemnością donoszą pisma i portale lajfstajlowe. Powstają projekty fotograficzne dokumentujące ten typ wypoczynku, a grupa entuzjastów i właścicieli RODOS na Facebooku ma już 45 tys. członków.

Tutaj szczyta historii: pierwszy ogród działkowy założył doktor Jan Jalkowski w Grudziądzu w 1897 r. Od początku miał on służyć uprawianiu sportu oraz pobieraniu „kąpieli słonecznych”, czyli zanurzaniu się w rozgrzanym torfie... Ogród istnieje do dziś i jest nieoficjalnym patronem swoich wielkomiejskich potomków. Dawniej mówiono na nie „działki robotnicze”, bo przyznawano je robotnikom właśnie, aby po godzinach spędzonych w fabryce zażyli świeżego powietrza, podreperowali też rodzinny budżet uprawą warzyw i owoców. Czasem słowo „robotnicza” oznaczało też ciężką fizyczną pracę – której nikt nie nazywał sportem – przy nawożeniu, podcinaniu i zbieraniu plonów.



Ola Salwa, absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Piszę o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze i jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

Nieprzekonanych do miejskiego ogrodnictwa niech przekona to: samo patrzenie na roślinność ma właściwości kojące i uzdrawiające – według wyników badań cytowanych przez magazyn „Science” pacjenci po operacjach, którzy z okna widzieli drzewa czy kwiaty, szybciej dochodzili do siebie. Brytyjski odpowiednik NFZ, czyli National Health Service, wręcz zaleca uprawianie ogródka jako element dbania o dobry nastrój.

OLA SALWA

Nowa siła broszki

MODA

Madeleine Albright zrobiła z ich noszenia rodzaj sztuki (słynne jadowne węże czy sentymentalne serduszka) i nawet autobiografię, zapis długiej kariery politycznej i dyplomatycznej, opowiedziała za pomocą biżuterii. Gdy w 2019 r. prezeska brytyjskiego Sądu Najwyższego wygłaszała oświadczenie stwierdzające nielegalność decyzji Borisa Johnsona o zawieszeniu parlamentu, miała na sobie broszkę w kształcie dużego pająka. Trudno też zapomnieć o kolekcji broszek Beaty Szydło, w tym słynnych trzech maszerujących kotach z jednego ze świątecznych spotów. W tym przypadku miały one głównie ocieplić wizerunek. Dzisiaj broszki wracają do łask w każdej grupie społecznej i tym razem przysłużyli się temu mężczyźni.

W czasie tegorocznych wiosennych pokazów mody i na czerwonym dywanie powtarzał się najczęściej jeden dodatek: klasyczna broszka przypięta do kłapy marynarki lub na piersi. Aktor **Paul Mescal** („Normalni ludzie”, „Aftersun”) na rozdaniu nagród BAFTA pojawił się w garniturze uzupełnionym spektakularną broszką Cartiera z lat 30. Na ceremonię rozdania Oscarów **Michael B. Jordan** (znany z m.in. „Czarnej Pantery”) przypiął nie jedną, a dwie broszki Tiffany’ego. A propozycje modnych przypinek zaprezentowali niedawno tacy projektanci mody, jak Tory Burch, Masha



Popova, Roberto Cavalli i Dries Van Noten. I nawet Rihanna miała na sobie trzy diamentowe broszki, kiedy występowała na Super Bowl – kolejny dowód na to, że broszka wróciła.

Męska broszka ma lekko transgresyjny charakter. Pokolenie Z rozmywa płciowe granice stylu bycia i ubioru w sposób nieznan od dawna; od końca XIX w. mężczyźni nie zwykli nosić prawie żadnej biżuterii. I kiedy konceptem sezonu stał się – jeśli spojrzeć choćby na nowojorskie wybiegi – uniform, to okazało się, że jak ulał leży na nim dobrze dobrana mała ozdoba. Wciąż pozwala na ekspresję, ale w ramach minimalizmu.

Na TikToku, gdzie hashtag #broszka ma ponad 100 tys. wyświetleń, można pod nimi znaleźć m.in. zachwyty ozdobami, które pojawiły się w „The Crown”, ale nie zawsze chodzi o wyszukaną, drogocenną biżuterię. Te z niższej półki, wykorzystujące motywy takie jak serca i kwiaty, wykonane z tańszych materiałów niż diamenty, też są obiektami zainteresowania. Modne są np. owady, wrażenie robią okazałych rozmiarów szerszenie, gąsienice czy żaby. Najlepiej kolorowe i błyszczące.

Jest jeszcze jedno wcielenie broszek. To *pin*, czyli przypinka. Noszona w widocznym miejscu, wysyła jasny komunikat, często polityczny. Jak czerwone błyskawice, znak Strajku Kobiet, które jeszcze niedawno nosiliśmy w Polsce na piersi albo na plecach. Niektórzy, jak Kristen Ingersoll, nowojorska stylistka, uważają nawet, że „w dzisiejszych czasach broszka jest skuteczniejsza niż tweet”. Może jest w tym nieco przesady. Tak jak w jednej broszce.

AGATA SZCZERBIAK

Kajna krejza

SŁOWO

Polski, fonetyczny zapis angielskiego wyrażenia *kind of crazy* oznaczającego *dość szalone*. W autorskiej wymowie Blanki – naszej reprezentantki na 67. Konkursie Piosenki Eurowizji – która angielskim włada niezłe, ale całą piosenkę „Solo” zaśpiewała w sposób wywołujący dyskusje. Symbolem stało się słowo *bejba*, powtarzane przez polskie nastolatki, wykorzystywane w atakach na Blankę (polska publiczność masowo głosowała na jej konkurenta w preselekcjach, Janna), a w końcu umieszczone na długim trenie sukni polskiej wokalistki w geście dystansu do samej siebie. Od angielskiego *babe*, które oznaczać może dziecko, ale w języku piosenek prawie zawsze odnosi się do drugiego

znaczenia: kochanie, najdroższy. Kajna krejza (przypomnijmy: dość szalony) wydaje się cały ten nasz słowiański spór o to, czy *babe* wymawiać bardziej jako BEJBE czy jako BEJBA. Tu jak zwykle są dwie drogi, przypomnijmy Wojciecha Młynarskiego: „Stał na polu facet goły, wokół była mroźna nocka, i tak myślał: są dwie szkoły, falenicka i otwocka”.

Atmosfera wokół „kajna krejza” jest dużo gorętsza niż sytuacja tego faceta na polu. W ciągu 24 godzin od występu Blanki komentowano tą frazę w mediach społecznościowych m.in. nową instalacją na pl. Pięciu Rogów w Warszawie, memy z premierem, eurowizyjne zwycięstwo Szwedki Loreen oraz bramki: Karola Barańskiego dla Legionovii Legionowo oraz Przemysława Frankowskiego dla RC Lens. To kajna krejza, jak szybko podchwyciliśmy tę zbitkę.

A polski utwór na Eurowizję? Okazał się dość przebojowy, by wejść do finału, nie dość jednak szalony, by wygrać. Zajęliśmy 19. miejsce, a po przeboju Blanki zostaje nam tylko ślad w języku.

BARTEK CHACIŃSKI



MÓWIĄ RYMY

*Jara cię stylowa boho, po chacie chodzisz na boso
Nie przypomina ci tego, ale to jednak jest chata na moko*

Kaz Bałagane, **Jak żyć w WWA?**, 2023 r.

boho = styl wewnątrz bohemian, swobodny,

wykorzystujący stare meble

moko = Mokotów

Smartwatche na zdrowie

TECHNO

Ciszę na teatralnych widowniach coraz rzadziej dziś przerywa dźwięk dzwoniącego smartfona, coraz częściej za to widać błysk światełek – to smartwatche dają znać swoim właścicielom o przychodzących mailach i połączeniach. Jak podaje Counterpoint Research, w ubiegłym roku, w porównaniu z poprzednim, globalne dostawy smartwatchy wzrosły o 9 proc. Przewiduje się, że w 2023 r. przychody z tego rynku osiągną blisko 45 mld dol., a do 2027 r. będzie on wart prawie 62 mld dol.

Inteligentne zegarki przejęły wiele funkcji smartfonów, jak np. płatności zbliżeniowe, ale kluczowe dla ich popularności i znaczenia jest umiejscowienie na nadgarstku, które daje im dostęp do cennych danych o naszym zdrowiu.

Kiedy w 2014 r. Tim Cook zapowiadał pierwszego Apple Watcha, nazwał go „kompleksowym urządzeniem zdrowotnym i fitness”. Dziś m.in. za pomocą Apple Watcha wykonamy EKG, Huawei stworzył smartwatcha, który zbada ciśnienie, a Garmin oferuje zegarek mierzący poziom glukozy we krwi. Badanie przeprowadzone przez firmę Samsung dowiodło, że użytkownicy smartwatchy lepiej oceniają stan swojego zdrowia niż reszta, a samo używanie elektronicznych asystentów wpływa na bardziej świadome dbanie o dietę, aktywność fizyczną, profilaktykę zdrowotną i jakość odpoczynku. A może być lepiej, bo Apple pracuje nad Quartz, opartą na sztucznej inteligencji usługą coachingu zdrowotnego, która ma motywować do ćwiczeń, poprawy nawyków żywieniowych i jakości snu. Prowadzone są też prace nad nową technologią do śledzenia emocji.

Z tymi ostatnimi bywa problem, bo smartwatche, które w wielu aspektach pozytywnie wpływają na zdrowie fizyczne, niekoniecznie równie dobrze oddziałują na zdrowie

psychiczne. Mówi się o tym, że przyczyniają się do m.in. poddawania się przez użytkowników ciągłej samoocenie, porównywania się z innymi, przywiązywania się do danych, które nie wiadomo, jak bardzo są dokładne, czy poczucia przytłoczenia spływającymi powiadomieniami.

Rosnące zainteresowanie klientów smartwatchami tworzy przestrzeń do rozwoju biznesów opartych o nasze dane. Analitycy z CCS Insight uważają, że Apple już w przyszłym roku zacznie oferować w Stanach Zjednoczonych ubezpieczenie zdrowotne wykorzystujące dane gromadzone właśnie dzie-



ki użytkownikom zegarków Apple Watch. Jeśli za gigantem z Cupertino pójdą inni, zbieranie danych zdrowotnych przełoży się w przyszłości na kształt rynku ubezpieczeń, warunki i koszt polisy mogą być zależne od tego, jak zdrowy tryb życia prowadzi ubezpieczony. – *To wcale nie jest abstrakcyjna wizja* – komentuje Łukasz Kotkowski, redaktor naczelny serwisu Chip.pl – *bo z podobną zależnością mamy już do czynienia w ubezpieczeniach motoryzacyjnych, także w Polsce: za pomocą telematyki ubezpieczyciel może ocenić nasze zachowanie na drodze i na jego podstawie zaoferować stawkę.*

JOANNA TRACEWICZ

Kreml płonie

WIRAL

Serhij Mochow, ukraiński wolontariusz zbierający środki na zakup dronów dla armii, z zawodu twórca gier wideo, przekonuje, że „Monet nigdy nie namalował płonącego Kremla, ale to narzędzie daje wyobrażenie, jak taki obraz mógłby wyglądać”. Kilka dni po tym, jak tajemniczy dron zaatakował siedzibę prezydenta Rosji, Mochow zamieścił na Twitterze serię ponad 30 obrazów zatytułowanych



„Kreml płonie” (do obejrzenia na polityka.pl) i naśladujących style różnych malarzy, od Degasa i Renoira, po Picassa, **Beksińskiego** i Banksy’ego. – *Nie mam pojęcia, co naprawdę stało się na Kremlu, ale jestem przekonany, że w trakcie wojny wielu z nas wizualizowało sobie tę scenę. Dla mnie to jedna z kilku rzeczy, które chciałbym w swoim życiu zobaczyć* – mówi Mochow.

Stworzenie całej kolekcji zajęło mu niewiele więcej czasu, niż trwał atak drona na Kreml, bo wykorzystał do tego Midjourney. To imponujące narzędzie zasilane sztuczną inteligencją, które zamienia opis słowny danej sceny w grafikę. Namaluj mi płonący Kreml w stylu Muchy lub Muncha – gotowe. Mochow zainspirował też innych, którzy pod jego propozycjami wstawiali kolejne, Kreml płonął nawet w komiksie, mandze, na witrażu.

Gdy patrzy się na ten sam płonący Kreml w tak różnych malarskich stylach – czy też ich przybliżeniach – poza potencjałem rozrywkowym narzuca się edukacyjny. Wspólny temat obrazów pozwala bowiem w mig, intuicyjnie, wychwycić i porównać styl twórców z różnych epok i nurtów. I łatwo sobie na przykład wyobrazić, jak na lekcji sztuki uczniowie generują własne wymarzone sceny malowane pędzlami mistrzów – co zwykle kończyłoby się pewnie śmiechem, ale czasem może wizytą w muzeum.

MARIUSZ HERMA

Piramida pani Róży

OneCoin miał być kryptowalutą numer jeden, pogromcą bitcoina, a okazał się gigantyczną piramidą finansową. Ograbił ludzi na całym świecie z miliardów dolarów i marzeń o tym, że z dnia na dzień staną się bogaci. Dlaczego tak łatwo dajemy się nabierać finansowym oszustom?

Na to pytanie postanowił odpowiedzieć reporter BBC Jamie Bartlett, który latami tropił twórców kryptowaluty OneCoin, a zwłaszcza główną organizatorkę przekreślenia Różę Ignatową, zwaną kryptokrólową. Tak powstał reportaż „The Missing Cryptoqueen” („Królowa kryptowaluty. Historia miliardowego cyberprzekreślenia”, Wyd. Czarne).

Róża Ignatowa to młoda bułgarska bizneswoman o romskich korzeniach, która w dzieciństwie wyemigrowała z rodzicami do Niemiec. Pracowała w firmie doradczącej McKinsey i pewnie robiłaby karierę ekspercką, gdyby nie jej nagła fascynacja kryptowalutami. To był początek ubiegłej dekady, gdy narodził się bitcoin, alternatywny cyfrowy środek płatniczy, szybko zyskujący popularność i zaufanie. Wkrótce pojawiły się setki rozmaitych kryptowalut, a wszystkie z ambicją zostania „bitcoin-killerem”.

Takie marzenie miała też Róża, kobieta o wielkim ego. Znała się na finansach, ale niewiele wiedziała o algorytmach i blockchainie. Poznała za to specja od marketingu wielopoziomowego MLM (*multi-level-marketing*), który przekonał ją, że gwarancją sukcesu będzie połączenie jej kryptowaluty i jego techniki handlu. Coiny trafią do ludzi poprzez sprzedawców, którzy namówią ich do inwestycji, i do tego, aby i oni nakłaniali kolejnych. Technika MLM wypracowała wiele skutecznych metod psychomanipulacji wykorzystujących uczucie chciwości i kuszenia obietnicą łatwej drogi do bogactwa.

Twórcy OneCoina zaczęli namawiać speców MLM, by handlowali kryptowalutą i budowali marketingowe piramidy w swoich krajach. Na pytanie, czym konkretnie będą handlować, dostawali wymijające odpowiedzi. Ale w branży MLM wciskanie kitu jest podstawą sukcesu, więc sprzedawali „pakiety edukacyjne” plus wirtualne coiny z obietnicą, że ich wartość radykalnie wzrośnie. Klienci nie rozumieli, co kupują, ale w tym czasie głośno było o kolejnych rekordach cenowych bitcoina, a oni przecież inwestowali w kryptowalutę, która miała być dużo lepsza, więc chętnych nie brakowało.

Zapewniała ich o tym sama Róża, absolwentka słynnych uczelni (skończyła trzy fakultety, w tym jeden na Oksfordzie), doktor prawa władająca pięcioma językami, w środowisku otoczona kultem niemal religijnym. Tak działa psychologiczna reguła autorytetu. Po prostu mamy automatyczną tendencję, by wierzyć osobom



Inteligentni ludzie potrafią inteligentnie bronić niemądrych przekonań.

przedstawianym jako specjaliści, a ich opinie przyjmujemy bezkrytycznie. Nic więc dziwnego, że do nowej firmy zaczęły płynąć miliardy dolarów, często pożyczanych gdzieś w afrykańskich i azjatyckich wioskach przez biedaków, którzy wierzyli, że odmieni się ich los. Ustalany przez firmę kurs coinów rósł, co potwierdzało obietnice doktor Róży. Choć wymiana kryptowaluty na prawdziwe pieniądze była utrudniona, to niektórym to się udało.

Od początku padały ostrzeżenia, że OneCoin to klasyczna piramida finansowa, a wypłaty pochodzą z pieniędzy nowych klientów. Najgłośniejsze ostrzeżał portal BehindMLM, tropiący przekreślenie marketingu wielopoziomowego. Inwestorzy wypierali jednak wątpliwości, bo tak działa mechanizm zwany błędem konfirmacji. Selektynie dobieramy i interpretujemy informacje tak, by potwierdzić nasze oczekiwania. „Inteligentni ludzie wierzą w dziwne rzeczy, bo potrafią inteligentnie bronić swoich przekonań, które uzyskali w mało inteligentny sposób” – twierdzi Michael Shermer, tropiciel pseudonaukowych poglądów.

Piramida OneCoina waliła się powoli, prokuratorzy i nadzorcy rynkowi w różnych krajach tropili OneCoin i jej twórców. Wyszło na jaw, że blockchain, fundament każdej kryptowaluty, jest tu tylko atrapą. A Ignatowa, przewidując upadek, zawczasu znikła. Dziś kryptokrólowa jest jednym z dziesięciu najbardziej poszukiwanych przez Interpol przestępców świata. Według popularnej teorii została zamordowana przez bułgarskich gangsterów.

Portal BehindMLM tymczasem alarmuje, bo pojawiają się kolejne piramidy przekonujące, że pomnożą pieniądze swoich klientów. W jaki sposób? Przy pomocy rzeczy dziś najgłośniejszej – sztucznej inteligencji. Bo chętnie wierzymy w to, o czym słyszymy, choć tego nie rozumiemy. Inwestorzy OneCoin w kryptowalutę, klienci AmberGold w złoto, kolejni w sztuczną inteligencję. Zwłaszcza że z własną mają kłopoty.

ADAM GRZESZAK

Karyntia to nie jest Austria z katalogów biur podróży. Wakacje spędzane tutaj atmosferą przypominają leniwe wczasy z lat 80.

Dolce vita po austriacku



Zanim dotrzemy do Arriach, geograficznego centrum Karyntii, warto zrobić przystanek na zwiedzenie zamku Landskron. Jadąc autostradą, widzi się go już z daleka, najbardziej efektownie wygląda, gdy popołudniowe słońce oświetla tę położoną na wzgórzu twierdzę. Kiedyś należąca do rodziny Khevenhüllerów, którzy przekształcili ją w luksusową renesansową rezydencję mieszkalną, później zapomniana, przez stulecia popadała w ruinę, aż do XX w., gdy została odrestaurowana. Dzisiaj poza hotelem znajduje się w niej także ekskluzywna restauracja. Warto wejść specjalnym szlakiem, bo z murów twierdzy rozpościera się przepiękna panorama na jezioro Ossiacher See i Alpy Karnickie. Zaś w drodze powrotnej czeka na nas u podnóża zamku co najmniej egzotyczna niespodzianka – park „Affenberg”, który zamieszkuje ponad setka makaków japońskich, czyli małp śnieżnych. Przybyły do Karyntii jako dar dla regionu i dzisiaj urzędują w specjalnie stworzonym dla nich leśnym rezerwacie.

Arriach, malutka wioska położona na wysokości 900 m n.p.m., jako jedna z killkunastu w regionie znajduje się na liście Slow Food Village – to rodzaj kulinarnej mapy Karyntii, wskazującej, gdzie można zjeść najlepsze sery, mięso, ryby czy owoce. Własnej roboty i z gwarancją



Magdalena Gorlas

– dziennikarka w podróży, autorka tekstów, ciekawa drugiego człowieka. Publikowała m.in w „Chicago Tribune”, „Polityce”, „Vogue’u”, „Dużym Formacie” czy „Piśmie. Magazynie opinii”.

dobrej jakości. W Arriach rarytasem są np. pierogi karynckie z farszem z ziemniaków, twarogu i mięty, podawane często także w wariantcie włoskim, czyli ravioli. Karyntia to spokojne tempo życia i otwarci mieszkańcy. To efekt styku kultur, bo chociaż porządek jest tu austriacki, to skutecznie łagodzi go powiew bliskiego Adriatyku, a spontaniczność i radość życia jakby udzieliła się mieszkańcom od słoweńskich i włoskich sąsiadów. Z Villach do włoskiego Tarvisio, na tiramisu i dolce vita, jest pół godziny samochodem, a do Triestu tylko 200 km.

Dużą zaletą Karyntii, obok położenia nieco na uboju najmodniejszych alpejskich kurortów, jest też różnorodny krajobraz. Są tutaj ośnieżone szczyty Alp z trzysięcznikami i z ponad 24 ośrodkami narciarskimi, jak Nassfeld czy Bad Kleinkirchheim, ale też malownicze doliny ze skałkami i wodospadami, zachęcające latem do wspinaczek i przechadzek. Jak również łagodne, zielone wzgórza z rwącymi rzekami – Karyntię z zachodu na wschód przecinają dwie, Drawa i Gail.

Ale przede wszystkim ten mały region to wielka kraina górskich jezior, których jest tutaj ponad 200. Zimą zamieniają się w lodowiska, latem są kąpieliskami z turkusową oraz krystalicznie czystą i ciepłą wodą. We Faaker See temperatura wody dochodzi do 28 st. Celsjusza. To właśnie tutaj zaczyna się tzw. **Wielka Pętla – trasa rowerowa tworząca „ósemkę” wokół pięciu karynckich jezior. Uznawana jest za jedną z najpiękniejszych w Europie.** Zaczyna się i kończy w miasteczku Villach, w złotym, środkowym punkcie dwóch jezior Faaker See i Ossiacher See.

Stąd już blisko do Ossiach, gdzie niespodziewanie trafiam na polski akcent. Okazuje się, że chociaż Karyntia przez Polaków jest dopiero odkrywana, to wieki temu był już tutaj nasz słynny rodak. W imponującym klasztorze z barokowym kościołem kilka lat spędził Bolesław II Szczodry, zwany też Śmiałym. Legenda głosi, że pod murami klasztoru został pochowany, jest tu pamiątkowa tablica. Za murami klasztoru rozpościera się spektakularny widok na jezioro Ossiacher See i górę Gerlitzen w paśmie Alp Gurktalskich, gdzie zakończyłam wędrówkę po alpejskiej riwierze. Karyntia, która graniczy z Włochami i Słowenią, wciąż wydaje się nieodkrytym regionem Austrii. I to jest jej kolejny wielki atut.

MAGDALENA GORLAS

Dojazd do Klagenfurtu (stolica regionu) czy Villach:

Samochodem: przez Czechy i Austrię, 900 km z Warszawy lub przez Słowację i Austrię, to droga nieco krótsza, ale bardziej wymagająca ze względu na przejazd przez słoweńskie góry; koszt zakupu 10-dniowych winiet na autostrady: Austria – 9,90 euro, Czechy – 310 czeskich koron, Słowacja – 12 euro.

Samolotem i pociągiem: Nie ma bezpośredniego połączenia lotniczego z Polski do Klagenfurtu ani Villach. Najlepiej polecieć do Ljubljany (półtorej godziny) i dojechać do Villach, ok. 80 km, pociągiem albo samochodem.

dłoni, gdy w drugiej swobodnie spoczywa kieliszek z ulubionym trunkiem.

Mianem *aperitivo* można nazwać prawie każde danie, liczy się bowiem forma podania. Ma być skromna. Bardzo popularne (szczególnie w Wenecji) są *cicchetti*, czyli małe kanapeczki, ale także oliwki czy warzywa serwowane w miniporcjach. Nie ma zasad, bo do schłodzonego białego wina albo gorzkiego spritzu pasuje wszystko: słone chipsy, orzeszki, smażona polenta, kulki z wczorajszego ryżu, krążki z ciasta francuskiego albo bardziej szykowne liście szalwii w tempurze. Zaś we włoskich knajpkach serwujących *aperitivo*, niezależnie od regionu, króluje focaccia.

Tradycyjna jest podawana z samą solą albo rozmarynem. W Ligurii popularny jest placek z plasterkami ziemniaków. W sezonie będą pasować pomidory, których słodki sok smacznie wsiąka w ciasto. Ważne, żeby liczba dodatków nie przyćmiła samego wypieku. Warto też użyć dobrej jakości oliwy, to naprawdę ma znaczenie. Upieczona z polskich produktów, wyjdzie równie fenomenalna, co oryginalna. Mnie z domową kuchnią polską bardzo się kojarzy fasola Jaś. Jej duże odmiany są słodkawe w smaku i przepięknie ozdabiają przypieczony placek.

Nie ma chyba nic lepszego niż kawałek rumianej, rubasnie wyrośniętej focaccii, zjedzony w promieniach chylącego się ku zachodowi słońca. Dobra focaccia to nie tylko pieczywo, to przeżycie działające na wszystkie zmysły. Najważniejsza jest chrupiąca skórka, która pęka pod zębami i zostawia w ustach słony smak.

Polsko-włoska focaccia z fasolą i ziołami:

350 g wody
7–8 g drożdży instant lub 20 g świeżych
2 łyżki cukru
1 łyżeczka soli
4 łyżki oliwy
do 500 g mąki orkiszowej jasnej lub pszennej (typ 00)
morze oliwy z pierwszego tłoczenia
200 g ugotowanej dużej białej fasoli
igiełki rozmarynu
1 łyżeczka oregano
½ łyżeczki peperoncino

W dużej misce odmierź wodę. Dodaj cukier i drożdże. Wymieszaj. W mniejszej misce zważ mąkę. Dodawaj stopniowo mąkę do wody i mieszaj ręką. Po drodze dodaj sól i oliwę. Wyrabiaj 10 minut. Ciasto będzie się lepić, ale to nic, nie potrzeba już więcej mąki. Uformuj kulę, przenieś do miski, podlej lekko oliwą i przykryj ściereczką. Pozostaw na 60 minut. Następnie znowu chwilę pobaw się ciastem i zostaw na kolejną godzinę. Przygotuj blachę do pieczenia. Posmaruj ją oliwą. Przenieś ciasto na blachę i rozciągnij, używając palców. Nie dociskaj ciasta płaską dłońią do blachy. Zostaw na 20–30 minut. W misce wymieszaj ugotowaną fasolę z kilkoma łyżkami oliwy. Dodaj oregano, peperoncino i posiekany rozmaryn i wymieszaj. Przenieś fasolę na focaccię i dociśnij do ciasta. Piecz w 180–200 st. C przez 20–30 minut. Focaccię pokrój na mniejsze kawałki.

ALICJA ROKICKA/WEGAN NERD



KUCHNIA

Rubaszna focaccia

Wiosna zaraz zamieni się w lato, warto celebrować ten czas w plenerze, najlepiej w dobrym towarzystwie i przy *aperitivo*.

Kiedy jestem w Italii, staram się zawsze skrupulatnie spełniać obowiązek kultywowania *aperitivo*. Chociaż nazwa bierze się od napoju alkoholowego, *aperitivo* to coś więcej niż tylko rodzaj lekkiego koktajlu wypijanego przed posiłkiem. Najważniejsze jest to, co dzieje się wokół kieliszka. A dzieje się sporo! *Aperitivo* to zjawisko kulinarno-kulturowe odnoszące się do konkretnej pory dnia, Włosi umawiają się na nie ze znajomymi najczęściej po pracy, późnym popołudniem lub pod wieczór, zanim ruszą na główny posiłek dnia. Wyrażenie wzięło się z łacińskiego *aperire* („otwarcie”, „rozpoczęcie”). Czy pijemy spritz, czy wodę sodową, *aperitif* jest wstępem do konkretniejszego posiłku. Ma pobudzić zmysły i żołądek.

Maj to świetny czas, by wyjść z *aperitivo* w plener. Jedzenie powinno być dobre i proste, niewymagające sztuczków ani talerza, żeby dało się jeść na stojąco. A jeszcze lepiej, żeby wygodnie mieściło się w jednej



Alicja Rokicka

– autorka bloga Wegan Nerd i książek kulinarnych, entuzjastka słonecznej Italii i smaków śródziemnomorskich w wersji roślinnej. Z wykształcenia graficzka.

Stanisław Janecki („Sieci”) zanurzył pióro w wazelinie i wśród 10 powodów nadchodzącej klęski opozycji wymienia m.in.: „Jarosław Kaczyński. Lider obozu rządzącego, od lat dotrzymujący słowa i realizujący plany wprowadzenia Polski do grupy najbogatszych państw Europy, mający nie tylko wizję przyszłości, lecz także potrafiący realizować szczegółowe plany”. „Mateusz Morawiecki. Premier (od 2017 r.) pokazuje obywatelom, kim powinien być i co powinien robić szef rządu – jako najważniejszy menedżer w państwie, sprawnie zarządzający zarówno w czasie prosperity, jak i kłopotów”. I to nie jest satyra.

W rozmowie z „Plusem Minusem” politolog prof. Wawrzyniec Konarski mówi o swoistym sukcesie prezesa PiS: „Kaczyńskiemu udało się połączyć dwie rozbieżne historycznie tradycje ideologiczne, czyli postendecką i postpiłsudczykowską. Zatem Prawo i Sprawiedliwość pod względem niekontrolowanego wręcz czerpania z zasobów państwa stało się PO bis do roku 2015, a jednocześnie werbalnie wciąż akcentuje wartości ideologiczne, co w rezultacie daje mu wciąż mocną pozycję na scenie politycznej”. Narodowy socjalizm alla pollaca.

Ciekawą wizję rozgrywki politycznej w wykonaniu prezesa PiS przedstawia w „Przeglądzie” Jan Widacki: „Przed samymi wyborami, gdy w głosowaniach sejmowych nie będzie mu już Ziobro z jego kompaniami do niczego potrzebny, pozbędzie się ich, wyrzuci z koalicji, odetnie od ich antyeuropejskości, wypomni i potępi zniszczenie wymiaru sprawiedliwości, nie weźmie na swoje listy, a elektorat PiS, zarówno ten obecny, jak i ten potencjalny, bardziej umiarkowany, tak jak biedny Żyd po pozbyciu się kozy poczuje ulgę. Po czym ukojony i z czystym sumieniem zgłasza na PiS”. Wydaje się to tak nieprawdopodobne, że aż możliwe.

Ogierkach wyborczych także w „Do Rzeczy”. Piotr Semka po konwencji odnowionej partii Zbigniewa Ziobry przestrzega zapaleńców: „Problemem Suwerennej Polski może być to, że najpierw rejestrowane będą komitety wyborcze, a dopiero potem listy. A Jarosław Kaczyński lubi w ostatniej chwili wyciąć parę nazwisk z biorących miejsc wyborczych, aby pokazać swoją dominację”.

Mniej więcej 7 mln Polaków chce, by Kościół polski był dokładnie taki, jaki jest. To znaczy „pisowski”, ponieważ oni sami są „pisowscy” – Stefan Chwin, magazyn „Wolna Sobota”.

Michał Ogórek nie odpuszcza ministrowi sprawiedliwości („Angora”): „Podczas konferencji założycielskiej nowej partii Zbigniewa Ziobry, nazwanej teraz Suwerenna Polska (bo chcą bronić prawa Polaków do SUV-ów), wszyscy usłyszeli, że jej lider dalej przechodzi młodzieńczą mutację. Natychmiast wykorzystał to prezes koalicyjnej partii Ziobry Jarosław Kaczyński, który następnego dnia zgłosił projekt ustawy, że proces uświadamiania i dojrzewania dzieci może następować wyłącznie za zgodą ich rodziców lub opiekunów. W przypadku partii koalicyjnych potrzebna będzie pisemna zgoda szefa większej partii”.

Ludzki wymiar polityki, czyli plotki z „Newsweeka”: „Rehabilitacja [operowanego kolana] idzie gorzej, bo prezes nie chce ćwiczyć. Nie ma wokół niego nikogo, kto mu powie: »Rehabilitacja jest konieczna i nie ma gadania« – mówi nam polityk PiS. – Gdyby chociaż pani Basia miała oko na niego, ale ona już na emeryturze. Basia potrafiła go zmusić do różnych rzeczy, których robić nie chciał. A teraz kto ma mu powiedzieć: »Prezesie, nie ma teraz żadnych spotkań, są ćwiczenia? Wyobraża sobie pani, jak ten młody Moskal to robi? Ja nie”. Tylko czy prezesa w ogóle da się zrehabilitować?

O zagrożeniach niesionych przez powołanie komisji do badania wpływów rosyjskich oraz mętnie sformułowaną tzw. ustawę szpiegowską pisze Łukasz Wazucha („Do Rzeczy”): „Być może prezydent zdaje sobie sprawę, że PiS z charakterystyczną dla siebie dezynwolturą tworzy narzędzie, które można wykorzystać także przeciwko niemu. Przecież z obu stron padają wzajemne oskarżenia o sprzyjanie Moskwie. Po ewentualnej zmianie władzy wystarczy zmodyfikować ustawę o komisji i uznać, że oznacza to konieczność powołania jej składu na nowo – praktykę tę wprowadził sam PiS w innych sprawach – a następnie zacząć za pomocą tego ciała szykanować polityków ugrupowania obecnie rządzącego”. Kto mieczem wojuje...

O nowej odsłonie „afery mailowej” pisze „Rzeczpospolita”. Przed drugą turą wyborów prezydenckich w 2020 r. szef KPRM Michał Dworczyk „poinformował premiera, że spotkał się z prezesem Stowarzyszenia Marsz Niepodległości [Robertem Bąkiewiczem]. »Ustaliliśmy, że współdziałamy, aby powstrzymać cywilizacyjny barbarzyństwo, które stoi za Trzaskowskim« – przekazał Dworczyk”. Dzielnym harcerzem.

Presserwis poinformował: „Z danych nadesłanych do KRRiT przez nadawcę (...) wynika, że w pierwszym kwartale w programach Telewizji Polskiej na przedstawienie stanowisk koalicji rządzącej i popierających ją ugrupowań (PiS, Solidarna Polska, Partia Republikańska, OdNowa RP, Kukiz'15) oraz prezentację stanowisk kancelarii prezydenta Andrzeja Dudy, premiera Mateusza Morawieckiego i marszałkini Sejmu Elżbiety Witek przeznaczono łącznie ok. 77 proc. czasu poświęconego wszystkim politykom. Dla porównania w czwartym kwartale 2022 było to 80 proc.”. W kolejnych kwartałach TVP pewnie pójdzie na rekord.



10-lecie Galerii STALOWA



Z okazji jubileuszu Galeria STALOWA
zaprasza na wystawę malarstwa

Janusz Oskar Knorowski „Bałtyk, brzozy, bociany”

Wystawa trwa do 24 czerwca 2023



ul. Stalowa 26, Warszawa

Godziny otwarcia: pn-pt: 12.00-19.00, sobota: 12.00-17.00

www.galeriastalowa.pl
galeria@galeriastalowa.pl

+48 606 864 943



LETNIE BRZMIENIA

babie lato PROJEKT
SPECJALNY

NATALIA KUKULSKA • MARGARET • MERY SPOLSKY • BOVSKA • ZALIA
MROZU • ZALEWSKI ŚPIEWA NIEMENA • VITO BAMBINO
DARIA ZAWIAŁOW • NOSOWSKA • KACPERCZYK • KAŚKA SOCHACKA
BRODKA • LEMON • SZCZYL • THE DUMPLINGS • NATALIA PRZYBYSZ
JUCHO • NATALIA SZROEDER • SMOLIK // KEV FOX • DARIA ZE ŚLĄSKA
BARTEK KRÓLIK • TYNSKY • FAUSTYNA MACIEJCZUK • IGNACY
PAULA ROMA • AREK KŁUSOWSKI • RUBENS • KARAŚ/ROGUCKI
ROSALIE. • ARS LATRANS ORCHESTRA • WALUŚKRAKSAKRYZYS

SPRAWDŹ, KTO ZAGRA W TWOIM MIEŚCIE: WWW.LETNIEBRZMIENIA.PL



ORGANIZATOR

SPONSOR TYTUŁARNY

PARTNERZY

PARTNERZY MEDIALNI

